MOC CZYTANIA | Jak odpowiadać Rosji ▪ Dowieźliśmy drogi! ▪ Płeć Boga Campbell, mistrz mistrza Yody ▪ Najgorsze wakacje Chopina ▪ Czy miłość istnieje

Kraków 1 – 7 października 2025 nr 40 (3978) cena 16 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne TygodnikPowszechny.pl

Duchowy krajobraz dzisiejszej Polski

- **Mniej się modlimy, więcej medytujemy**
- **Ciało, dobrostan, pielgrzymka i post**
- **Coaching wypiera ezoterykę**

NADZIEJA RADYKALNA
EKSTRA STRONY PRZED FESTIWALEM CONRADA

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl ef71d53e14

Festiwal Przestrzeń Słowa
Nostalgia

3–25 października 2025

Biblioteka Śląska
plac Rady Europy 1 / Katowice

przestrzeń słów

Juana Adcock(Meksyk) / Piotr Banach / Kacper Bartczak / Wojciech Brzoska / Michał Choiński / Grzegorz Czemiel / Pola Dwurnik / Julia Fiedorczuk / Jerzy Franczak / Rafał Gawin / Peter Gizzi(USA) / Abdulrazak Gurnah(Anglia) / Stefan Hertmans(Belgia) / Urszula Honek / Grzegorz Jankowicz / Jerzy Jarniewicz / Grzegorz Kaźmierczak / Barbara Klicka / Szymon Kloska / Jakub Kornhauser / Zofia Król / Justyna Kulikowska / Filip Łobodziński / Artur Madaliński / Bartłomiej Majzel / Rod Mengham(Anglia) / Abdullah Miniawy(Egipt) / Justyna Pietroczuk / Tomasz Pindel / Anna Podczaszy / Santiago Roncagliolo(Peru) / Zuzanna Sala / Antonio Scurati(Włochy) / Marcin Sendecki / Krzysztof Siwczyk / Justyna Sobolewska / Paweł Sołtys / Andrzej Sosnowski / Wojciech Waglewski / Bartosz Wójcik

przestrzeń słów & dźwięków

Abdullah Miniawy TRIO(Egipt) / Andrzej Sosnowski & Chain Smokers / Baika / Kirszenbaum / Pablopavo i Ludziki / Peter Hertmans(Belgia) / trio_io / Variété / Waglewski & Pospieszalski

REKLAMA

PATRONAT HONOROWY
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury
Marszałek Województwa Śląskiego Wojciech Saługa
Honorowy Patronat Rektora UNIWERSYTETU ŚLĄSKIEGO W KATOWICACH
ORGANIZATOR
PARTNERZY
PATRONAT MEDIALNY

KS. ADAM

Boniecki: *Po co nam Kościół*

Okładkowy artykuł socjologa Jaremy Piekutowskiego o tym, jak wygląda duchowy krajobraz współczesnej Polski, wydaje mi się ważny i odważny. Jest ważny m.in. dlatego, że jego zakończenie nie jest pesymistyczne. A odważny, bo mówi o rozbracie ortodoksji i ortopraksji z duchowością. Mówiąc prościej – że ludzie przestają chodzić regularnie na niedzielną mszę i jako przyczynę podają „brak potrzeby" i „obojętność", a inne motywy to „krytyka Kościoła jako instytucji" czy po prostu „brak wiary". Piekutowski zauważa, że ludzie desperacko szukają sensu, ale zinstytucjonalizowany Kościół często nie potrafi im go dać, choć stoją o krok od *sacrum*, od tego, co nadprzyrodzone. Zwróćmy uwagę na występujący w tym zdaniu wyraz „często". Często nie potrafi, ale jednak czasem daje ludziom to, za czym tęsknią? Artykuł jednak jest nade wszystko o tym, czego Kościół dziś nie daje, i o próbach zastąpienia go. Pytanie, czy z powodzeniem.

Myślę o tym, co Kościół dziś ludziom proponuje. Przez stulecia nabrał wiele doświadczenia, ale też obrósł w praktyki i wierzenia, które kiedyś były może potrzebne, nawet jeśli nie istotne. Kościół jako organizacja – to niekoniecznie pozostawiony nam przez Jezusa projekt. Zresztą organizacja Kościoła, różne przepisy i kościelne zwyczaje się zmieniają. Organizacja powstawała, bo była konieczna, ale czy dokładnie taka, jaką dziś mamy, była pomyślana przez Jezusa?

Nie mówię nawet o stopniach hierarchii, tym bardziej o strojach kościelnych dostojników, bo te ostatnie powstawały w określonym czasie i były wzorowane na strojach dostojników świeckich. Styl świeckiego mówienia, pisania, ubierania się przenikał oczywiście świat kościelny, ale zawsze tylko w pewnym stopniu, bo świat kościelny starał się o własną specyfikę. Nie mówię tu o karierach i pieniądzach... Ale to wszystko jest zjawiskiem dość poplątanym i często dość odległym od Ewangelii.

Kościół będzie coraz bliższy swojego Mistrza, oczywiście nie wiadomo kiedy. Jednak z całą pewnością można powiedzieć, że ludzi idących w ślady Jezusa stopniowo będzie w nim przybywało. Będzie ubywało zaś tych, którzy poszli za czymś innym. Kościół też się zmienia i będzie się zmieniał. Trudno dziś powiedzieć, jak będą wyglądały te zmiany, ufam, że bardzo ewangelicznie. Nie znaczy to, że struktury przestaną istnieć, ubiór duchownych zniknie, wszystkie pieniądze zostaną rozdane, ale to wszystko będzie bliższe Ewangelii. Myślę też, że stopniowo coraz mniej ostre będą granice między różnymi denominacjami wyznawców Chrystusa. Po stuleciach krwawych niekiedy walk nie może to nastąpić błyskawicznie, lecz się zbliża.

Kościół jest wielkim zgromadzeniem i jako takie jest nawet w swej jedności bardzo różny. Byli i są w nim ludzie święci, którzy są nie tylko „o krok od *sacrum*", ale przekroczyli „to, co nadprzyrodzone". O nich dziś jest cicho: jak to w czasach oczyszczenia, więcej mówi się i pisze o tym, co należy zmienić. O tych, co zmieniają, o świętych naszego czasu mniej się mówi, co nie znaczy, że ich nie ma. ©℗

GRAŻYNA MAKARA

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.

TP

Szanowni Państwo,
W związku z ciągłym wzrostem kosztów logistycznych i dystrybucyjnych związanych z kioskową sprzedażą „Tygodnika Powszechnego" jesteśmy zmuszeni nieznacznie podwyższyć cenę egzemplarzową naszego pisma – o 1 zł. Począwszy od bieżącego numeru cena detaliczna „Tygodnika" wynosić będzie 16 zł.

Jednocześnie nie podwyższamy ceny „Tygodnika Powszechnego" w subskrypcji przez Paczkomat, realizowanej poprzez współpracę z firmą InPost. Cena ta wynosi dla subskrypcji rocznej 686 zł (13,19 zł za jedno wydanie). Zachęcamy Państwa do wykupywania subskrypcji paczkomatowej lub prenumeraty pocztowej realizowanej przez Pocztę Polską.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Na pierwszych stronach najnowszego, aż stustronicowego wydania „Tygodnika” znajdą Państwo kilka liczb, które mogą wywrócić – jeśli oczywiście takowe macie – Wasze wyobrażenia o Polsce odchodzącej od praktyk duchowych. W takim miejscu w debacie publicznej zazwyczaj padało słowo „laicyzacja”, tym razem jednak jest ono kompletnie nie na miejscu. **DUCHOWOŚĆ I RELIGIJNOŚĆ**, jak zauważa w Temacie Tygodnika **JAREMA PIEKUTOWSKI**, funkcjonują dziś bowiem jako dwa zjawiska. Jeśli zbieżne, to tylko w tym znaczeniu, że to drugie stało się podzbiorem tego pierwszego, wycinkiem większego zjawiska.

„Nie można być wierzącym i zarazem niepraktykującym” – polscy księża powtarzają to zdanie od dekad kolejnym pokoleniom katechizowanej dziatwy. Trend, który opisujemy w tym wydaniu, dowodzi nie tylko nieskuteczności wspomnianej taktyki sklejania potrzeb duchowych z przynależnością do jednego wyznania. Pokazuje przede wszystkim, że są one głębsze i powszechniejsze, niż chcieliby to przyznać i księża, i niektórzy komentatorzy polskiej rzeczywistości, którym z Kościołem na co dzień bardzo nie po drodze.

Świat naszych pragnień, proszę wybaczyć banał, nie kończy się na przysłowiowej już ciepłej wodzie w kranie i zakupach. Czasem jednak bliżej tej sferze do czegoś, co można nazwać kosmetyką duszy (ducha), niż tradycyjnej religijności. Niekiedy przybiera ona z kolei formę synkretycznej postreligijności czy postduchowości, polegającej na łączeniu elementów z różnych wyznań czy praktyk w pakiecik idealnie przemawiający do odbiorcy. Można więc nie uważać się za katolika, ale regularnie chadzać na pielgrzymki do Częstochowy, aby w grupie, w modlitewnej medytacji i w zmęczeniu znajdować to, czego duszy nie zapewnia nic innego. Albo pościć w Wielki Piątek, bo to dobrze robi temu fragmencikowi człowieczeństwa, który starożytna tradycja orficko-platońska opisywała jako punkt styku *soma–sema*, tego, co cielesne, z tym, co niematerialne.

O tym, „gdzie błądzi duch” – bo tak zatytułowaliśmy wspomniany wyżej raport – częściowo traktuje także inny materiał, którego nie mogę Państwu nie zarekomendować. **TOMASZ STAWISZYŃSKI** wita w nim nowe wydanie słynnej „Potęgi mitu” **JOSEPHA CAMPBELLA**. Czytajcie, a znajdziecie. ©℗

MAREK RABIJ
REDAKTOR PROWADZĄCY

Dziennikarz ekonomiczny, redaktor działu Kraj, wyróżniony w konkursie NBP dla najlepszego dziennikarza ekonomicznego. Autor książek nominowanych m.in. do nagrody im. Teresy Torańskiej i do Grand Press.

56 Miłość na Majorce
ZOFIA JURCZAK
Jak rajskie wakacje Fryderyka Chopina i George Sand zmieniły się w niemal gotycki horror.

69 Mistrz mistrza Yody
TOMASZ STAWISZYŃSKI *omawia wznowienie głośnej „Potęgi mitu”* JOSEPHA CAMPBELLA.

78 Bliskość bez bajki
KATARZYNA KUBISIOWSKA *rozmawia z socjologiem* TOMASZEM SZLENDAKIEM *o miłości w czasach aplikacji randkowych.*

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // MUSÉE DE LA VIE ROMANTIQUE / CCO // LMK / BE&W // PAPER TRIDENT / ADOBE STOCK

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Dyplomacja dronów
MAREK RABIJ

7-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Ludzie na górze
MARCIN KĘDZIERSKI:
Czy patrząc na Europę, naprawdę powinniśmy się wstydzić polskich elit politycznych?

21 To zawsze mnie bolało
MARCIN CHODUŃ:
Kto, jeśli nie on, polski Żyd, powinien pomagać wiekowym polskim Sprawiedliwym wśród Narodów Świata

24 Duma i wyprzedzanie
MAREK RABIJ:
Europa Wschodnia zaczyna się dziś tam, gdzie kończą się polskie autostrady

■ ■ ŚWIAT

30 Tysiąc jednego dnia
PATRYCJA BUKALSKA:
Masowa imigracja na Wyspy Brytyjskie znów rozpala tamtejsze społeczeństwo

33 Żurek na Visie
ALEKSANDRA WOJTASZEK
odwiedza Polaków, którzy osiedlili się w Chorwacji

36 Maduro na celowniku Trumpa
MARTYNA LESZCZYŃSKA
analizuje napięcia między USA i Wenezuelą

■ ■ WIARA

38 Wszechmogący i niebinarny
PAULINA MODEL
rozmawia z KALINĄ WOJCIECHOWSKĄ:
Bóg nie mieści się w naszych kategoriach płciowości

TEMAT TYGODNIKA

ADOBE STOCK

12 Gdzie błądzi duch
JAREMA PIEKUTOWSKI
Jakie formy przybiera współczesna duchowość? Jak daleko jej do tradycyjnie pojmowanej religijności?

■ EKSTRA STRONY ■

48 EMPATIA – DLA NAIWNYCH CZY ODWAŻNYCH
60 KRAKÓW – WSPÓLNOTA KULTURY

■ FESTIWAL CONRADA 2025 ■

83 NADZIEJA RADYKALNA

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
28 OLGA DRENDA **46** ZUZANNA RADZIK
76 PAWEŁ BRAVO **82** TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
BLANKA BIERNAT DLA „TP"

41 Biblia kobiet
ZUZANNA RADZIK:
Ponad sto lat temu sufrażystki wzięły się za komentowanie Biblii. Efekt był zaskakujący

43 Wychodząc z Rzymu
WOJCIECH ZALEWSKI:
Prawdziwy katolicyzm nie jest grecki ani rzymski, a tym bardziej polski. Jest bezprzymiotnikowy

47 Czytania
KARD. GRZEGORZ RYŚ
O. WACŁAW OSZAJCA

■ ■ NAUKA

52 Ci obcy
MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI:
Mapa globalnego zróżnicowania grzybów pozwala je lepiej zrozumieć i chronić

■ ■ HISTORIA

56 Miłość na Majorce
ZOFIA JURCZAK

■ ■ KULTURA

62 Stare lwy, ostre pazury
ANITA PIOTROWSKA
z festiwalu filmowego w Gdyni

66 Zakonnicy w przebraniu
DARIUSZ KOSIŃSKI:
Inscenizacja „Krzyżaków" Jana Klaty jest jak rekonstrukcja bitwy pod Grunwaldem

69 Mistrz mistrza Yody
TOMASZ STAWISZYŃSKI

71 Owce, jelenie i śledzie
LEKTOR *o książce Patrycji Bukalskiej „Ziemia jednorożca. Podróż po Szkocji"*

■ ■ PSYCHE

78 Bliskość bez bajki
KATARZYNA KUBISIOWSKA
rozmawia z TOMASZEM SZLENDAKIEM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ AKTUALNĄ OFERTĘ NA STRONIE 99

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

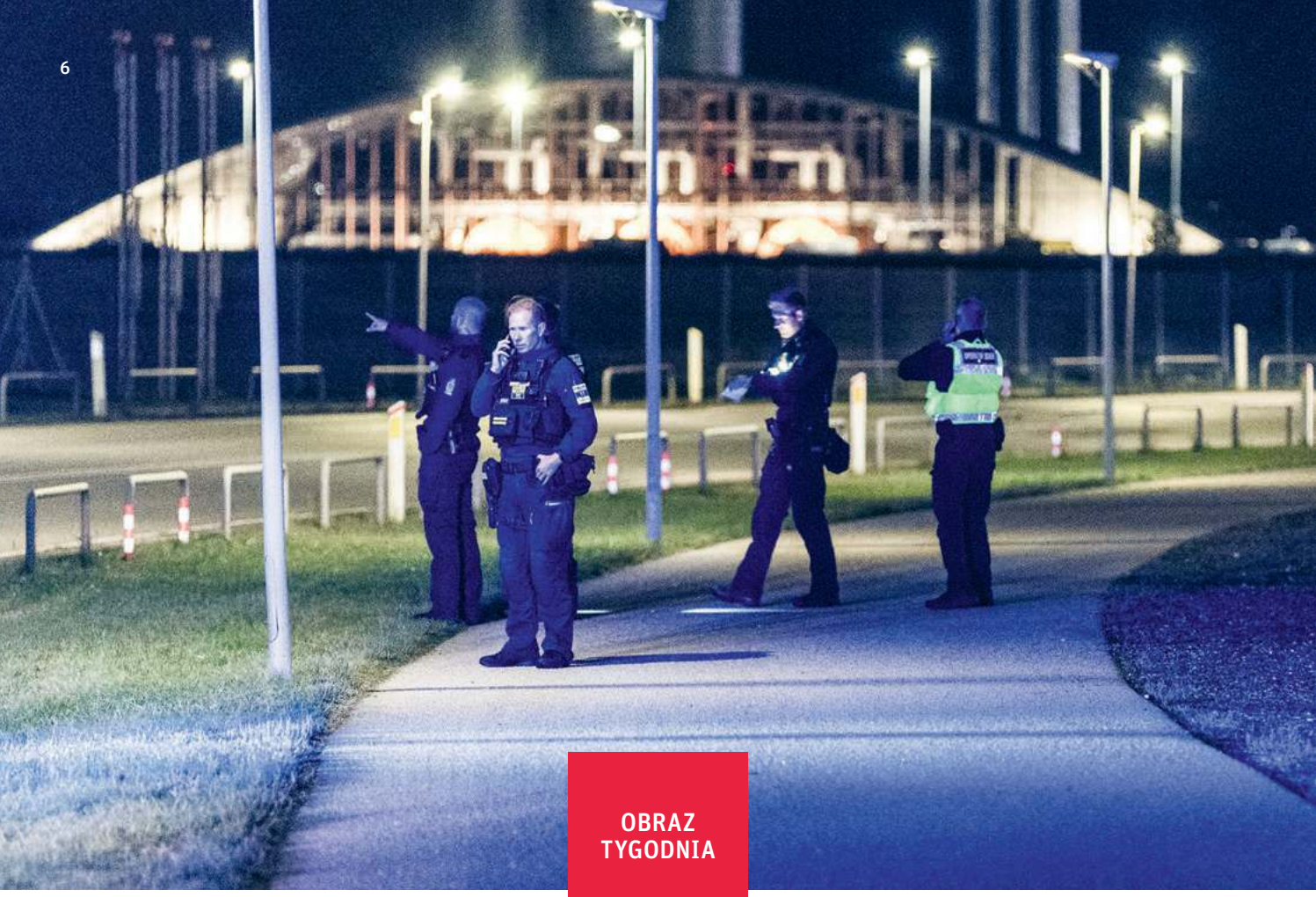

OBRAZ TYGODNIA

DYPLOMACJA DRONÓW

Rosyjskie bezzałogowce nad Europą nie zniechęcą jej do wspierania Ukrainy. Mogą za to sprawić, że inwestorzy będą musieli brać pod uwagę dodatkowe ryzyko. Czy Kreml chce podzielić się problemem, który sam ściągnął na siebie?

MAREK RABIJ

POWYŻEJ:
Akcja duńskich służb przy lotnisku w Kastrup koło Kopenhagi po pojawieniu się nad nim obcych dronów. Dania, 22 września 2025 r.

Drony nad lotniskiem w Kopenhadze i nad duńską bazą wojskową w Karup na Półwyspie Jutlandzkim. Niezidentyfikowane bezzałogowce krążące koło bazy szwedzkiej marynarki w Karlskronie. Drony nad hydroelektrownią Valayaskoski koło fińskiego Rovaniemi i nad lotniskiem w Wilnie. Trzy rosyjskie myśliwce latające *de facto* nad rogatkami stolicy Estonii i nie-reagujące na polecenie opuszczenia przestrzeni powietrznej tego kraju. Rosyjski samolot rozpoznawczy dwukrotnie przelatujący około stu metrów nad niemiecką fregatą „Hamburg".

Wreszcie pamiętna noc z 9 na 10 września i kilkanaście, może nawet kilkadziesiąt dronów, które ze wschodu wtargnęły na polskie niebo i zmusiły NATO do reakcji. A trzy dni później to samo, już przy granicy Ukrainy z Rumunią.

To tylko podsumowanie incydentów z września z udziałem statków powietrznych, które niemal na pewno przekroczyły granice Unii Europejskiej za wiedzą i przyzwoleniem Moskwy.

KREML ODPOWIADA na te zarzuty w sposób typowy dla siebie, czyli mnoży wątpliwości, milczy lub po prostu kłamie. Dwunastominutowy rajd trzech samolotów Mig-31 na ponad 10 kilometrów w głąb Estonii oficjalnie nazywa planowym lotem bez „przekroczenia granic państwowych". Co nadaje sprawie dodatkowego smaczku – tak jakby Rosja znów uważała Tallin za stolicę jednej ze swoich republik. Maszyny znalezione w Polsce? Ich pochodzenie nie zostało ostatecznie potwierdzone – odpowiada Moskwa. Co latało opodal Rovaniemi? Zapewne święty Mikołaj.

W tej grze Kremlowi w gruncie rzeczy chodzić może nawet nie o to, aby oddalić podejrzenia od Rosji. Im więcej wątpliwości, tym lepiej. Niech nad Europę także spłynie tzw. mgła wojny.

Akty terroryzmu, których Kreml dopuszcza się w krajach Unii Europejskiej, na ra-

zie nie przyniosły pokładanych nadziei. Europa żyje wprawdzie z wojną za płotem, ale przesadnie nie odczuwa jej konsekwencji. Zwłaszcza w wymiarze ekonomicznym. Nie da się powiedzieć tego samego o Rosji.

MOSKWA BRUTALNIE dławiła dotąd każdy przejaw krytyki i wręcz chwaliła się efektywnością swojej gospodarki przestawionej na wojenne tory. W ostatnich miesiącach przybywa jednak głosów nawet z Kremla i okolic, które akcentują zbyt wysokie koszty „specoperacji" dla kraju. „Musimy uniknąć tego scenariusza" – mówiła pod koniec ub. roku Elwira Nabiullina, szefowa Rosyjskiego Banku Centralnego, komentując raport rosyjskiego Centrum Analiz Makroekonomicznych i Prognoz Krótkoterminowych, z którego wynikało, że rosyjskie firmy zaczyna dziesiątkować spadek produkcji i rosnąca niewypłacalność spowodowana podnoszeniem stopy procentowej.

Teraz, na początku września, inna ważna persona z kręgu Putina – German Gref, prezes Sberbanku, największego banku w Rosji, stwierdził publicznie, że w pierwszej połowie 2025 r. kraj znajdował się w stanie tzw. technicznej recesji (minimum dwa kwartały z ujemnym przyrostem PKB). A przypomnijmy, że jeszcze ubiegły rok Rosja miała zakończyć wzrostem PKB aż o 4,3 proc. i większość ekonomistów zakładała, że w bieżącym roku będzie nadal grubo nad kreską. Jeszcze w lutym br. agencja Interfax cytowała prognozę banku centralnego, który zakładał, że do grudnia rosyjska gospodarka urośnie o 0,5-1,5 proc.

SYTUACJĘ GOSPODARCZĄ, z której opisaniem mają problem ekonomiści – za sprawą utajnienia przez Kreml danych (w 2022 r. zaprzestano publikacji wielu wskaźników gospodarczych) – widzą i czują za to na co dzień zwykli Rosjanie. Ukraińskie ataki na rafinerie sprawiły, że w kraju będącym największym producentem ropy zaczyna brakować paliwa. Ogromne pieniądze pompowane w wojsko i wojnę nakręcają inflację, która wedle oficjalnych danych trzyma się na poziomie 8 proc. Rosnące koszty wynagrodzeń hamują z kolei zatrudnienie. Tylko co czwarta firma prowadzi obecnie rekrutację. Rok temu było to 56 proc. Wysokie stopy procentowe dławią rynek mieszkaniowy.

Finanse rosyjskiego państwa też trzeszczą w szwach. Na początku sierpnia na rachunku deficytu budżetowego Rosji pojawiła się wartość, którą Kreml spodziewał się ujrzeć tam dopiero 31 grudnia. Dlatego od 2026 r. główna stawka VAT wzrośnie z 20 do 22 proc. Wszystko to – jak pisze w analizie dr Tomasz Makarewicz z uniwersytetu w Bambergu – zaczyna składać się na obraz kraju toczącego wojnę, na którą dawno go nie stać. Czy właśnie to miał na myśli również Donald Trump, gdy kilka dni temu nazwał Rosję „papierowym tygrysem"?

DRONY NAD POLSKĄ czy nad Danią nie zmuszą krajów Europy do wycofania się ze wspierania Ukrainy, nie zwrócą też tamtejszych społeczeństw przeciwko rządom. Mogą jednak destabilizować ruch lotniczy, szkodzić logistyce, siać niepokój. Zamienić Europę Środkową i Północną w wielką strefę przyfrontową, gdzie nie słychać wprawdzie huku dział, ale gdzie w każdej chwili coś może spaść z nieba, a potencjalni inwestorzy i pożyczkodawcy będą musieli wziąć to ryzyko pod uwagę.

We wrześniu dwie z trzech największych agencji ratingowych obniżyły Polsce tzw. perspektywę ratingową, zakładając, że sytuacja geopolityczna nie pozwoli Warszawie zmniejszyć tempa, w jakim nasz kraj się zadłuża. Na razie to tylko ostrzeżenie bez wpływu na sytuację budżetu. Ale gdyby istotnie doszło do obniżenia ratingu, wtedy koszty obsługi polskiego długu pójdą w górę. A od roku 2020 i tak urosły już trzykrotnie.

To również – oprócz politycznego i militarnego testowania NATO i Europy – może być cel rosyjskiej „dyplomacji dronów". ©℗

STEVEN KNAP / AFP / EAST NEWS

Czy strzelać?

WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA

Radosław Sikorski mówił krótko, trzy minuty, ale konkretnie. „Jeśli kolejny pocisk albo samolot wejdzie w naszą przestrzeń bez zgody, celowo lub przez pomyłkę, i zostanie zestrzelony, proszę, nie przychodźcie tu potem skamleć. Zostaliście ostrzeżeni" – powiedział szef dyplomacji na forum ONZ. Rzecznik Kremla odparł, że to „lekkomyślne" deklaracje, a ambasador Rosji w Paryżu zagroził, że zestrzelenie rosyjskiej maszyny „będzie wojną".

Problem w tym, że NATO nie jest jednomyślne, jak dać odpór rosyjskim prowokacjom. Państwa wschodu i północy Europy widzą w nich testowanie determinacji Sojuszu. Za to część zachodnich stolic, np. Berlin, ostrzega przed wpadnięciem w „pułapkę eskalacji".

Na razie konsensus brzmi: reagujemy adekwatnie do sytuacji, bez automatu ustawionego na „strzelaj".

Sekretarz generalny NATO Mark Rutte podkreśla, że taką decyzję każdorazowo poprzedzi analiza zamiarów, uzbrojenia i ryzyka, jaką niosą działania Rosji. Dlatego Migi-31 nad Estonią odeskortowano, a nie zdjęto z nieba.

Co to w praktyce oznacza? Że o ile nikt nie będzie płakał po strąconych rosyjskich dronach i można założyć, że będą eliminowane przy każdej okazji (prawo do ich niszczenia chcą dać nawet zachowawczy Niemcy), o tyle strzelanie do maszyn załogowych zawsze będzie decyzją polityczną, obciążoną ryzykiem. Prawo międzynarodowe pozwala na to, jeśli są to działania w samoobronie oraz spełniają wymogi konieczności i proporcjonalności.

W praktyce to jednak decyzja obliczona nie tylko na „tu i teraz", ale też na „dzień po". Gdy w 2015 r. Turcja zestrzeliła nad swoim terytorium rosyjski Su-24, wojny z tego nie było, ale też stosunki między NATO a Moskwą są dziś bez porównania gorsze. Ze strony Kremla można spodziewać się reakcji – raczej nie militarnej, lecz w postaci kolejnych aktów sabotażu, cyberataków itd.

Ryzyko eskalacji zawsze będzie więc towarzyszyć takiej decyzji. Jak je ograniczyć? Po pierwsze, ujednolicić reguły użycia siły w Sojuszu, tak by nikt nie wątpił, iż wszyscy członkowie NATO zareagują na intruza tak samo. Po drugie, analiza i rejestracja dowodów: ścieżek radarowych, logów łączności. Tak aby Rosja nie mogła robić z siebie ofiary. Po trzecie, szybkie stworzenie „taniej" warstwy obrony, pozwalającej strącać drony bez poświęcania drogich rakiet. Tu doświadczenia Ukrainy są bezcenne.

Przede wszystkim jednak: NATO nie może teraz się cofnąć, bo straci wiarygodność i rozzuchwali Rosję. ©

Ofensywa Morawieckiego

MAREK KĘSKRAWIEC

Trudno byłoby znaleźć w Polsce bardziej upartego polityka niż Mateusz Morawiecki. Próbował tworzyć rząd nawet po przegranych wyborach, dobijał się też o nominację prezydencką, choć cierpliwie tłumaczono mu, że jako twarz upadłego gabinetu Zjednoczonej Prawicy raczej nie zjednoczy wokół siebie narodu. I gdy wszyscy złożyli go już do politycznego grobu, Morawiecki ruszył do ofensywy.

Wywiad u Krzysztofa Stanowskiego w Kanale Zero – 580 tys. wyświetleń; debata z Adrianem Zandbergiem – 110 tys.; Piwo z Mentzenem – 360 tys. Razem ponad milion widzów w niecały miesiąc, a mówimy tylko o najbardziej medialnych występach. Zapewne nie byłoby tego sukcesu, gdyby Morawiecki radził sobie w dyskusjach źle. Tymczasem widać było, że jest w dobrej formie: uwolniony od nadzoru Kaczyńskiego mówi „ludzkim głosem", a jednocześnie, jako dawny prezes banku, potrafi sypać z rękawa najróżniejszymi danymi, a także ciekawie mówić o ważnych zjawiskach ekonomicznych, na czele ze starciem USA i Chin o panowanie nad światem. Wielu z tych mądrości jakoś nie chciał wcielać w życie będąc premierem, ale pamięć ludzka bywa krótka. To zaś mocno martwi nawet nie tyle obecnie rządzących, co ważnych polityków samego PiS.

Nie do końca wiadomo, jaka jest w tym fermencie rola samego prezesa partii, który znany jest ze skłócania pisowskich elit, by je potem godzić, a tym samym utrzymywać kontrolę nad całością. Faktem pozostaje jednak, że niezwykła aktywność Morawieckiego skłoniła do sojuszu jego przeciwników, co symbolizuje słynne już wspólne zdjęcie kwartetu: Czarnek, Jaki, Sasin, Bocheński. Panowie mają się spotykać od tygodni, czasem wspomagani przez tandem Ziobro–Błaszczak. Ten pierwszy to zaprzysięgły wróg Morawieckiego, drugi gra niemal oficjalną rolę „ucha prezesa". W tle ma być też kolejny sympatyzujący z nimi duet: była premier Szydło z byłą marszałek Witek.

Przy tak licznej ekipie Morawiecki wydaje się dużo słabszy – ale nie samotny. Są z nim Gliński, Obajtek, Terlecki (co prawda ostatnio odstawiony z otoczenia Kaczyńskiego), a także mniej znaczący, acz pracowici adiutanci byłego premiera (Dworczyk, Buda, Müller). Stali się oni znaczącą frakcją, z którą nawet prezes PiS musi się liczyć.

Właśnie: co by nie mówić o PiS, rządzonym twardą ręką Kaczyńskiego, tam wciąż są frakcje. Czy to samo moglibyśmy powiedzieć o KO? ©℗

DOMINIK GAJDA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Mateusz Morawiecki i Adrian Zandberg podczas debaty „Jaka droga rozwoju Polski?". Dąbrowa Górnicza, 5 września 2025 r.

Wybrali Europę

PIOTR OLEKSY

Prozachodnia Partia Działania i Solidarności, która rządzi Mołdawią od 2021 r., ponownie wygrała wybory parlamentarne, uzyskując samodzielną większość. Wprawdzie ostatnie dni kampanii były nerwowe, jednak alarmistyczny ton, który przyjął obóz rządzący, się opłacił – Mołdawianie masowo poparli kurs na Unię Europejską.

Ten wynik jest zaskoczeniem. Przedwyborcze sondaże wskazywały, że Partia Działania i Solidarności (PAS), chcąc pozostać u władzy, będzie musiała posiłkować się koalicją z jednym z mniejszych ugrupowań. Tymczasem w niedzielę 28 września na to proeuropejskie ugrupowanie, którego realną liderką jest prezydentka Maia Sandu, zagłosowało 50 proc. biorących udział w wyborach. W 101-osobowym parlamencie PAS będzie mieć 55 głosów.

Natomiast koalicja prorosyjska, określająca się jako Blok Patriotyczny – ta, której część badań dawała zwycięstwo – uzyskała poparcie niespełna 24 procent. Do parlamentu wejdą też centrowy blok Alternatywa (8 proc.), antysystemowa Nasza Partia (6,2 proc.) oraz – to kolejne zaskoczenie – nacjonalistyczna Demokracja w Domu (5,6 proc.), która postuluje zjednoczenie Mołdawii z Rumunią.

Na kilka dni przed wyborami mołdawska policja aresztowała 74 osoby, które oskarżono o przygotowywanie powyborczych zamieszek.

Byli to młodzi mężczyźni, dla których – jak twierdzą mołdawskie służby – Rosja zorganizowała szkolenie na terenie Serbii.

Równocześnie policja skonfiskowała kolejne kwoty pieniędzy, które miały być wykorzystane w akcji masowych przekupstw wyborczych. Podobnych do tych, które rok temu zorganizowano w czasie wyborów prezydenckich i referendum europejskiego.

Na trzy dni przed wyborami sąd zawiesił działanie partii Serce Mołdawii, która wchodziła w skład Bloku Patriotycznego, a także marginalnej partii Wielka Mołdawia. Obie oskarżono o nielegalne finansowanie ze źródeł Ilana Șora – byłego mołdawskiego oligarchy, dziś na usługach Kremla.

W przedwyborczym orędziu prezydentka Maia Sandu prosiła Mołdawian o głos w obronie demokracji i integracji z Unią Europejską. Stwierdziła też, że w razie zwycięstwa obozu prorosyjskiego Mołdawia będzie wykorzystana do agresji na południowo-zachodnią Ukrainę.

Mołdawskie państwo zdało test na odporność, a większość społeczeństwa potwierdziła swój proeuropejski wybór. Kolejny sukces PAS został jednak okupiony brutalną i polaryzującą kampanią. Opozycja zapowiada protesty, twierdząc, że wybory nie były uczciwe. Czas pokaże, czy mołdawski obóz władzy będzie potrafił wyjść z trybu „demokracji walczącej". I czy będzie miał na to szansę. ©

NA PUNKTY

KOALICJA ZGODNA
Sejm uchwalił zakaz trzymania psów na uwięzi, np. na łańcuchu (z wyjątkiem m.in. spaceru na smyczy i transportu). Przeciw była Konfederacja i część PiS – choć Jarosław Kaczyński głosował za.

KOALICJA TRZESZCZY
Sejm nie zdołał odrzucić w pierwszym czytaniu prezydenckiego projektu ustawy o budowie CPK (skądinąd: realizowanej już przez rząd): 9 posłów Polski 2050, m.in. Szymon Hołownia, głosowało inaczej niż reszta koalicji, 12 się wstrzymało. Po porażkach w krajowej polityce marszałek stara się o posadę wysokiego komisarza ONZ ds. uchodźców.

KOALICJA MYŚLI
„Jak widzę, jak wielu naszych zwolenników dziś nabija się, że prezydent Nawrocki używa snusów, jak mówi po angielsku i ma taką, a nie inną postawę i robi zdjęcia na siłowni, to rozumiem, że kompletnie niczego się nie nauczyliśmy" – ocenił Rafał Trzaskowski w trakcie rozmowy ze swoimi zwolennikami na Campus Academy 2025, przestrzegając przed katastrofą wyborczą w 2027 r. ©℗

Biskup Jeż odpisuje Minakowskiej

ARTUR SPORNIAK

Aktywistka działająca na rzecz osób transpłciowych Maria Jadwiga Minakowska napisała list do biskupa z pytaniem o jej sytuację w Kościele po tranzycji z mężczyzny na kobietę. „Czy jestem w Kościele, w pełni praw, jako Maria Jadwiga, czy też Kościół się mnie wyrzeka?" – zapytała biskupa tarnowskiego Andrzeja Jeża (na zdjęciu).

Hierarcha, najprawdopodobniej świadomy, że jest poddawany publicznemu sprawdzianowi, zaliczył go z dobrą oceną. Minakowska otrzymała list na firmowym papierze z pieczęcią, podpisem i błogosławieństwem biskupim. Prezentując go na swoim blogu, z zadowoleniem komentuje: „W liście tym ksiądz biskup potwierdził, że widzi we mnie kobietę. (...) Nie zostałam wykluczona ze wspólnoty ani nie uznano, że sama się z niej wykluczyłam".

Bp Jeż napisał, że Minakowską, jako osobę ochrzczoną, obowiązują te same zasady, co innych. Może przystępować do komunii po spowiedzi i uzyskaniu rozgrzeszenia na normalnych warunkach (wyznanie grzechów, żal za nie i postanowienie poprawy). Hierarcha zaznaczył, że usunięcie organów płciowych Kościół traktuje jako grzech przeciw własnemu ciału, ale nie chce „wyrażać oceny moralnej", bo nie zna okoliczności decyzji aktywistki.

Uzupełnijmy informację o statusie osób transpłciowych w Kościele. Dykasteria Nauki Wiary w 2023 r. stwierdziła, że osoby po tranzycji mogą przyjmować chrzest i być rodzicami chrzestnymi oraz być świadkami sakramentu małżeństwa. Kościół nadal jednak nie dopuszcza osób transpłciowych do sakramentu małżeństwa i kapłaństwa.

Czy z listu biskupa tarnowskiego należy się cieszyć? Wyrażająca szacunek do drugiej osoby reakcja hierarchy jest czymś, czego należało się spodziewać. Choć i to minimum – okazuje się – może być kwestionowane. Biskup amerykański Toledo, Daniel E. Thomas, w niedawno wydanej broszurze o osobach transpłciowych zaleca, by „nie ulegać nieprawdzie" i nadal zwracać się do nich imieniem sprzed tranzycji. ©℗

SYLWIA PENC / AGENCJA WYBORCZA.PL

Czytanie wspiera odporność

MONIKA OCHĘDOWSKA

Podsumowano Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa 2.0 – największy krajowy projekt wspierający czytanie i dotujący biblioteki. Przedstawiciele i przedstawicielki Biblioteki Narodowej, Instytutu Książki, Narodowego Centrum Kultury oraz Ministerstwa Edukacji Narodowej opowiadali o swoich doświadczeniach pracy nad promocją książek oraz czytania, jak i o planach.

NPRCz 2.0 przez pięć ostatnich lat współpracował z 2500 bibliotekami. Wybudowano i wyremontowano ponad 100 placówek, kupiono 16,5 mln książek, zrealizowano ponad 2 tys. szkoleń dla bibliotekarek i bibliotekarzy. Między 2016 a 2023 rokiem liczba czytelniczek i czytelników w wieku przedszkolnym wzrosła o ponad 100 tys. Podwoiła się również liczba mężczyzn odwiedzających wypożyczalnie.

Co ważniejsze: operatorzy programu zdają sobie sprawę, że czytanie służy dziś nie tylko zdobywaniu wiedzy. W czasach, gdy wszyscy mamy problemy ze skupieniem uwagi i nadmiernie polegamy na technologii (bezkrytycznie ufając np. czatbotom), umiejętność krytycznego czytania jest jedną z kluczowych kompetencji. Jak udowodniła naukowczyni z Uniwersytetu Harvarda, Maryanne Wolf, każdy z nas powinien dobrze opanować języki obu mediów – analogowego i cyfrowego, książki i internetu. Inaczej nie będzie w stanie bezpiecznie funkcjonować.

Operatorzy NPRCz 2.0 powoływali się na raport badawczy PISA 2000 potwierdzający, że czytanie dla przyjemności wywiera większy wpływ na przyszłość dzieci niż ich status ekonomiczny. Wiele mówiono też o czytaniu jako strategii budowania odporności społecznej (zdolności do radzenia sobie z zagrożeniami oraz umiejętności szybkiej adaptacji do nowych warunków). Biblioteki – co pokazał moment wybuchu wojny w Ukrainie, gdy w placówkach organizowano punkty wsparcia dla uchodźców – są doskonałym miejscem budowania takiej odporności. Ale może nim być – jak pokazują badania Wolf – sama umiejętność krytycznej lektury. I to ona właśnie powinna stać się najważniejszą kompetencją wynoszoną dziś ze szkoły. Miejmy nadzieję, że taki właśnie cel postawią przed sobą operatorzy NPRCz 3.0. ©℗

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

Mieszkańcy Warszawy podczas posiedzenia rady miasta domagali się wprowadzenia nocnej prohibicji w stolicy. Warszawa, 18 września 2025 r.

Wódczane lobby zaczyna się kruszyć

ZDROWIE ▪ Jeszcze nie opadł kurz po kompromitacji radnych warszawskiej KO, którzy zablokowali projekt zakazu nocnej sprzedaży alkoholu (autorstwa Rafała Trzaskowskiego), a już dowiedzieliśmy się, jak bardzo partia władzy minęła się ze społeczeństwem. W sondażu IBRiS dla PAP za całkowitym zakazem sprzedaży alkoholu w nocy opowiedziało się 68 proc. Polaków, a wśród młodych ludzi ten odsetek był jeszcze wyższy – 73 proc. W kolejnym badaniu (SW Research dla Wirtualnej Polski) zwolenników zakazu było niewiele mniej, bo 63 proc. To dość zaskakujące i zarazem napawające nadzieją dane w kraju od wieków zmagającym się z alkoholizmem.

Upór radnych KO w mniejszym stopniu uznawany jest za skutek nacisków lobby alkoholowego, a w większym za wynik kampanii szefa lokalnych struktur, ministra Marcina Kierwińskiego, który postanowił pokazać Trzaskowskiemu miejsce w szeregu. Przy okazji jednak obnażył degrengoladę w partii oraz dał sygnał do ataku ze strony jej koalicjantów – znajdują się oni w głębokim kryzysie społecznego poparcia, więc usilnie potrzebują okazji do zaistnienia. Lewica już złożyła w Sejmie projekt całkowitego zakazu reklamy alkoholu, a także usunięcia go ze stacji benzynowych, nocnych sklepów, internetowej sprzedaży i dostępności w promocjach. Podobne zmiany zgłosiła Polska 2050, która dodatkowo nie chce reklam piw bezalkoholowych, pragnie za to możliwości badania trzeźwości posłów w Sejmie.

Co najciekawsze, poparcie dla takich rozwiązań zgłosił (niestety, wśród dziwacznych wywodów o uzależnianiu się kobiet) Jarosław Kaczyński, to zaś oznacza, że głównym politycznym lobby alkoholowym nie jest dziś Konfederacja (jej politycy przezornie milczą w ostatnich dniach), ale KO i PSL.

Partia Donalda Tuska prawdopodobnie zmieni za chwilę zdanie, jak zwykle bardziej pod wpływem sondaży niż wewnętrznego przekonania – więc twardą redutą starego porządku pozostaną ludowcy. Politycy PSL już porównują pomysł nocnej prohibicji (choć nie miałaby dotyczyć np. pubów) do kroku w stronę Korei Północnej.

Dobre w tej aferze jest to, że – wydawałoby się nieśmiertelne – lobby wódczane w polskim Sejmie zaczęło się kruszyć pod wpływem społeczeństwa i danych płynących z prawie dwustu miast, które wprowadziły zakaz nocnej sprzedaży alkoholu i dziś notują ostry zjazd liczby interwencji policji oraz wizyt na SOR-ach. Z kolei na Litwie, gdzie od 2018 r. obowiązują postulowane przez lewicę przepisy, spożycie alkoholu spadło o jedną czwartą. Oby to dotarło do nadzorującego policję ministra Kierwińskiego.

©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

Nauka języków skuteczna w każdym wieku

NAUKA ▪ Osoby w wieku emerytalnym rzadziej niż młodsi podejmują naukę języka obcego. Wraz z wiekiem osłabieniu ulegają nasze zdolności percepcyjne (psuje się nasz wzrok i słuch), gorzej radzimy sobie z koncentracją i sterowaniem uwagą, spada tempo przetwarzania informacji, pojawiają się problemy z pamięcią. Mniej osób wie jednak, iż pogorszeniu się takich „płynnych" zdolności poznawczych towarzyszy najwyższy poziom „skrystalizowanych" zdolności umysłowych, opartych na gromadzonych przez całe życie wiedzy i doświadczeniu. Przykładowo, nasze słownictwo staje się najbogatsze w wieku ok. 60 lat i przez dwie kolejne dekady utrzymujemy ten sam poziom, znacznie wyższy niż przez całą młodość.

Niektórzy badacze uważają, że ta akumulowana wiedza i doświadczenie przyczyniają się do związanego z wiekiem spowolnienia poznawczego. Umysł funkcjonuje wolniej nie tylko dlatego, że szwankować zaczyna neuronalna maszyneria, która go napędza – ale także dlatego, że magazyn naszej wiedzy jest znacznie bardziej wypełniony niż w młodości.

Wychodząc od tych koncepcji funkcjonowania ludzkiego umysłu, Karen Roehr-Brackin i Renato Pavlekovic z Uniwersytetu Essex w Colchester postanowili zbadać, czy osoby w wieku 60 lat i więcej są w stanie skutecznie uczyć się języka obcego i jaki sposób nauki będzie dla nich optymalny. W badaniu, z którego raport autorzy opublikowali w czasopiśmie „Language Teaching Research" i omówili w serwisie „The Conversation", wzięło udział 80 osób anglojęzycznych w wieku 60-83 lat. Uczestniczyły one w lekcjach online języka chorwackiego na podstawowym poziomie w jednej z dwóch grup. Osoby przypisane do pierwszej otrzymały w danej lekcji pełne objaśnienie stosownych zasad gramatycznych; w drugiej zamiast gramatyki przewidziano więcej przykładów i ćwiczeń.

Co ważne, słuchacze potrafili opanować przerabiany materiał, a w testach uzyskali wyniki przekraczające 80 proc. – co przekonuje, że nauka języka obcego możliwa jest w zasadzie w każdym wieku. Przedstawiciele obu grup radzili sobie z testami równie dobrze – sposób nauki nie był istotny. To zdaje się odróżniać seniorów od młodszych dorosłych, którzy na ogół lepiej radzą sobie z nauką języka obcego, gdy zasady gramatyczne są im wykładane *explicite*.

Uczestnicy badania wypełnili również ankietę, której analiza wskazuje, że wiek nie ma znaczenia dla ich postępów w nauce – w przeciwieństwie do nadal prowadzonej aktywności zawodowej i dobrej oceny własnego dobrostanu. Te czynniki zwiastowały nieco lepsze wyniki w lekcjach bez objaśnień gramatycznych, gdy trzeba opierać się na informacjach kontekstowych. Badacze uważają, że u podłoża tych różnic może leżeć wyższa pewność siebie osób nadal aktywnych zawodowo. Jednak sukces możliwy jest u wszystkich.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

Jak plazmidy uzbroiły bakterie

MEDYCYNA ▪ Dzięki bogatym zbiorom gazet, zdjęć i dokumentów opowiedzenie o ostatnich stu latach ludzkości wydaje się stosunkowo proste. Dostępne archiwa i opracowania pozwalają szczegółowo prześledzić np. konflikty zbrojne z perspektywy jednej i drugiej strony i dokładnie zrozumieć triumf oraz porażkę.

Ale historię boju ludzkości z bakteriami znamy prawie wyłącznie z jednej strony. Od czasu odkrycia penicyliny 97 lat temu wśród bakterii rośnie zjawisko oporności na leki. Niektórych szczepów bakteryjnych nie da się zwalczyć żadnym z dostępnych dziś leków. Z powodu lekooporności tylko w 2019 r. zmarło blisko 5 milionów osób, a prognozy na kolejne dekady są jeszcze bardziej pesymistyczne.

W jaki sposób bakterie w ciągu niecałego wieku dokonały tak spektakularnych zbrojeń? Tym zagadnieniem zajęła się grupa brytyjskich biologów molekularnych i mikrobiologów z zacięciem historycznym. Badacze przeanalizowali materiały genetyczne szczepów bakteryjnych z kolekcji kanadyjskiego bakteriologa Roberta G.E. Murraya, zebranych w latach 1917-1954, i porównali je z ich współczesnymi odpowiednikami.

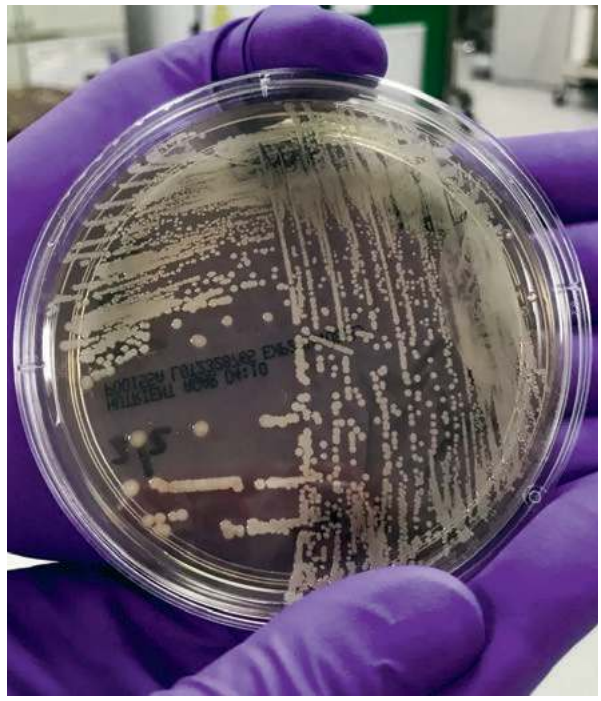

NATIONAL COLLECTION OF TYPE CULTURES / MATERIAŁY PRASOWE

Kolonia bakterii gronkowca złocistego (*Staphylococcus aureus*), z hodowli prowadzonej w National Collection of Type Cultures w Wielkiej Brytanii. Założona w 1920 r. organizacja jest najstarszym biologicznym bankiem patogenów. Znajduje się tam m.in. kolekcja zgromadzona przez R.G.E. Murraya, zawierająca szczepy bakterii sprzed ery antybiotyków.

Wiadomo, że geny oporności istniały od początku – niektóre bakterie produkują naturalne antybiotyki, więc inne próbują się przed nimi bronić. Rozprzestrzenianie się tych genów odbywa się kilkoma sposobami. Jednym z nich jest wymiana pomiędzy bakteriami plazmidów, czyli kolistych fragmentów materiału genetycznego zawierających m.in. geny oporności. Autorzy badania opublikowanego w ubiegłym tygodniu w „Science" podzielili znane plazmidy na trzy grupy – obecne tylko przed 1954 r., mieszane i te powstałe po 1954 r. Okazuje się, że „stare" plazmidy w ogóle nie zawierały genów oporności. Większość z nich do czasów współczesnych zanikła, a te, które przetrwały, stały się fragmentami plazmidów mieszanych, z których część zawiera geny oporności na antybiotyki. Im większy plazmid, tym łatwiej wchłania inny plazmid lub sam gen oporności, tworząc plazmid mieszany.

Rok 1954 jest w tym badaniu nieprzypadkową cezurą. To w latach 50. antybiotyki zaczęto produkować i stosować powszechnie, co doprowadziło do ich nadużywania i wszechobecności w bakteryjnym i ludzkim świecie. Początek ery antybiotyków zapoczątkował szybką ewolucję plazmidów, a przez to narastanie oporności.

Według autorów badania taka „mikrohistoria" może pomóc rozwiązać współczesny problem i pozwoli wykryć te plazmidy, które niosą ze sobą szczególne ryzyko roznoszenia oporności. Wciąż jednak najważniejsze jest dbanie, by antybiotyków nie nadużywać.

© BARTOSZ KABAŁA

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

GDZIE BŁĄDZI DUCH

Duchowy krajobraz współczesnej Polski to mniej modlitwy i regularnych praktyk, więcej medytacji i postu. Potrzeby religijne wyrażamy przez ciało. Ezoterykę zastępuje coaching.

JAREMA PIEKUTOWSKI

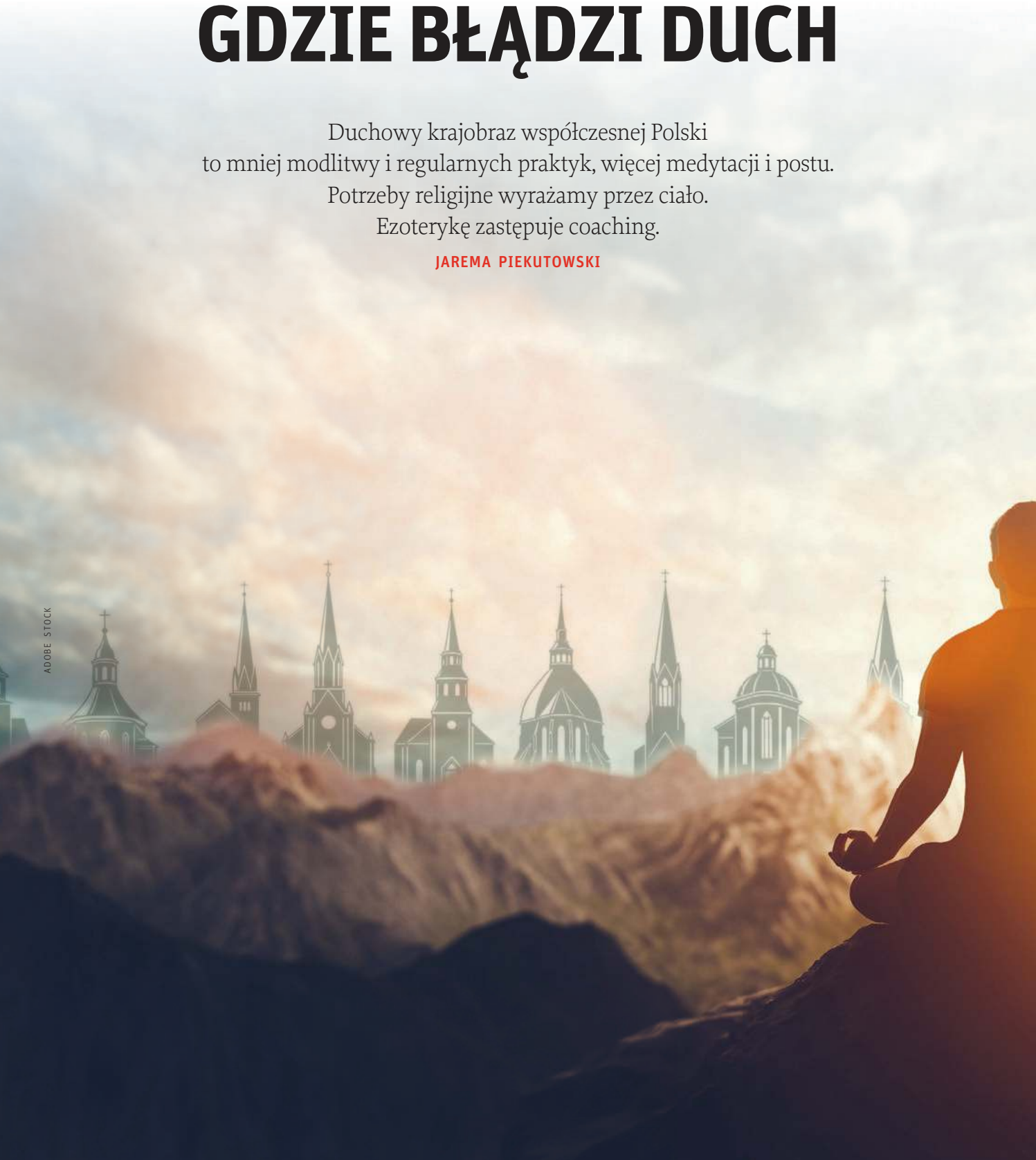

ADOBE STOCK

Samo słowo »duchowość« kojarzy mi się [źle] (...). Zostało troszeczkę przez różne religie jakoś tak zagarnięte". „Pomaga mi odnaleźć sens i spokój w tym szalonym świecie" – mówi dwoje uczestników badania „Jakie są polskie Zetki?" (Uniwersytet SWPS i They.pl, 2024). Między tymi wypowiedziami rysuje się krajobraz polskiej duchowości A.D. 2025. Coraz częściej oddala się ona od kontekstu religijnego, ale jej potrzeba, nawet niewyrażana wprost, wydaje się coraz silniejsza.

Duchowość i religijność

„Duchowość" to termin wieloznaczny. W ujęciu najbardziej tradycyjnym jest ściśle związana z życiem religijnym. Wielki Słownik Języka Polskiego PAN definiuje ją jako „wymiar psychiki człowieka odnoszący się do religii i wierzeń". Najczęściej rozumie się ją jako indywidualny wymiar religii – wszystko to, co człowiek przeżywa i czyni, by nawiązać relację z Absolutem.

Ale można też mówić o duchowości zbiorowej, charakteryzującej określone grupy – w Kościele katolickim np. mamy duchowość wspólnot charyzmatycznych, ignacjańską, franciszkańską czy neokatechumenalną. Tak czy inaczej, mówimy o sposobie budowania relacji z tym, co boskie, niematerialne i nadprzyrodzone. A skoro w chrześcijańskiej teologii Bóg jest duchem, to chrześcijańska duchowość będzie obejmować wszystko, co wiąże się z kontaktem z Nim: liturgię, modlitwę osobistą i zbiorową, sakramenty, praktykowanie miłości czy ascezy, kontemplację.

Duchowości nie trzeba jednak rozumieć wyłącznie w sposób religijny. Mówi się także o duchowości pozareligijnej lub świeckiej. W tym znaczeniu można ją zdefiniować jako ogół działań, refleksji i odczuć odnoszących się do transcendencji. I jako taka jest – znowu – różnie pojmowana. Czasami jako – po prostu – wykraczanie poza siebie dzięki pracy nad sobą, odwadze i wytrwałości. Niekiedy odnosi się do poszukiwania sensu i celu życia, cierpienia i śmierci albo osobistej misji (jak mówi australijski badacz duchowości David Tacey, „duchowość to wszystkie ścieżki nadające sens i cel"). „Tym, co jest przekraczane", może być wszechświat jako całość, istnienie, natura albo piękno.

Niektórzy apelują, by te definicje uzupełnić jeszcze o czwarty wymiar zdrowia, obok fizycznego, psychicznego i społecznego. „Zdrowie duchowe" ma być stanem, w którym człowiek dąży do realizacji swojego pełnego potencjału, odnalezienia sensu i celu życia oraz poczucia wewnętrznego spełnienia.

Tak opowiada o tym respondent badania „Jakie są polskie Zetki?": „Dzięki duchowości staram się być bardziej świadomy siebie, innych ludzi i otaczającego mnie świata. To taki sposób na rozwijanie wewnętrznego spokoju, harmonii i pozytywnej energii".

Słowem – duchowość można zdefiniować jako doświadczenia, działania, ↦

↦ sposoby życia, myślenia i odczuwania, które służą przekroczeniu przez człowieka samego siebie, tego, co jednostkowe, psychiczne czy społeczne.

Nawyki i praktyki

W Polsce duchowość jest często utożsamiana z religijnością, zwłaszcza w formie katolickiej. Katolicyzm to u nas wciąż religia najczęściej wyznawana – według spisu powszechnego z 2021 r. 71,5 proc. Polaków uważa się za rzymskich katolików (za chrześcijan – 72,5 proc.). Jeszcze kilkadziesiąt lat temu wydawało się to więc proste: duchowość oznaczała życie religijne – zbiorowe (sakramenty, uczestnictwo w liturgii) i indywidualne (modlitwa, praktyki ascetyczne). Dziś to utożsamienie budzi krytykę (respondentka wspomnianego badania: „Samo słowo »duchowość« kojarzy mi się bardzo dziwnie, bo wydaje mi się, że zostało troszeczkę przez różne religie jakoś tak zagarnięte, i po prostu kojarzy mi się z wyznawaniem jakiegoś konkretnego nurtu. A dla mnie jest to w pewien sposób ograniczające").

Na tle Europy Zachodniej Polacy wyjątkowo mocno trzymają się zbiorowych praktyk duchowych. Badania Pew Research Center z 2024 r. pokazują, że 49 proc. obywateli naszego kraju co najmniej raz w miesiącu uczestniczy w nabożeństwach. Tyle że za tą fasadą kryje się proces głębokiej erozji. Wskaźniki praktyk religijnych spadają od lat. W 1990 r. w niedzielnej Mszy św. uczestniczyła połowa polskich katolików, w 2023 r. było ich już tylko 29 proc. Prawdziwe tąpnięcie nastąpiło w okresie pandemii covid-19, która zadziałała jak papierek lakmusowy, a zarazem katalizator zmian. Zamknięcie kościołów przełamało u wielu katolików rytuał niedzielnej Mszy. Nieraz na stałe.

Tu ujawnia się niejednoznaczny związek duchowości z wiarą. O ile w okresie okołopandemicznym (2019-2021) rósł znacząco odsetek niewierzących, o tyle w kolejnych latach coraz więcej jest osób wierzących, ale praktykujących nieregularnie. Dziś te dwie grupy są niemal równe.

Regularne chodzenie do kościoła przestaje być więc miarą wiary. Dlaczego? Przyczyn jest wiele. Badania CBOS nad motywami rezygnacji z praktyk religijnych pokazują, że nie chodzi wcale o kwestie społeczne czy polityczne. Najczęstsze deklarowane powody to „brak potrzeby" i „obojętność" (17 proc.), szeroko pojęta krytyka Kościoła jako instytucji (12 proc.) oraz – po prostu – „brak wiary" (11 proc.). W niestabilnym świecie, pełnym chorób, lęku przed wojną i śmiercią, ludzie nie szukają już oparcia w Kościele instytucjonalnym, na co wskazuje też znaczący spadek zaufania do niego. W konflikcie między indywidualnym sumieniem a nauczaniem Kościoła młodzi coraz częściej decydują się wybrać sumienie. „Nie odrzucam Kościoła katolickiego, to Kościół odrzuca mnie" – mówi 26-latek cytowany w tytule artykułu omawiającego badania Marii Rogaczewskiej i Sławomira Mandesa z UW.

29 proc.

polskich katolików regularnie uczestniczy w niedzielnej Mszy świętej.

Trudno jednak znaleźć dowody, by rodziła się w Polsce masowo wiara głęboko przemyślana i zindywidualizowana. Nadal bardzo ważnym czynnikiem religijności pozostaje rodzinny przekaz. W badaniu CBOS z 2020 r. aż 66 proc. Polaków deklarowało: „Wyniosłe(a)m wiarę z domu i podtrzymuję przekazaną mi tradycję". Inne badania tej samej instytucji wskazują, że bardzo silny wpływ na religijność dzieci, przede wszystkim córek, mają matki: kobieta przekazująca wiarę w rodzinie to wciąż dominujący model, choć coraz bardziej kruchy. Ci, którzy wybrali wiarę pod wpływem głębokiego przeżycia czy przemyśleń, stanowią kilkanaście procent i nic nie wskazuje na to, by ich liczba miała znacząco rosnąć.

Moda na pielgrzymki

W krajobrazie ogólnego spadku można zaobserwować jedną praktykę religijną, która wymyka się trendom spadkowym. To pielgrzymki – prawdziwy hit polskiej duchowości.

Przynajmniej raz w życiu pielgrzymowała jedna trzecia dorosłych Polaków (CBOS 2017). Zakład Geografii Religii UJ szacował (w 2019 r.), że pielgrzymuje ok. 7 milionów naszych rodaków, a ich liczba nie maleje od lat 90., w przeciwieństwie do odsetka osób uczestniczących w nabożeństwach. O. Michał Bortnik, paulin, dyrektor Biura Prasowego Jasnej Góry, widzi też tendencję zwyżkową wśród młodzieży. „Dawniej grupy pielgrzymkowe były bardziej związane z miejscowościami, z których wychodziły, bo tam mieszkali pątnicy. Teraz tworzą się natomiast pielgrzymki tematyczne. Młodzież szuka pielgrzymek medytacyjnych czy pokutnych" – mówił w wywiadzie dla KAI. Rośnie też liczba Polaków na Camino de Santiago i w Rzymie.

Dlaczego właśnie pielgrzymowanie oparło się tendencji spadkowej? Z pewnością dlatego, że łączy w wyjątkowy sposób dwa wymiary – tradycyjny i nowoczesny – duchowości. Ruch pątniczy ma w Polsce długą historię i ogniskuje się właśnie wokół Jasnej Góry, miejsca centralnego dla typowej dla Polaków pobożności maryjnej i patriotycznej. Ale też współczesna duchowość staje się bardziej fizyczna, powiązana z troską o zdrowie czy szeroko pojęty dobrostan (*well-being*). Pielgrzymka oferuje to, czego ludziom – zwłaszcza mieszkającym w dużych miastach – brakuje na co dzień: prostotę, kontakt z naturą, poczucie wspólnoty i beztroski. To forma duchowości „cielesnej" i doświadczalnej, która najwyraźniej trafia w sedno współczesnych potrzeb.

Ten cielesny wymiar duchowości w ostatnich latach staje się coraz wyraźniejszy. Jedna ze studentek wypowiadających się w badaniu H. Mielickiej-Pawłowskiej mówi: „Duchowość zaczyna się wtedy, gdy człowiek stawia sobie pytanie o całą swoją rzeczywistość: o to, kim jest i po co żyje, o to, jaki sens ma jego ciało".

Post tak, modlitwa nie

Analiza indywidualnych praktyk duchowych Polaków ukazuje obraz pełen paradoksów. Z jednej strony, mocno trzymamy się postu. Według Pew Research Center aż 57 proc. Polaków pości w określonych okresach (Szwedów 4 proc., Hiszpanów 14 proc., Węgrów 29 proc.). Co więcej, praktyka ta jest silna nawet wśród osób w wieku 18-34 lata – dekla-

ruje ją 40 proc. młodych Polaków i jest to jeden z najwyższych wskaźników w tej grupie wiekowej na świecie.

Post – podobnie jak pielgrzymka – jest praktyką konkretną i ucieleśnioną, która rezonuje z potrzebą dyscypliny i samokontroli, a jednocześnie jest głęboko zakorzeniona w kulturze. Jesteśmy też w światowej czołówce, jeśli chodzi o noszenie symboli religijnych (42 proc.), wciąż stosunkowo często zapalamy świece czy kadzidła w intencjach duchowych (33 proc.).

Gdy jednak przejdziemy do fundamentu życia duchowego – modlitwy – obraz diametralnie się zmienia. W tym samym badaniu Pew zaledwie 18 proc. Polaków deklaruje, że modli się codziennie. Aż 55 proc. robi to rzadziej, a 20 proc. nie modli się nigdy. Częściej od nas modlą się nawet uznani powszechnie za niereligijnych Holendrzy (20 proc.) czy Kanadyjczycy (26 proc.), nie mówiąc o Włochach (30 proc.). Jeśli modlitwa i medytacja są zaczątkiem osobistego doświadczenia duchowego – przynajmniej w znaczeniu religijnym – to polska duchowość ma kruche podstawy.

Z tego punktu widzenia najbardziej alarmujące są dane dotyczące młodych pokoleń. Różnica między najstarszymi a najmłodszymi Polakami w kwestii codziennej modlitwy jest jedną z największych w świecie. Młodzi w Polsce mogą pościć z przyzwyczajenia lub nosić krzyżyk jako element tożsamości, ale intymna, codzienna rozmowa z Bogiem staje się rzadkością. A to już sygnał głębokiej zmiany – od duchowości opartej na relacji do duchowości opartej na tożsamości kulturowej i pojedynczych, rytualnych aktach.

Nowe ścieżki

Gdzie zatem Polacy szukają indywidualnej, pozainstytucjonalnej duchowości? Czy, jak przewidywano, zwracają się ku religiom Wschodu, także w uproszczonej wersji *à la* New Age oraz ku ezoteryce? Odpowiedź jest niejednoznaczna.

Z jednej strony sprzedaż literatury ezoterycznej wzrosła w czasie pandemii o 18 proc., jak pisze Monika Iwanicka z Akademii Bialskiej im. Jana Pawła II. Wspominane badanie Pew Research Center wskazuje, że 10 proc. Polaków korzystało z usług wróżki lub sięgało po horoskopy (wydaje się niewiele, ale to więcej niż w większości państw Europy Zachodniej). Z drugiej strony, według badań CBOS, popularność horoskopów sukcesywnie spada. Sama ezoteryka, po szczycie popularności w latach 90., też przybrała inne kształty, zbliżając się do psychologii i stając się często rodzajem działalności biznesowej.

62 proc.

polskich zetek deklaruje, że do rozwoju duchowego nie potrzebuje Kościoła.

Ciekawie mówi o tym antropolożka Dorota Hall, znawczyni New Age, w rozmowie z Olgą Drendą dla „Znaku": „Z moich dawniejszych badań wynikało, że w takich praktykach było (...) więcej marzeń o duchowej przemianie ludzkości inspirowanej rozmaitymi tradycjami. Korespondowało to z (...) nadzieją na lepsze jutro, z ogólnym poczuciem, że mamy moc budowania rzeczy od nowa, konstruowania nowej umowy społecznej. Na pewno troska o dobro wspólne wciąż towarzyszy wielu osobom praktykującym ezoterykę, jednocześnie jednak mamy do czynienia z silniejszym nurtem, tworzonym przez osoby, które zinternalizowały idee neoliberalne".

Duchowość Ery Wodnika, która miała być odpowiedzią na konsumpcjonizm zachodniego świata, została więc wchłonięta, przynajmniej częściowo, przez neoliberalną mentalność biznesową i kulturę terapeutyczną (coaching). I dobrze się sprzedaje, bo odpowiada na powszechny deficyt sprawczości oraz potrzebę radzenia sobie z niestabilnym i nieprzewidywalnym światem.

Duchowe zetki

Czy zapowiadana coraz częściej „nowa duchowość" – niezinstytucjonalizowana i wynikająca z wolnego wyboru – jest rzeczywiście domeną najmłodszych pokoleń? Odpowiedź nie jest jednoznaczna.

Cytowany na wstępie raport „Jakie są polskie Zetki?" wskazuje, że młodzi Polacy oddalają się od tradycyjnej, zinstytucjonalizowanej formy. Zdecydowana większość (62 proc.) nie potrzebuje Kościoła do rozwoju duchowego, nie uczestniczy w obrzędach (64 proc.), a święta traktuje głównie jako element tradycji, a nie wyraz wiary. Co jednak istotne, odwrót od religii nie oznacza zwrotu w stronę popularnej ezoteryki – zetki podchodzą z dużym dystansem do astrologii czy wróżbiarstwa, a ich moralność jest oddzielona od nakazów religijnych i oparta na uniwersalnych wartościach, takich jak tolerancja i empatia.

Ale jednocześnie respondentki i respondenci cytowanych badań często nie widzą różnicy pomiędzy duchowością a rozwojem osobistym (o ile tylko całkowicie nie odrzucają tej pierwszej jako związanej z religią). „[Duchowość to] jest po prostu pozostawanie w zgodzie ze swoimi wartościami, słuchanie siebie i realizowanie swoich celów" – mówi jedna z badanych.

Analizy duchowości młodych wskazują na silną potrzebę odkrywania własnej tożsamości, budowania sprawczości oraz odnajdywania wewnętrznego spokoju w chaotycznym świecie. Młodzi pragną głębokiego i prawdziwego doświadczenia (niemal 36 proc. deklaruje, że do głębszej wiary przekonałoby ich osobiste doświadczenie spotkania Boga – raport KAI „Kościół w Polsce 2023"). Tyle że takiego doświadczenia nie znajdują w Kościele albo są przekonani, że go tam nie znajdą.

Krótka wiosna

Jeśli mówimy o duchowości katolickiej: ważną jej formą pozostaje maryjność. W tradycyjnych formach tej pobożności, np. nabożeństwach majowych, uczestniczą przede wszystkim starsze osoby (choć tę formę próbowała wskrzesić w warunkach miejskich, przy warszawskich kapliczkach, grupa osób związanych z nieistniejącym już magazynem „Dywiz"). Badania ISKK wskazują, że nabożeństwa różańcowe prowadzą praktycznie wszystkie parafie w Polsce, ale ta modlitwa jest też popularna w formie cyfrowej (filmy z tajemnicami różańca odmawianymi przez o. Adama Szustaka na kanale YouTube „Langusta na palmie" nazbierały przez 8 lat ponad 15 milionów odsłon), podobnie jak nowenna pompejańska. ↦

Nie sprawdziły się jednak zapowiedzi „nowej wiosny Kościoła", prognozowanej m.in. przez Jana Pawła II, która miała przyjść za sprawą dynamicznego rozwoju nowych wspólnot i ruchów religijnych. Badania CBOS pokazują, że takie zaangażowanie Polaków jest relatywnie niewielkie, a swój szczyt – przynajmniej jak dotąd – osiągnęło w 2018 r. (7,9 proc.), po czym nastąpił spadek, pogłębiony przez pandemię (5,1 proc. w 2022 r.), z lekko zarysowanym odbiciem w 2024 r. (6,4 proc.). Jedną z oznak „nowej wiosny Kościoła" miało być masowe uczestnictwo w takich wydarzeniach, jak Ogólnopolskie Spotkanie Młodych Lednica 2000. Najwięcej osób – 160 tys. – uczestniczyło w nim w 2004 r. Od 2022 r. liczba uczestników nie przekroczyła już 21 tys.

Samodyscyplina i wyciszenie

W odpowiedzi na płynną nowoczesność rosną w siłę ruchy poszukujące twardych ram i zasad. Na prawej stronie sceny światopoglądowej pojawia się więc duchowość konserwatywna, której apostołem jest choćby Jordan Peterson. Jej wewnętrznym wymiarem staje się przede wszystkim samodyscyplina i poświęcenie dla wyższych celów – rodem bardziej z greckiego ideału *gymnasion* niż z Ewangelii. W tym kontekście potrzeba duchowości to także potrzeba pewnego punktu zaczepienia w świecie.

Wysokie jest też zainteresowanie wśród osób młodych praktykami kontemplacyjnymi i medytacyjnymi. Popularne stają się sesje medytacyjne u benedyktynów w Lubiniu czy pobyty „na wyciszenie" w Tyńcu, które przyciągają osoby pragnące ciszy i uważności, a także świeckie formy medytacji mindfulness. Ten nurt odpowiada na potrzebę bycia „tu i teraz", tak rzadko dostępnego w świecie przebodźcowania, ale też szukania „głębi życia". W badaniach H. Mielickiej-Pawłowskiej studenci mówią często o potrzebie wyciszenia: „Poprzez ciszę i głębokie milczenie człowiek może dotrzeć w głąb siebie, uwolnić się od dóbr doczesnych, od materii".

57 proc.
Polaków praktykuje post w wybranych okresach.

– Faktycznie, widzę wyraźnie rozwój tego nurtu, który łączy się z integralnym i całościowym rozumieniem człowieka, w którym liczy się i ciało, i psychika, i duch – mówi mi diakon i psychoterapeuta Marcin Gajda. – „Pogłębiarka" i inne środowiska pokazują, że cielesność nie jest czymś złym, a wręcz przeciwnie – czymś istotnym. I to wszystko w szeroko rozumianym nurcie kontemplacyjnym coraz mocniej się przebija. Co ciekawe, ten nurt działa całkowicie niezależnie od oficjalnych struktur Kościoła. Świeccy biorą sprawy w swoje ręce.

Duchowość sukcesu

Trudnością w rozwoju nurtu kontemplacyjnego jest współczesny kryzys skupienia i rosnąca niemożność długotrwałego utrzymania uważności (o których pisze np. Johann Hari w książce „Złodzieje. Co okrada nas z uwagi"). Praktyki duchowe wymagające ciszy i koncentracji w tym świetle mogą być szczególnym wyzwaniem (być może także to jest przyczyną zaniku praktyki osobistej modlitwy). W efekcie duchowość młodych często oscyluje pomiędzy tęsknotą za doświadczeniem transcendencji a realnymi trudnościami w osiągnięciu stanu kontemplacji.

Jednocześnie silny jest w Polsce nurt duchowości, który Marcin Gajda nazywa „charyzmatyczno-cudownościowym". Popularni ewangelizatorzy, np. Marcin Zieliński, gromadzą tłumy na stadionach. Jednocześnie ich działalność często poddawana jest krytyce, jako przywiązująca szczególną wagę do przeżywania „cudów" i „skuteczności" wiary. Wiąże w ten sposób katolicyzm z nurtami mu obcymi, jak amerykańska „teologia sukcesu", i zbliża się do myślenia magicznego.

Taka wizja może trafiać do młodych, którzy poszukują rozwoju osobistego i jednocześnie kładą silny akcent na przeżycia, czasem mając trudność z oddzieleniem duchowości od emocji („Myślę, że w duchowości chodzi głównie o to, co czujemy" – mówi wprost jeden z uczniów szkół średnich, badanych przez J. Cukras-Stelągowską i innych badaczy z UMK).

– Mam wrażenie, że nurt cudownościowy i nurt kontemplacyjny to dwie różne duchowości, a może nawet dwie religie w ramach jednej. Mają wspólne znaki sakramentalne, ale podkładają pod nie zupełnie inną treść teologiczną – mówi Gajda.

Krajobraz duchowy Polski w roku 2025 jest zatem złożony i pełen sprzeczności. Duchowości zinstytucjonalizowanej nie zastąpiła, wbrew pozorom, ponowoczesna, subiektywna i zindywidualizowana duchowość wyboru. Trudno też mówić o powrocie do religii i sacrum. W świecie duchowym nowoczesnego Polaka panuje chaos i zagubienie, a pandemia i wojna blisko granic Polski jeszcze to doświadczenie wzmacniają. Pozostaje jednak realna potrzeba transcendencji, która jest o krok.

W świecie duchowym nowoczesnego Polaka panuje często chaos i zagubienie, a pandemia i wojna blisko granic Polski jeszcze to doświadczenie wzmacniają.

© JAREMA PIEKUTOWSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny (pełniący obowiązki): MICHAŁ KUŹMIŃSKI
Zastępczyni red. naczelnego: EWELINA BURDA
Redakcja: www.tygodnikpowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.
Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów: www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MADE IN POLSKA

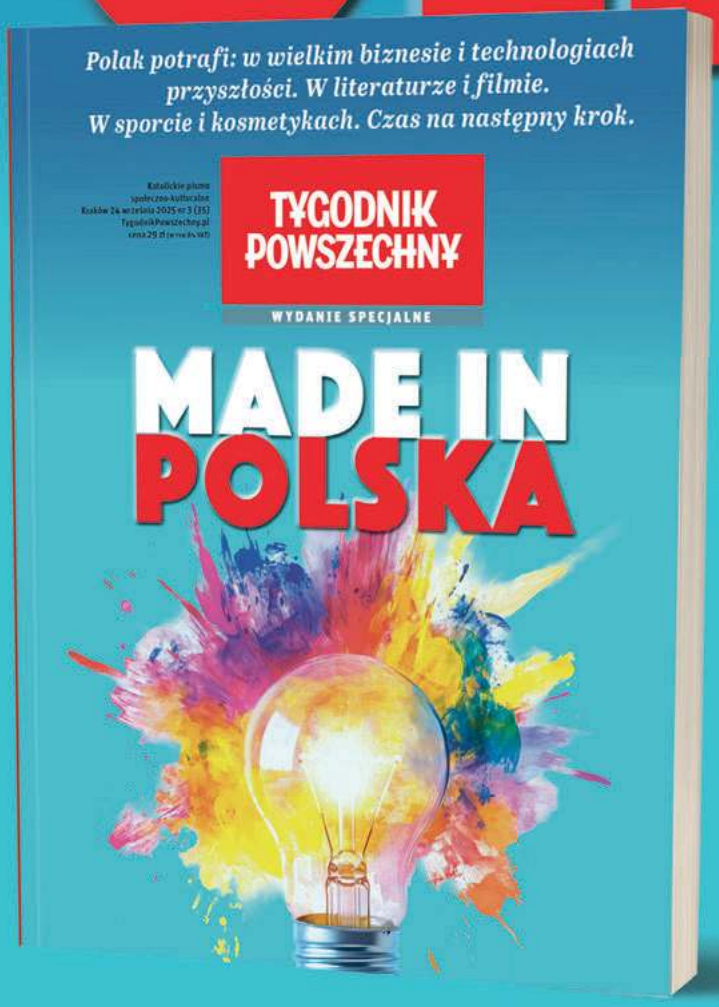

„Made in Polska" – nowe wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego" pokazuje Polskę, która coraz częściej sama wyznacza kierunki rozwoju. Ambitną, odważną i gotową sięgać dalej – od kosmosu i nowych technologii, przez biznes, po kulturę i sport.

Polska to kraj, który nie boi się eksperymentować, szukać nowych rozwiązań i twórczo wykorzystywać własną historię.

„Made in Polska" to więcej niż znak pochodzenia – to opowieść o sile, charakterze i innowacyjności, które sprawiają, że w świecie pełnym kryzysów i niepewności wciąż możemy z nadzieją powtarzać: Polak potrafi.

Weź, czytaj i bądź dumny

TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE „MADE IN POLSKA"
dostępne w najlepszych salonach prasowych oraz na sklep.TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRAJ

LUDZIE NA GÓRZE

Mało co tak dobrze się sprzedaje w polskim internecie jak rytualne połajanki polskich elit – wystarczy spojrzeć na kanały o tematyce społeczno-politycznej z największymi zasięgami. Ale czy naprawdę, patrząc na Europę, mamy się na co skarżyć?

MARCIN KĘDZIERSKI

Narzekanie na kasty uprzywilejowane stało się już rutynowym elementem naszych kampanii wyborczych. Kiedyś przodowała w tym Zjednoczona Prawica („łże-elity"), dziś to jeden z lejtmotywów narracji politycznej Konfederacji. Jednak w gruncie rzeczy, gdyby przyjrzeć się bliżej, to do antyelitarystycznych emocji odwoływali się niemal wszyscy kandydaci w wyborach prezydenckich. Czym innym bowiem było piętnowanie „koryciarstwa" przez Adriana Zandberga czy chwalenie zdrowego rozsądku ludu (w kontrze do myślenia i działania elit), które uprawiał Rafał Trzaskowski?

Nie ulega większej wątpliwości, że przywództwo w polityce, biznesie, wojsku, kulturze czy społeczeństwie obywatelskim odgrywa niezwykle istotną rolę. To właśnie od władzy sprawowanej przez jakąś elitę zależą decyzje o wykorzystaniu określonych zasobów (finansowych, ludzkich, infrastrukturalnych, instytucjonalnych etc.), ale też efektywność podjętych działań. Mamy aż nadto dowodów, że los poszczególnych państw, armii, firm czy organizacji w istotnym stopniu zależał od decyzji politycznych przywódców, generałów, prezesów czy społecznych liderów – zarówno w sensie pozytywnym, jak i negatywnym.

Skąd się biorą elity

Pojawia się jednak wątpliwość: czy kwestia przywództwa ma aż tak decydujące znaczenie w przypadku Polski, posiadającej status państwa na pewno nie marginalnego, ale mimo wszystko półperyferyjnego, należącego do świata, którego prawdziwe centra decyzyjne leżą daleko poza naszymi granicami? Nim spróbuję na to pytanie odpowiedzieć, chciałbym podzielić się pewną refleksją. W opinii wielu ekspertów krajem, który dysponuje najlepiej przygotowanymi kadrami do zarządzania państwem i gospodarką, jest Francja. Funkcjonujący tam model tzw. *grande école*, z najsłynniejszą Krajową Szkołą Administracji (ENA), która przez lata dostarczała najwyższej jakości kadr – stanowi wzorzec dla innych państw. Enarchowie, bo tak nieraz nazywa się absolwentów tej uczelni, decydują o losach francuskiej polityki, mediów, biznesu czy świata nauki. W gruncie rzeczy enarchowie stanowią swego rodzaju merytoryczną arystokrację, i co równie istotne – specyfika procesu rekrutacyjnego przez lata sprzyjała dziedziczeniu tego statusu. Wśród absolwentów ENA nie było np. zbyt wielu potomków imigrantów, co stało się źródłem poważnej krytyki i powodem, dla którego prezydent Emmanuel Macron podjął w 2021 r. decyzję o zamknięciu ENA i przekształceniu jej w bardziej „demokratyczny" Narodowy Instytut Służby Publicznej.

Na czym polega wyjątkowość francuskiego modelu? Spróbuję ją wyjaśnić na przykładzie osobistego doświadczenia. W 2017 r. miałem okazję uczestniczyć w Paryżu w seminarium (na temat współ-

MARYSIA ZAWADA / REPORTER

czesnych wyzwań UE) z udziałem francuskich, niemieckich, brytyjskich, włoskich i polskich urzędników, ekspertów, akademików oraz publicystów. Jedna rzecz była uderzająca – w przeciwieństwie do uczestników z pozostałych krajów, którzy wyrażali różne poglądy (np. polscy i niemieccy urzędnicy mówili co innego niż ich rodacy reprezentujący media czy uniwersytety), można było odnieść wrażenie, jakby wszyscy Francuzi deklamowali jeden tekst, tylko rozpisany na role. Tam, gdzie jedna osoba kończyła, kolejna zaczynała – niezależnie od tego, jaką instytucję reprezentowała. Zrobiło to na mnie niesamowite wrażenie i stanowiło dowód „współmyślenia" oraz koordynacji, którą w dużym stopniu można przypisać faktowi, że wszyscy byli absolwentami ENA.

Kuźnia niechcianych kadr

W Polsce próbowaliśmy stworzyć rodzimy odpowiednik ENA – jest nią powołana w 1990 r. Krajowa Szkoła Administracji Publicznej (KSAP). Niestety, przy całym szacunku do jej twórców, absolwentów i obecnych słuchaczy, eksperyment udał się co najwyżej średnio. Zabrakło nie tylko zasobów, ale przede wszystkim spójnej i konsekwentnej wizji rozwoju, więc KSAP stał się szybko ofiarą systemu politycznych łupów oraz wojny polsko-polskiej, zamiast być kuźnią kadr wolnych od partyjniactwa.

Problem nie dotyczy wyłącznie administracji publicznej. Trzeba sobie jasno powiedzieć, że nie mamy też kuźni kadr biznesowych, eksperckich, akademickich czy medialnych. Po części wynika to z dość policentrycznego układu naszego kraju. Umiem sobie bowiem wyobrazić, jak w różnych miastach, takich jak Warszawa, Kraków, Wrocław, Poznań czy Gdańsk, powstają wpływowe ośrodki, jednak z pewnością żaden z nich nie byłby wystarczająco silny, także z uwagi na finanse. Doświadczają tego również Niemcy – Berlin nie jest, w przeciwieństwie do Londynu czy Paryża, jedynym i naturalnym centrum. W tym zakresie łatwiej taki ośrodek stworzyć choćby Węgrom w Budapeszcie, i jeśli przyjrzeć się biografii Viktora Orbána, taką rolę (choć bardziej w sensie nieformalnym) odgrywał Uniwersytet Loránda Eötvösa.

Trzeba jednak uczciwie przyznać, że trudno byłoby nam znaleźć w Europie jakiś wyjątkowy system kształcenia kadr, nie widać też wyróżniających się jakością na tle innych państw elit. Ilekroć słyszę narzekania na przedstawicieli polskiej kasty przywódczej, spoglądam na kraje ościenne (w tym na Niemcy, uchodzące wśród wielu za wzór sprawnego państwa) i nie dostrzegam, abyśmy istotnie odstawali od średniej. W ostatnich dniach mamy np. festiwal oświadczeń ze strony rządu i Kancelarii Prezydenta, w ramach sporu, kto za co odpowiada w polityce zagranicznej – jest on powszechnie uważany za przejaw żenującego braku profesjonalizmu. Tyle że to nie jest żaden wyjątek.

Niemieckie mielizny

Sam mogę podać co najmniej kilka analogicznych przykładów dotyczących niemieckiej polityki zagranicznej w ostatnich latach. Ot, choćby w czasie ostatniej czeskiej prezydencji w Radzie UE urzędnicy naszych południowych sąsiadów narzekali, że trzech niemieckich wiceministrów, reprezentujących trzy partie tworzące ówczesną koalicję rządzącą, w trakcie negocjacji mówiło kompletnie co innego.

Analogicznie, gdybyśmy przyjrzeli się niemieckim elitom gospodarczym, skala błędnych decyzji i niekompetencji nieraz wręcz poraża. Pierwszym przykładem z brzegu było totalne uzależnienie się od rosyjskich surowców energetycznych (wraz z budową morskiego gazociągu ↦

Obywatele wybierają nowe elity III RP. Warszawa, 1 czerwca 2025 r.

↦ Nord Stream), co powszechnie uznawane jest za jedną z głównych przyczyn wybuchu wojny na Ukrainie. Istnieją też badania pokazujące, że nie ma drugiego kraju na świecie, który dysponując ogromną nadwyżką eksportową, tak nieefektywnie inwestowałby zgromadzone środki. Jak wskazują choćby Matthew Klein i Michael Pettis w głośnej książce „Wojny handlowe to wojny klasowe", w latach 1999-2018 na zagranicznych inwestycjach Niemcy zanotowały stratę netto na poziomie aż 29 proc.

Skutki tych błędów są katastrofalne – rosnące nierówności, spadek jakości usług publicznych (w tym zapaść infrastruktury) oraz wzrost kosztów życia napędziły w stabilnym niemieckim życiu politycznym ruchy antysystemowe, które dziś w postaci Alternatywy dla Niemiec mogą liczyć na niespotykane wcześniej poparcie ponad 25 proc. społeczeństwa. Oczywiście fenomen AfD można wyjaśniać też inną nieodpowiedzialną polityką niemieckich elit politycznych i biznesowych, która przejawiała się w masowym ściąganiu pracowników zarobkowych z biednych krajów. W efekcie państwo, które przez lata szczyciło się swoim cudem gospodarczym i stabilnym systemem politycznym, dziś stoi w obliczu potężnego kryzysu wewnętrznego.

Przed trzęsieniem ziemi

Skala kompromitacji niemieckich elit jest zaiste spektakularna, ale czy choćby Brytyjczycy, którzy zafundowali sobie brexit, wypadają na tym tle jakoś szczególnie lepiej? Także Francuzi, mimo ENA, nie są impregnowani na systemowe słabości, czego przejawem mogą być wychodzące co jakiś czas na jaw afery korupcyjne. Zresztą, podobnie jak w Niemczech, także Francja za sprawą konkretnych błędów elit rządzących znalazła się w politycznym kryzysie – od jakiegoś czasu nie sposób utworzyć tam stabilnego rządu, a na dodatek w kolejnych wyborach prezydenckich władzę zdobyć może Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen, co będzie mieć bardzo poważne skutki nie tylko dla samej Francji, ale też dla całej Unii Europejskiej. Jeśli bowiem o przyszłości i kształcie procesów integracyjnych na Starym Kontynencie od lat 50. XX wieku decydował tzw. francusko-niemiecki silnik, to przejęcie politycznych sterów przez AfD i Zjednoczenie Narodowe zapowiada jego awarię i unijne trzęsienie ziemi, które nie pozostanie bez wpływu na sytuację Polski. Tak jak dalekowzroczność francuskich i niemieckich elit politycznych doprowadziła do ustanowienia trwałego pokoju w zachodniej Europie, tak ich brak roztropności w wielu innych kwestiach może skutkować powrotem demonów nacjonalizmu.

> Ilekroć słyszę narzekania na przedstawicieli polskiej kasty przywódczej, spoglądam na kraje ościenne. **Nie dostrzegam, abyśmy istotnie odstawali od średniej.**

Nie oznacza to oczywiście, że skoro gdzie indziej nie jest dobrze, to powinniśmy zignorować problem jakości naszych elit. Jest oczywiście odwrotnie, tyle że budowa przywództwa z prawdziwego zdarzenia będzie bardzo trudna. Żyjemy w świecie, w którym media społecznościowe (czyli w praktyce globalny kapitał) poprzez swoje algorytmy napędzają polaryzacyjne emocje. W ich interesie jest też, niewyrażane wprost, osłabianie krajowych elit: czy to politycznych, czy to biznesowych. Ich słabość ułatwia funkcjonowanie międzynarodowych gigantów, choćby poprzez kontrolę regulacji wprowadzanych na poziomie państwa narodowego. Wystarczy bowiem podsycać wewnętrzne konflikty, które skutecznie blokują ponadpartyjny konsensus i uniemożliwiają prowadzenie spójnej, konsekwentnej polityki. Dobrze ilustruje to wspomniana już historia KSAP-u. Szkoła ta, zamiast być traktowana jak narodowy skarb wyłączony z politycznej, bieżącej nawalanki, stała się przedmiotem nieustannych, degradujących jej pozycję dyskusji i rozgrywek.

Krytykować, nie demolować

W tym kontekście stosowana przez coraz większą część sceny politycznej i eksperckiej antyelitarystyczna retoryka i medialne połajanki nie tylko nie pomagają (jak mogą sądzić niektórzy jej twórcy, mieniący się reprezentantami prawdziwie propaństwowego myślenia), ale w praktyce uniemożliwiają budowę kompetentnych kadr. W praktyce bowiem efektem takiej retoryki nie jest budowanie ponadpartyjnego konsensusu, ale nabijanie zasięgów, bazujących na prostych (prostackich?) emocjach odbiorców, spośród których spora część chętnie „pogoniłaby polityków kijem". To jest zresztą samospełniająca się przepowiednia – obserwując ocean hejtu lejący się na elity, raczej niewielu będzie chętnych, aby pakować się w pracę dla państwa. Tym bardziej że jest ona zdecydowanie gorzej płatna od atrakcyjnych stanowisk pracy w polskich oddziałach zagranicznych korporacji.

Byłoby jednak naiwnością twierdzić, że dla budowy państwowych elit wystarczy stworzyć kilka dobrych szkół. Może zabrzmi to utopijnie, ale dużo ważniejsza jest kultura oraz poczucie solidarności i wspólnoty losu; dobra elita powinna mieć głęboko wpojone poczucie odpowiedzialności za siebie i innych. To nie oznacza, że nagle zrezygnuje z pilnowania swoich interesów. Musi jednak rozumieć, że jej długofalowy interes zależy od powodzenia tych, którzy do elity nie należą. Mam sporą obawę, że zbudowanie takiej postawy jest o wiele trudniejsze niż stworzenie elitarnej uczelni będącej kuźnią państwowych kadr. Nawet w Kościele, w którym ideały miłości bliźniego, służby, ofiary i solidarności są odmieniane przez wszystkie przypadki, hierarchowie nieczęsto czują wspólnotę nie tylko z wiernymi, ale nawet ze „swoimi" księżmi.

W moim ostatnim artykule dla „Tygodnika" („Klucz do serca Polski", nr 35/2025) wskazywałem, że nowy narodowy mit warto budować wokół tradycji Solidarności, i to z trzech powodów. Po pierwsze, bez poczucia solidarności trudno tworzyć propaństwowe elity, zwłaszcza w kraju półperyferyjnym, gdzie osoby z wysokimi kompetencjami stosunkowo łatwo podkupić i uczynić z nich kompradorów „sprzedających" interes swojego państwa dla firmowych i prywatnych korzyści. Po drugie, Solidarność wciąż jest globalną marką kojarzoną z Polską, co przypominano intensywnie, gdy zagraniczne stacje telewizyjne nada-

wały live'y z Rzeszowa czy Przemyśla, epatując opowieściami o „mocarstwie humanitarnym". Przy zachowaniu właściwych proporcji, da się tą kartą wciąż grać. Także na forum wewnętrznym: „popatrzcie, istnieje coś pozytywnego, z czego jako Polacy możemy być dumni".

Think tank Polska

Trzeci powód jest być może najważniejszy. Dziedzictwo Solidarności dowodzi, że elitę mogli tworzyć zarówno intelektualiści, jak i robotnicy. Mam oczywiście świadomość, że to radykalnie uproszczony obraz, ale jak to bywa w przypadku tworzenia mitów – zawsze są one przedmiotem świadomej konstrukcji.

W mojej głowie, poza utopijnymi wizjami, w tym konkretnym przypadku pojawia się postulat, który choć niełatwy, wydaje się możliwy do zrealizowania. W ostatnich latach pojawiło się w Polsce sporo środowisk, po różnych stronach politycznej sceny, od „marksowskiej" „Praktyki Teoretycznej" po narodowy „Nowy Ład", które jednak co do zasady głównie próbują udawać think tanki. Udawać, bo są to przeważnie podmioty społeczne, które nie posiadają wystarczających funduszy, by móc prowadzić ekspercką pracę z prawdziwego zdarzenia. W efekcie pozostaje im działalność *de facto* partyzancka.

Jestem przekonany, że przy pomocy środków publicznych (choćby z Narodowego Instytutu Wolności) dałoby się stworzyć ponadpartyjną przestrzeń, w której młodzi adepci z tych środowisk nabywaliby „twardych" kompetencji w zakresie analizy, projektowania, wdrażania i ewaluacji polityki publicznej na znacznie szerszą skalę, niż ma to dziś miejsce w KSAP. Jednocześnie mieliby okazję poznać się i zbudować relacje, niezależnie od dzielących ich różnic ideowych. Może byłby to zalążek nie tylko „think tanku Polska", o którym już dekadę temu pisał Rafał Matyja, ale także krok w kierunku budowy państwowych elit. Może byłaby to również przestrzeń, w której toczyłby się ponadpartyjny namysł nad nową konstytucją, nad którą pracę zapowiedział w swoim inauguracyjnym orędziu prezydent Karol Nawrocki. Brzmi trochę jak marzenie, ale czyż nie warto marzyć?

© MARCIN KĘDZIERSKI

ARCHIWUM PRYWATNE

Jakub Rympel na spotkaniu ze Sprawiedliwymi i ich rodzinami w synagodze Kupa w Krakowie. Czerwiec 2018 r.

To zawsze mnie bolało

MARCIN CHODUŃ

PRZESZŁOŚĆ | Od wielu lat pomaga Sprawiedliwym. Bo kto, jeśli nie Żyd, powinien to robić? Zwłaszcza teraz, gdy zostało ich tak niewielu.

Pod górę ciężko. Do tego na drodze leży jeszcze sporo błota – ślisko. I wąsko, miejsca starcza właściwie tylko na jeden samochód. Na szczęście z góry nic nie jedzie – zresztą tam mieszkają już tylko trzy rodziny. Wieś została daleko w dole – nawet dachów domostw stąd już nie widać. Zakryła je zupełnie zieleń drzew rosnących u podnóża zbocza.

Po chwili robi się jeszcze trudniej – wjeżdżamy na łąkę, koła zaczynają się niemiłosiernie ślizgać. Najlepiej byłoby zostawić auto i dalej iść na nogach. Ale jak? Przecież Kuba, chory na stwardnienie rozsiane, nawet jednego kroku sam nie zrobi.

– O, tam – wskazuje na budynek pod lasem. Ostatni dom w Męcinie, wsi nieopodal Nowego Sącza. Mieszka w nim rodzina Jaroszów: pan Józef i pani Kazimiera. Józef Jarosz to jeden z ostatnich żyjących Sprawiedliwych. Z siostrą i rodzicami uratował życie czternastu Żydom.

Pomysł, by zaopiekować się polskimi Sprawiedliwymi wśród Narodów Świata, pojawił się w głowie Jakuba Rympla wiele lat temu, trochę przypadkiem. Kuba, z zawodu fizjoterapeuta (po krakowskiej AWF), krakowski Żyd, którego rodzina (zarówno od strony matki, z domu Horowitz, jak i ojca) od pokoleń mieszka w Krakowie, oprowadzał na początku lat dwutysięcznych wycieczki izraelskiej młodzieży, która przy tej okazji spotykała się ze Sprawiedliwymi – Polakami ratującymi Żydów podczas okupacji. Na jednym z takich spotkań Kuba poznał Mirosławę Przebindowską-Gruszczyńską, która wraz z matką i siostrą ukrywała w mieszkaniu przy ul. Sławkowskiej w Krakowie kilku nastoletnią Annę Allerhand.

↦

ARCHIWUM PRYWATNE

Jakub Rympel na piewszym planie po prawej, na spotkaniu Sprawiedliwych i Uratowanych w synagodze Izaaka w Krakowie. Czerwiec 2015 r.

Nie chcieli wyróżnienia

Gdy przy kawie pani Mirosława dowiedziała się, że Kuba należy do krakowskiej gminy żydowskiej, wyjawiła mu swoje marzenie: odsłonięcie tablicy w Krakowie ku pamięci Sprawiedliwych. Pani Mirosława rozmawiała już na ten temat z przewodniczącym gminy Tadeuszem Jakubowiczem, ale sprawa utknęła. Czy Jakub mógłby się tym zająć? Kuba nie zastanawiał się długo. – Wiedziałem, że ludzie, którzy uratowali mojego ojca, nie zostali uhonorowani w Yad Vashem. To zawsze mnie bolało – wspomina.

Sąsiadami rodziny ojca Jakuba, Ludwika Rympla, byli przed wojną Kuczmierczykowie, z pochodzenia Austriacy. Mieli cztery córki, które przyjaźniły się z babcią Kuby. Jedna z nich wyszła za mąż za oficera wojska polskiego, majora Kubicę, druga (już w czasie wojny) za Niemca, esesmana. Majorowa Kubica mieszkała z mężem w willi na Osiedlu Oficerskim – skąd Niemcy wyrzucili Polaków i zasiedlili ich domy urzędnikami Generalnej Guberni. Kubicy, dzięki protekcji wżenionej w esesmana siostry, pozwolono nadal mieszkać w jej willi przy ul. Zaleskiego, ale tylko w części przeznaczonej dla służby. I w tej służbówce majorowa Kubica ukrywała ojca Jakuba, kilkuletniego Ludwika.

Ludwik Rympel przebywał z rodzicami w czasie wojny również w Iwli koło Dukli – u jednego z miejscowych gospodarzy. Kuba nic więcej jednak nie wie. Nie zna nawet jego nazwiska.

Dlaczego ani majorowa Kubica, ani gospodarze z Iwli nie otrzymali medalu dla Sprawiedliwych? Nie wiadomo, babcia wypierała całkowicie wydarzenia z czasów wojny – do tego stopnia, że o fakcie, iż miała siostrę Helenę, Kuba dowiedział się przypadkowo dopiero po jej śmierci. Ojciec też niewiele opowiadał – zresztą umarł młodo, więc nie było za bardzo czasu na pytania.

Dziś Kuba zastanawia się, czy nie było tak, że ani ów gospodarz, ani majorowa nie chcieli wyróżnienia. Bywało przecież tak, że Polacy, którzy ratowali Żydów w czasie wojny, nie przyjmowali odznaczeń z Yad Vashem – bo po prostu uważali, że zrobili to, co należało, i żaden medal nie jest im potrzebny.

Inni z kolei się bali. Nawet wiele lat po wojnie ukrywali fakt, że podczas okupacji ratowali Żydów. Dlaczego? Z obawy przed reakcją sąsiadów, którzy zadawali różne pytania. Na przykład: czy ludzie, którzy pomagali Żydom, mieli prawo narażać sąsiadów na śmierć? Albo takie: skoro pomagali Żydom, to pewnie zbili majątek na ich złocie? Jak duży ten majątek? Dom z tego złota zbudowali? Mieszkanie w mieście kupili?

Starzy i schorowani

Aby spełnić prośbę Mirosławy Przebindowskiej-Gruszczyńskiej, w 2009 r. Jakub stworzył wraz z przyjaciółmi nieformalną grupę Żydowska Inicjatywa dla Sprawiedliwych. Dzięki jej staraniom pojawiły się na krakowskim Kazimierzu nie jedna, ale dwie tablice ku ich czci: na dziedzińcu synagogi Remuh i przy synagodze Kupa.

Inicjatywa postanowiła też pomagać Sprawiedliwym – zwłaszcza tym, którzy są w trudnej sytuacji zdrowotnej albo materialnej. Wprawdzie osoby zrzeszone w Polskim Towarzystwie Sprawiedliwych wśród Narodów Świata otrzymują pomoc od różnych organizacji żydowskich (głównie od Jewish Foundation for the Righteous; comiesięczne świadczenie wypłacane przez tę fundację dla jednej osoby wynosi ok. 400 dolarów), ale zdarza się, że nawet tacy ludzie, często schorowani, proszą o wsparcie.

– Organizujemy głównie akcje charytatywne – opowiada Jakub. – Nie jest jednak łatwo zebrać większą sumę pieniędzy. Raz udało nam się uzyskać ze sprzedaży grafik, m.in. Jonasza Sterna, jedynie trzy tysiące złotych. Może starość po prostu nikogo już dziś nie interesuje?

Społeczność żydowska w Polsce jest mikroskopijna – to około dziesięć tysięcy ludzi deklarujących tę narodowość. Poza tym temat Sprawiedliwych jest trudny, bo – jak przyznaje Jakub – nadal istnieje rachunek wzajemnych krzywd i żalów. – W czasie wojny obok prawdziwych bohaterów byli także szubrawcy. Moja rodzina również zetknęła się ze szmalcownikami, a tuż po wojnie niewiele brakowało, by mój ojciec stał się ofiarą ataku uzbrojonej bandy pod wodzą księdza Hojoła na sierociniec w Rabce, w którym przebywał – opowiada Kuba. – Ja sam staram się stać ponad tym, wyrażać wielką wdzięczność

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

i podziw dla tych wspaniałych ludzi, którzy ratowali Żydów w czasie wojny. Owszem, byli też szubrawcy – ale co to ma do rzeczy? Nie honoruję Polaków, ale wszystkich prawych ludzi. Tak się jednak z oczywistych względów składa, że są nimi Polacy.

W ostatnich latach Inicjatywa organizowała spotkania ze Sprawiedliwymi, namawiała do wspomagania ich odpisem podatkowym, nadal wyszukiwała miejsca, gdzie ukrywani byli Żydzi. – Jest ich coraz mniej. To jakieś piwnice pod stodołami lub oborami, nierzadko zwykłe ziemne jamy, czasami zabezpieczone drewnianymi palami i deskami – tłumaczy Jakub. – One z biegiem lat niszczeją, a tylko nieliczni właściciele posesji starają się o nie dbać. Bywa, że nie chcą nagłaśniać faktu, iż mają takie kryjówki u siebie – bo członkowie ich rodzin ratowali Żydów, gdy tymczasem inni ich zabijali. Bywa też, że nowi właściciele świadomie niszczą takie miejsca, bo nie chcą u siebie żydowskich wycieczek.

Piwnica na 14 osób

Marzeniem Kuby jest ufundowanie witrażu dla Sprawiedliwych oraz organizacja koncertu ku ich czci, z udziałem ostatnich żyjących Sprawiedliwych i Uratowanych. Niestety, z powodu choroby Kuba ma coraz mniej sił. Zaczęło się kilka lat temu – od lekkiego niedowładu nogi po jeździe na nartach. Diagnoza: stwardnienie rozsiane. Choroba w ostatnich latach szybko postępowała – dziś Kuba porusza się na wózku.

Nie przeszkadza mu to jednak regularnie odwiedzać Sprawiedliwych w ich domach, choć najczęściej utrzymuje z nimi kontakt telefoniczny. Z wieloma mocno się zaprzyjaźnił. Niektórzy są dla niego wręcz jak rodzina. Choćby Józef Jarosz z Męciny.

Piesek w bramie wiodącej do jego domu podbiega do nas radośnie, merdając przyjaźnie ogonem. Z domu wychodzi pani Kazimiera, żona Józefa Jarosza.

– Uważać na schodach – mówi 85-letnia kobieta, dyrygując akcją wnoszenia Kuby na górę. – Nogę przesunąć przez próg, o tak, trochę w prawo!

Siadamy w kuchni. Pani Kazimiera opowiada o swoim długim życiu: z roli ciężko się żyło, nie było łatwo, na okrągło robota („My są, panie, bardzo wyrobieni ludzie"), ale dzieci się odchowało, na ludzi wyszły, a ona i mąż, choć już starzy, to dzięki Bogu zdrowi i zjeść wszystko jeszcze można, i kielicha czasem wypić, i do lasu na grzyby pójść. Nie, na pewno nie można narzekać.

> Bywało że Polacy, którzy ratowali Żydów, nie przyjmowali odznaczeń z Yad Vashem. **Uważali, że zrobili to, co należało, i żaden medal nie jest im potrzebny.** Inni się bali.

Historię pana Józefa z czasów wojny też opowie głównie pani Kazimiera, bo pan Józef (94 lata) mówi z dużym trudem; ma sporą demencję. Ale jego żona zna każdy szczegół tej historii – nasłuchała się jej przecież wiele razy.

Było tak. Pewnego dnia w 1943 roku do domu Jaroszów w Stańkowej (wieś obok Męciny) przyszedł Żyd, Wolman. Franciszek Jarosz znał go i pamiętał dobrze – na targu w Nowym Sączu handlował gęsiami. Gdy Wolman, który uciekł z getta w Nowym Sączu, dotarł do domu Jaroszów, przewrócił się na progu i nie mógł już wstać – tak był głodny, wychłodzony i wyczerpany. Prosił Franciszka i Marię, jego żonę: „Pozwólcie zostać chociaż na dwa dni – potem pójdę dalej". Jaroszowie wzięli go do domu – ogrzali, nakarmili. Po kilku dniach Wolman mówi: „Franciszku, ale ja mam jeszcze żonę i dwie córki – czy mogę je tutaj przyprowadzić?".

Jaroszowie, którzy również mieli dwoje dzieci, 12-letniego Józefa i nieco młodszą Stanisławę, zgodzili się. Ukryli całą rodzinę w piwnicy pod stodołą – miała wymiary pięć na pięć metrów. Było to w kwietniu 1943 roku, a już na jesieni Jaroszowie przyjęli kolejnych dziesięciu Żydów. Ukrywali wszystkich aż do wiosny 1945 roku.

Misja małego Józka

A Józek? Jego głównym zadaniem było przynoszenie wody dla mieszkańców piwnicy oraz przywożenie żywności. Czternaście osób niełatwo wyżywić. Skąd wziąć tyle jedzenia? Jak je przewieźć, żeby nikt nie zauważył? W samej Stańkowej w pobliżu domu Jaroszów były trzy inne domostwa. Trudna sprawa.

Mały Józek jeździ więc nocą przez las wozem do Łososiny Górnej po żywność: zboże, ziemniaki. Odbiera ją głównie od bogatych gospodarzy, których zwierzęta – bydło, konie – leczy Franciszek Jarosz, znany w całej okolicy jako rzetelny, choć domorosły weterynarz. Rodzice rozmyślnie wysyłają w tym celu Józka, bo ryzyko, że Niemcy zwrócą uwagę na małego chłopca, jest dużo niższe niż w przypadku osoby dorosłej. Gdy Niemcy pytają go, dokąd jedzie, mówi, że jego ojciec hoduje świnie i wysyła go po paszę. A on musi potem dźwigać te ciężary.

Józek wracał z takich wypraw najczęściej koło pierwszej, drugiej w nocy. Czy się bał? Raczej niewiele o tym myślał. Trzeba było ludziom pomóc, „i tyle". Dostał za to w 1990 roku medal Sprawiedliwego.

Wszyscy Żydzi ukrywający się w piwnicy przeżyli wojnę. Gdy w końcu opuścili kryjówkę pod stodołą, całowali Jaroszów po rękach, płakali, modlili się i śmiali z radości. Po wojnie rozjechali się po świecie – trafili głównie do USA i Izraela. Jaroszowie nie mieli z nimi kontaktu. W Polsce wraz ze swoją matką i dziadkiem została jedynie Anna Grygiel-Huryn, najmłodsza z osób uratowanych przez Jaroszów. Po wojnie mieszkała w Nowym Sączu; zmarła w ubiegłym roku. Przez całe życie była zaprzyjaźniona z Jaroszami – Józka traktowała jak brata i zawsze podkreślała, że to jej wybawca, dzięki któremu żyje.

Gdy pani Kazimiera kończy swą opowieść, stawia na stole barszcz i krokiety. Są też pączki, gorąca kawa. – Ludzie gadają, że Żydzi ciągle nam jakieś paczki przywożą – mówi kobieta. – To proszę im powiedzieć – ripostuje Kuba ze śmiechem – że teraz Żydzi przyjeżdżają i nie dość, że nic nie przywożą, to jeszcze z pączków objadają!

Kraków, mieszkanie Jakuba Rympla. Na ścianie obraz: szkic należącej niegdyś do jego dziadków kamienicy na rogu ulic Rakowickiej i Lubicz. Pod ryciną siedzi 56-letni Kuba, krakowski Żyd, wdzięczny ludziom, dzięki którym przeżył jego ojciec. Wdzięczny wszystkim, którzy ratowali jego przyjaciół, rodzinę, znajomych, obcych. Każde jedno życie.

© MARCIN CHODUŃ

Duma i wyprzedzanie

MAREK RABIJ

INFRASTRUKTURA | Nowoczesne drogi szybkiego ruchu w Rzeczypospolitej oznaczają symboliczny kres ponurego mitu Europy Wschodniej. Krainy, w której podróże były zawsze drogą przez mękę.

Dla dorastającego pokolenia to nic niezwykłego, ale ich rodzice, pamiętający z młodości kraj, w którym – jak śpiewał Kazik – „jest tak brudno i brzydko, że pękają oczy", mogą się w tym dopatrzeć swoistego cudu. Oto za życia zaledwie jednej generacji Polska zmieniła się z kraju właściwie bez autostrad w państwo o już przyzwoicie rozwiniętej, a do tego dobrze utrzymanej i szybko rozrastającej się sieci niemal 5,3 tys. kilometrów dróg szybkiego ruchu. Z Gdańska nagle zrobiło się bliżej do Krakowa za sprawą kombinacji autostrad A1, A4 i trasy S1.

Szczecin i Legnicę łączy już nie tylko niemiecka przeszłość, ale także wygodna ekspresówka S3. Białystok i Rzeszów zepnie wkrótce trasa S19, będąca fragmentem europejskiej Via Carpatia, biegnącej z Litwy docelowo aż do Grecji. Wymieniać można by dłużej. Samych autostrad mamy obecnie niemal 1,9 tys. kilometrów i wiele wskazuje na to, że na początku przyszłego roku licznik ich długości wskaże dwójkę z przodu. Nawet jeśli przyjdzie na to poczekać nieco dłużej, jedno już się nie zmieni: podróż z zachodu czy południa Europy przestała się kojarzyć z początkiem drogowych udręk tuż po przekroczeniu granicy Rzeczypospolitej. Przeciwnie, wyjeżdżając z naszego kraju, coraz częściej konstatujemy z przyjemnym zdziwieniem, że to gdzie indziej jeździ się gorzej niż po Polsce.

Jeszcze bardziej zdumieni są nasi sąsiedzi.

Czechom skończyły się żarty

W opublikowanym przed kilkoma dniami wideoporadniku dla kierowców wybierających się na wschód od Odry niemiecki ADAC (Allgemeiner Deutscher Automobil-Club) nie poświęca ani zdania ulubionej dotąd tematyce bezpieczeństwa ruchu na wołających o pomstę do nieba polskich drogach. Prowadzący program zdaje się z premedytacją omijać ten wątek, by uniknąć też naturalnych nawiązań do stanu niemieckich autostrad, które w międzyczasie zdążyły się źle zestarzeć. Przeszło co drugi kilometr z tej sieci, liczącej 13,2 tys. kilometrów, wymaga dziś pilnego remontu. Gospodarz programu zwraca więc uwagę na limity prędkości u wschodnich sąsiadów, których radzi nie przekraczać, gdyż „polscy policjanci nie mają poczucia humoru". Garść uwag leci także w stronę dopuszczalnych limitów stężenia alkoholu za kółkiem, które w Polsce są dziś bardziej restrykcyjne niż w Niemczech.

Żarty o polskich drogach skończyły się także Czechom, którzy masowo pielgrzymują w wakacje nad polski Bałtyk, korzystając z naszych wygodnych ekspresówek. Portal seznam.cz, jeden z najczęściej odwiedzanych adresów w tamtejszej sieci, w maju 2024 r. relacjonował z goryczą uroczystość otwarcia ostatniego odcinka polskiej trasy S3, którą doprowadzono do granicy z Czechami. „Nie zostaliśmy zaproszeni. Powód był prosty: po naszej stronie budowa D11, która ma stanowić jej przedłużenie, jeszcze się nawet nie rozpoczęła" – pisali czescy dziennikarze, okraszając swoje uwagi garścią danych, z których wynikało, że 290 kilometrom dróg szybkiego ruchu, oddawanych w Polsce do użytku co roku, Czechy w ostatnich latach mogłyby przeciwstawić średnio... 17 kilometrów rocznie.

Rosjanie nas podglądają

Dla Rosjan, którzy na swoje drogi narzekają niezmiennie od czasów Piotra Wielkiego, porównania ze współczesną Polską też mogą być jedynie źródłem frustracji. W latach 2000-2024 w europejskiej części Rosji zbudowano 7083 kilometrów dróg ekspresowych i autostrad. Polska w tym samym czasie dołożyła ich sobie 4896 kilometrów, jednak w przeliczeniu na każdy tysiąc kilometrów kwadratowych powierzchni, nasza sieć dróg szybkiego ruchu jest dziś aż 17 razy gęstsza od tej, którą Moskwa zbudowała na zachód od Uralu.

O jakości czy tempie budowy wspominać nawet nie warto. Dziennikarze niezależnego rosyjskiego kanału „Czas teraźniejszy" w maju ubiegłego roku przyjechali nawet do Polski śladem „polskiego cudu drogowego" i testowo pokonali kilkaset kilometrów zarówno autostradami, jak i drogami lokalnymi. Ten swoisty *study tour* udowodnił im m.in., że dziesięć kilometrów równego jak stół asfaltu można w Polsce położyć w zaledwie dwa miesiące, do tego nie w rodzinnej miejscowości prominentnego polityka, lecz

w małej wsi przy granicy z Litwą. Można również zainwestować miliony złotych w przeszło dwa i pół tysiąca „ekoduktów", czyli specjalnych przejść dla zwierząt nad i pod trasami szybkiego ruchu. O przekrętach na skalę głośnej w całej Rosji budowy nowej ekspresówki na Krymie, którą na papierze po prostu wydłużono o 25 kilometrów, w *Polszy* nikt nie słyszał.

– Czy to prawda, co piszą w internecie zawodowi kierowcy, że drogi szybkiego ruchu w Polsce są teraz lepsze niż w Niemczech? – prowadząca program pyta rosyjskiego tirowca, który od lat kursuje z towarem między Litwą a Czechami. – Tak – odpowiada bez wahania mężczyzna.

Europa to drogi

Znaczenie tej zmiany w postrzeganiu polskich dróg za granicą wykracza daleko poza sferę bezpieczeństwa ruchu, ekonomii transportu, dochodów państwa, a nawet ambicji narodowych. Istnienie siatki ekspresówek i autostrad, po których można wygodnie dotrzeć w niemal dowolne miejsce Polski, unieważnia – a przynajmniej poważnie osłabia – jeden z najważniejszych porządków symbolicznych cywilizacji europejskiej. Mowa o podziale Europy na umowny Wschód i Zachód.

Europejczycy w gruncie rzeczy nigdy nie uwolnili swoich wyobrażeń o świecie z ram narzuconych jeszcze przez starożytnych Greków. Dualizm „my kontra barbarzyńcy", czyli geograficznie może bliscy, ale mentalnie i kulturowo odlegli sąsiedzi, przetrwał dłużej niż sam świat grecko-rzymski. Potrzebował jedynie nowego limesu. Z chwilą, gdy cała Europa stała się chrześcijańska, przestały się do tego nadawać również kryteria religijne. Pozostała jednak sieć około 80 tys. kilometrów dróg rozsianych po obszarze byłego imperium rzymskiego, częściowo zaniedbanych lub zrujnowanych, ale nadal umożliwiających relatywnie szybkie i bezpieczne podróżowanie.

Konstruktorzy rzymskich magistrali, takich jak Via Aemilia czy Via Egnatia planowali je z myślą o przemarszach wojsk z prędkością do nawet 30 mil na dobę. Zabójczej skuteczności postrzymska infrastruktura będzie w stanie dowieść nawet tysiąc lat później, gdy do włoskich portów w XIV wieku dotrze zaraza, a następnie rozpowszechni się błyskawicznie po niemal całej Europie. Niemal, bo mapa obszarów spustoszonych przez „czarną śmierć" pokryje się właściwie jeden do jednego z siecią dróg pozostawionych przez Rzymian. Na ziemiach polskich, gdzie brak takiego zaplecza, zaraza okaże się już o wiele mniej dotkliwa. Dżuma zabija tu zarażonych, zanim zdążą dotrzeć do najbliższego osady czy miasta.

„Jeno piasek i błoto"

Odległość rozumiana nie tyle jako przestrzeń, ile czas potrzebny do jej pokonania – o tym w gruncie rzeczy mówimy. Bo gdzie właściwie zaczyna się Europa Wschodnia? Podkreślając ulotność tego geograficznego konstruktu, wybitny francuski historyk Pierre Chaunu akcentuje w głośnej „Cywilizacji wieku Oświecenia" dwa czynniki: gęstość zaludnienia oraz sieć dróg umożliwiających szybką podróż. W porównaniu z najmocniej zaludnionymi obszarami nowożytnej Europy Zachodniej, gdzie na kilometr kwadratowy przypadało nawet 25 osób, wschodnie rubieże kontynentu, o średniej rzędu dwóch-czterech osób na kilometr, mogły jawić się przybyszom z Zachodu odstręczającą krainą wilkołaków lub na odwrót – przestrzenią do skolonizowania, gdzie wszystko jest możliwe.

W relacjach zachodnich podróżników to wschodnioeuropejskie El Dorado ma jednak najczęściej kolor błota. Francuskiemu dyplomacie Jeanowi Le Laboureur, który w 1644 r. jedzie do Polski aranżować małżeństwo Władysława IV z Marią Ludwiką Gonzagą, miejscowe trakty zajdą za skórę do tego stopnia, że spisując wiele lat później ↦

PRZEMEK ŚWIDERSKI / REPORTER

Budowa Obwodnicy Metropolii Trójmiejskiej. Część drogi ekspresowej S7, o długości 32,2 km, ma połączyć Trasę Kaszubską z Południową Obwodnicą Gdańska.

↦ wspomnienia z tej misji, nie omieszka zaznaczyć, iż na większości z nich nie było nawet mostów. „Trzeba brodzić w rzekach” – zaznacza.

„*Non sunt stratae viae, sed arena et lutum*”. „Nie ma kamiennych dróg, jeno piach i błoto” – to już habsburski poseł Johann Georg Korb, którego w 1698 roku obowiązki służbowe zmuszają do żmudnego tranzytu przez ziemie polskie. Z upływem czasu sytuacja nie ulega bynajmniej poprawie. Jeszcze w drugiej połowie XIX wieku historyk Adolf Pawiński będzie pisać, że nad Wisłą „cudzoziemcy dziwią się powolności jazdy na traktach prowincjonalnych”.

Polska droga, pełna dziur i wybojów, szybko staje się czymś więcej niż smutnym dowodem cywilizacyjnej zapaści. W rodzimej literaturze urasta do symbolu przeklętego polskiego losu, geopolitycznej klątwy, przez którą skazani jesteśmy na wieczną wegetację w świecie braków i wyrw. O dziurawych drogach pisze z lubością Marek Hłasko. W „Konopielce” Edward Redliński wręcz nurza czytelnika w pokrywającym drogi błocku, „w którym topiły się koła wozu i buty ludzi. (...) Świat kończył się na tym błocie”. W „Kamieniu na kamieniu” Wiesława Myśliwskiego pojawia się droga „nie najlepsza, pewnie, jak to przez wieś. Dziury, doły. Wiosną czy jesienią błoto, latem kurz”. W roku 2000 świat wita wprawdzie nowe stulecie, ale Jerzy Pilch w „Pod mocnym aniołem” wraca autobusem z pijackich wojaży po dziurawych polskich ulicach, mając przy tym wrażenie, „że to nie zawieszenie, tylko moje życie się rozpada”.

Zachód jedzie na wschód

Nad rzeczywistością opisywaną przez Pilcha, Myśliwskiego i Redlińskiego unosi się komunikacyjne fatum. Dobrych dróg w Polsce nie było, nie ma i nigdy nie będzie – w tej części Europy postęp jest po prostu niemożliwy. Jak pisał w XIX wieku niemiecki historyk Leopold von Ranke, główną oś podziału Europy wyznacza granica rywalizacji narodów romańskich i germańskich, które w kreatywnym sporze o cywilizacyjny prymat przesuwają wciąż granice niemożliwego. Europa Wschodnia jedynie przypatruje się tej walce z głębi swoich lasów.

W geopolitycznym zadufaniu von Ranke nie przewidział jednak, że to Zachód w pewnym momencie sam postanowi przesunąć granice swego limesu na wschód i połączyć się z Europą Wschodnią (i milionami potencjalnych konsumentów) siecią interesów oraz dróg budowanych w dużej części za zachodnie pieniądze; gwoli ścisłości trzeba jednak dodać, że i przez tamtejsze firmy. W ten sposób zacznie też znikać Europa Wschodnia rozumiana po staremu, czyli jako miejsce, gdzie zwalnia czas każdej podróży.

Polska droga, pełna dziur i wybojów, szybko staje się czymś więcej niż smutnym dowodem cywilizacyjnej zapaści. W rodzimej literaturze urasta do symbolu przeklętego polskiego losu.

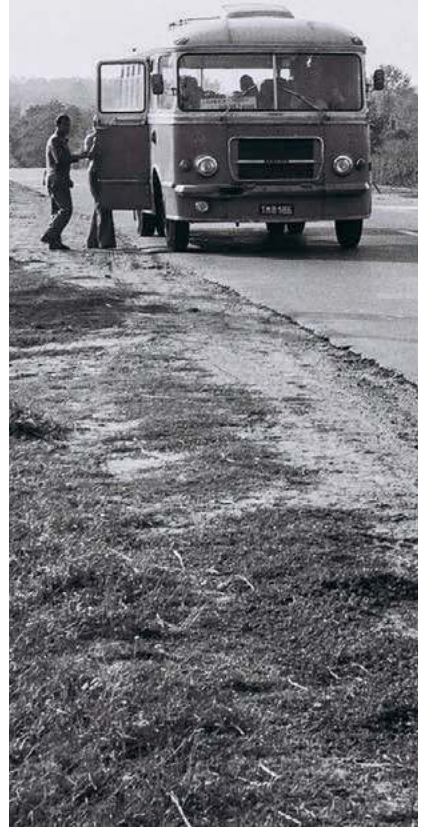

LEON ZYBURTOWICZ / EAST NEWS

Drogi szybkiego ruchu łączą Polskę z Europą Zachodnią coraz gęstszym ściegiem. Obecnie trwa budowa 131 odcinków o łącznej długości 1661 kilometrów i wartości 66,8 mld zł. Na etapie przetargów pozostaje 355,5 kilometrów, a w przygotowaniu – 2816,5 kilometrów tras. Do 2030 roku Polska ma mieć w sumie ponad osiem tysięcy kilometrów autostrad i ekspresówek. Więcej niż Wielka Brytania.

Sama budowa nie powinna sprawić trudności. Przeciwnie, ponad trzy dekady intensywnych inwestycji drogowych wyposażyły polskich budowniczych w doświadczenie i skuteczność, której nie mają konkurenci z wielu państw. Stoi za nimi, jak mawiają ekonomiści, efekt skali. Nie wiadomo tylko, czy stanie także polskie państwo.

Finał politycznej agendy

Inwestycje drogowe, przez lata oczko w głowie wszystkich rządów, schodzą bowiem powoli z politycznej agendy. Punkty w sondażach coraz trudniej zbić, ogłaszając budowę kolejnej obwodnicy czy tunelu, bo opinia publiczna ma już nowe fetysze: CPK, farmy wiatrowe na Bałtyku, koleje dużych prędkości. Drogowy cud, który jeszcze ćwierć wieku temu wydawał się w Polsce nierealny, zdążył się nie tylko ziścić, ale także spowszednieć. A to niebezpieczne, bo za kilka, kilkanaście lat może się znów okazać, że po Polsce nie da się komfortowo podróżować. Stanie się tak niechybnie, jeśli w ślad za politycznymi kalkulacjami pójdą decyzje o podziale funduszy i zabraknie pieniędzy na utrzymanie tej asfaltowej dżungli w należytym stanie.

Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad podała niedawno, że w latach 2004-2024 na budowę tras szybkiego ruchu wydano w Polsce w sumie 240 mld zł. Na naprawy jezdni i inne konserwacje tylko w najbliższej dekadzie potrzebna będzie aż jedna czwarta tej sumy, czyli 60 mld zł. Nasze autostrady i ekspresówki w większości mają okres eksploatacji zaplanowany na 30 lat. Łatwo obliczyć, że do drogowego rachunku musimy więc dołożyć w sumie jeszcze co najmniej 180 mld zł.

Niebawem okaże się, czy i z tym dojedziemy na czas. ©℗ MAREK RABIJ

B( )NUS

TYGODNIK POWSZECHNY

Ogłaszamy Nagrodę BONUS!

Nowe wyróżnienie „Tygodnika Powszechnego”
dla tych, którzy tworzą przestrzeń dialogu i pokazują, że wspólne dobro jest możliwe.
Kandydatów mogą zgłaszać także nasze Czytelniczki i nasi Czytelnicy.

BONUS to nowa nagroda „Tygodnika Powszechnego” – stworzona po to, by wyróżniać ludzi, którzy wnoszą do debaty publicznej więcej sensu niż sensacji.

Słowo *bonus* po łacinie znaczy „**dobry**”. Tak rozumiemy też ideę nagrody – jako wyróżnienie dla tych, którzy w przestrzeni publicznej nie poddają się logice uproszczeń i polaryzacji.

To nagroda dla osób, które łączą zamiast dzielić, rozmawiają zamiast krzyczeć, tworzą przestrzeń porozumienia tam, gdzie najłatwiej o podziały.

Przyznajemy ją dziennikarzom, twórcom kultury, liderom, społecznikom i innowatorom – tym, którzy swoją pracą pokazują, że dialog, rzetelne słowo i odpowiedzialne działanie wciąż mają moc.

BONUS jest przypomnieniem, że lepsza wspólnota jest możliwa. Że w świecie zdominowanym przez sensację i algorytmy wartością jest uczciwa rozmowa, odwaga niuansowania i otwartość na drugiego człowieka.

Od 80 lat wierzymy, że słowo i działanie mogą łączyć ludzi. BONUS przyznajemy tym, którzy robią to dziś najskuteczniej.

Ważne terminy:

do 15.10 – możliwość zgłaszania nominowanych

29.10 – ogłoszenie nominowanych do nagrody

29.11 – uroczystość wręczenia nagród

Gala nagrody, podczas której wręczymy pięć kamiennych statuetek, odbędzie się 29 listopada o godzinie 19.00 w Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie MOCAK.

Więcej szczegółów na **tygodnikpowszechny.pl/bonus**

Kategorie Nagrody Bonus

BONUS przyznawany jest w pięciu kategoriach, bo wierzymy, że wspólne dobro rodzi się w różnych przestrzeniach życia publicznego.

Media, które opisują świat bez uproszczeń. Kultura, która uczy wrażliwości i otwartości. Działalność społeczna, która odbudowuje zaufanie. Ludzie – liderki i liderzy – którzy potrafią inspirować. I technologia, która może służyć łączeniu, a nie dzieleniu.

- **MEDIA**
  Nagradzamy ludzi mediów, którzy nie pogłębiają polaryzacji. Takich, którzy odważnie stawiają na pluralizm, rzetelność i dialog – zamiast sensacji i klikbajtu.
- **KULTURA**
  Wyróżniamy twórców kultury, którzy otwierają przestrzeń dla różnych głosów. Takich, którzy potrafią mówić wieloma językami – nie uciszając, nie unieważniając.
- **DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA**
  Honorujemy ludzi i inicjatywy, które odbudowują wspólnotę. Ich działania sprawiają, że mimo różnic wciąż mamy chęć i przestrzeń do rozmowy.
- **LIDER/LIDERKA**
  Nagradzamy przywódczynie i przywódców za wybitne dokonania w życiu publicznym. Osoby budujące wspólnotę, które inspirują i pociągają za sobą innych i którym charyzma nie przeszkadza w efektywnym działaniu. Ludzi promujących porozumienie, dialog, współpracę, a przy tym pozostających na szpicy rozwoju własnych organizacji.
- **TECHNOLOGIA**
  Wyróżniamy innowacje, które włączają zamiast wykluczać. Narzędzia ułatwiające dostęp do wiedzy, budowanie więzi i rzetelną rozmowę.

Zgłoś swoją nominację do nagrody

Nominacje do Nagrody BONUS mogą zgłaszać nasze Czytelniczki i nasi Czytelnicy oraz organizacje społeczne.

W formularzu należy krótko opisać osobę oraz wskazać, jakie działania zostały podjęte i jaki miały wpływ na przestrzeń publiczną. Można także dołączyć materiały uzupełniające – artykuły, filmy, referencje.

Kandydatury mogą być zgłaszane również przez członków Kapituły Nagrody.

Zgłoszenia można wysłać na adres: **bonus@tygodnikpowszechny.pl**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OLGA

Drenda:
Lala karalna, lala niekaralna

„Lala podająca się za socjologa" – tak kiedyś nazwał mnie anonimowy internauta, zapewne w nadziei, że w ten sposób mi naurąga. Niestety, takie akty szkalunku to jedna z wątpliwych atrakcji występowania publicznie pod własnym nazwiskiem. Od kiedy z mody wyszło krzyczenie na telewizor, pasjonaci tej czynności wybierają słowo pisane. Czy nadawca tej wypowiedzi osiągnął sukces? Jeśli chodzi o wywołanie niezamierzonego efektu komediowego, to owszem. Przezwisko tak mi się spodobało, że nawet myślałam, żeby się nim posługiwać. Ale „Lalę" na razie zostawmy, bo takie opinie to kwestia subiektywnego gustu. Zajmijmy się raczej „podawaniem się za socjologa".

Wypowiedź ta na pewno spełnia kryteria kłamstwa, bo nigdy nie podawałam się za socjologa i nawet nie próbowałam zdawać na takie studia. Najprawdopodobniej mieści się w definicjach wolności wypowiedzi i człowiek ten udowodniłby to w sądzie. Jestem zdania, że dobry obyczaj i prawo to nie to samo i że nie wszystko, co sprawia przykrość, powinno być ścigane. W wolnym kraju nie powinno się stale uważać na słowa. Co innego jednak, gdyby ten sam człek rozpowszechniał insynuacje, że podaję się za absolwentkę wydziału socjologii i posługuję się fałszywym dyplomem, wszystko jedno, czy jako lala, czy nie. Wtedy mogłabym posądzić go o zniesławienie, bo też i konsekwencje jego kłamstwa byłyby inne niż bzdury rzucone w afekcie.

To one podają się za socjologów, nie ja!

OLGA DRENDA

Tę osobistą anegdotkę postanowiłam przywołać z okazji powracającego co jakiś czas tematu wolności słowa. Tu nadmienię, że jestem zwolenniczką szerokiego jej marginesu, jak w słynnym cytacie przypisywanym Wolterowi, choć wiem, że oznacza to mierzenie się z przypadkami co najmniej nieprzyjemnymi. Ale też umowna zgoda co do tego, jakie wypowiedzi należy uznawać za przekroczenie granic, nieustannie się zmienia. Nie jest to oczywiście niczym nowym – odsyłam do „Historii śmiechu i drwiny" Georges'a Minois, by przekonać się, w którym wieku w karnawale można było obrażać uczucia religijne bardzo, a kiedy z kolei tylko tak sobie. Obecnie szala przeważa znów na korzyść tabu. Kiedyś – za sprawą nadgorliwości w obronie przed dyskryminacją czy propagowaniem nienawiści (co sprawiało, że za wspomnienie, że czytamy książkę o pewnym akwareliście, mogliśmy stracić konto w mediach społecznościowych – osobiście znany mi przypadek). Teraz – z prawdziwej lub fasadowej obawy przed nawoływaniem do przemocy czy oburzenia na „niesłuszne emocje" w typie radości z cudzego nieszczęścia. To oznacza, że takie strefy wyłączone jak metafora, wypowiedź artystyczna, satyra trafiają pod lupę i podejrzana staje się, dajmy na to, stara piosenka Varius Manx „Zabij mnie".

Gdyby internauta mieszkał w XVI wieku na Mierzei Wiślanej, sprawa niechybnie skończyłaby się bójką, gdyż człowiek ten mnie „obłożyłby nikczemnym i raniącym honor znieważeniem". Ówcześni mieszkańcy tych rejonów, jak w swej fascynującej książce pisała Jaśmina Korczak-Siedlecka, wręcz zarzucali sądy hurtowymi sprawami o wyzwiska. Według ówczesnego prawa były to, owszem, wykroczenia z kategorii „małe miki", a gorliwość gospodarzy w skarżeniu lżących sąsiadów musiała wydawać się im zawracaniem głowy. Dla samych gospodarzy wyzwisko było jednak sprawą najwyższej powagi, ponieważ dobra sława oznaczała być albo nie być w całej wsi. Dlatego byli zdolni szybko sięgać po noże, gdy ktoś nazywał ich szelmami, co oznaczało wówczas nie spryciarza, lecz raczej odpowiednik dzisiejszej „patologii społecznej". Obrzucenie kogoś wyzwiskiem wiązało się z wysokim ryzykiem, że przyklei się ono, zmniejszając zaufanie do obywatela.

Wracając do mojego przykładu – gdyby na dawnej Mierzei ktoś nazwał mnie „wiedźmą podającą się za handlarkę łososi", przemieniłby mnie w rzeczoną wiedźmę w oczach mojej wioski. Dlatego nie dało się uznać, że „to tylko słowa". By oddalić zagrożenie uznania za pariasa, ludzie domagali się oficjalnego zwrotu dobrego imienia. Obecnie zbliżamy się chyba pomału ponownie do traktowania słów z podobnym ciężarem. Ale też obyczaj swoje, a prawo swoje; sąd nie robił z tego wielkiej sprawy, lecz zarządzał symboliczne przeprosiny i odwołanie, a nie, powiedzmy, banicję. Tylko czy współczesny świat potrafi zachować podobną roztropność? ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

Radio Kraków

Nadajemy do myślenia
radiokrakow.pl

LUDZIE
których chce się słuchać

REKLAMY

wysokie obcasy extra

MIESIĘCZNIK DLA KOBIET CIEKAWYCH ŚWIATA.

DOCENIA KOBIETY ZA TO, JAKIE SĄ.

ZAMÓW Z BEZPŁATNĄ DOSTAWĄ do domu lub paczkomatu

Zamów na **prenumerata24.pl**

ŚWIAT

TYSIĄC JEDNEGO DNIA

Masowa imigracja to dziś najbardziej palący temat polityczny i społeczny na Wyspach Brytyjskich. We wrześniu po raz kolejny rekordowo dużo imigrantów pokonało łodziami Kanał La Manche.

PATRYCJA BUKALSKA

W liczbach wygląda to tak: w piątek 19 września, po ośmiu dniach, podczas których nie odnotowano żadnych przypadków nielegalnego przekroczenia morskiej granicy Wielkiej Brytanii, do brytyjskich plaż dopłynęło z Francji naraz aż trzynaście tzw. małych łodzi.

Znajdowało się w nich dokładnie 1072 ludzi, a zatem średnio na łódź przypadały około osiemdziesiąt dwie osoby. Wcześniej taka rekordowa – bo przekraczająca tysiąc – liczba przybyszów w ciągu jednego dnia zdarzyła się 6 września oraz 31 maja. Przestaje więc to być sytuacja wyjątkowa. Wśród powodów wskazywane są częstsze tego lata okresy dobrej pogody, ale też fakt, że do łodzi wpychanych jest więcej pasażerów. Same łodzie też zaczynają być większe.

Temat numer jeden

W sumie do tej pory w 2025 r. drogą morską do Wielkiej Brytanii przedostało się nielegalnie ponad 32 tys. osób. To więcej niż w tym samym okresie w roku ubiegłym (wtedy było to ponad 22 tysiące). W całym roku 2024 w tzw. małych łodziach przypłynęło 37 tys. osób – dużo, ale nie aż tak dużo, jak w roku 2022, gdy liczba ta sięgnęła rekordowych 46 tysięcy.

Nie wszyscy dopływają: wiadomo, że w pierwszej połowie tego roku utonęło co najmniej 14 osób, a w ubiegłym roku 73 osoby (dane za Migration Observatory).

Do tej statystyki można dołożyć jeszcze inne dane. Jak wynika z sondażu dla telewizji Sky News, po raz pierwszy od czasu referendum nad brexitem z 2016 r. temat imigracji znów stał się najważniejszą kwestią dla Brytyjczyków. Na przełomie sierpnia i września uważało tak 58 proc. ankietowanych. Dalej: 70 proc. Brytyjczyków wyraża pogląd, że imigracja na Wyspy jest zbyt wysoka, a połowa, że źle wpływa to na kraj.

Z kolei z badań ośrodka Ipsos wynika, że zaniepokojenie imigracją narasta – w sierpniu 48 proc. ankietowanych deklarowało, że imigracja to największy problem, i było to aż 8 proc. więcej niż w lipcu.

Jednak to nie tylko sondaże pokazują, jak zmieniają się nastroje brytyjskiego społeczeństwa. Całe lato przez kraj przetaczały się kolejne manifestacje i protesty.

Demonstrujące Królestwo

Rozpoczęły się one w lipcu w Epping, niewielkim mieście w hrabstwie Essex – po tym, jak zakwaterowany w tamtejszym hotelu dla azylantów mężczyzna został oskarżony o napaści na tle seksualnym na nastolatkę oraz dorosłą kobietę (został już za to skazany na 12 miesięcy więzienia).

W kolejnych tygodniach demonstracje przeciwko kwaterowaniu ubiegających się o azyl w hotelach – oraz kontrdemonstracje wspierające uchodźców i imigrantów – organizowano właściwie we wszystkich regionach Wielkiej Brytanii, nawet w Szkocji, gdzie do tej pory dominowało raczej nastawienie proimigracyjne.

W połowie września aż 150 tys. osób wzięło udział w marszu „Unite the Kingdom" (w wolnym przekładzie: „Zjednoczmy Królestwo"), zwołanym przez skrajną prawicę w Londynie.

Zaskakująca była nie tylko większa, niż się spodziewano, skala tego protestu, ale także fakt, że pojawiły się na nim takie

BARTON / SOPA / REX FEATURES / EAST NEWS

Przeciwnicy imigracji demonstrują na londyńskiej Trafalgar Square, 13 września 2025 r. W sondażach 70 proc. Brytyjczyków wyraża pogląd, że imigracja na Wyspy jest zbyt wysoka, a połowa uważa, że źle wpływa ona na kraj.

elementy jak drewniane krzyże i odwołania do religii chrześcijańskiej; reporter Sky News określił to jako „nacjonalizm chrześcijański".

Do zebranych przemawiał – poprzez łącze wideo – Elon Musk. Wzywał do obalenia lewicowego rządu Keira Starmera, rozwiązania parlamentu i przyspieszonych wyborów (Starmer pełni urząd premiera od lipca 2024 r.).

Mimo zmobilizowania potężnych sił porządkowych, doszło do przepychanek z policją. „Przetrwaliśmy burzę i dziś to my jesteśmy burzą" – krzyczał organizator marszu, 42-letni Tommy Robinson. To znany działacz antyislamski i twórca skrajnie prawicowego Angielskiego Legionu Samoobrony, z kilkoma wyrokami na koncie (m.in. za zniesławienie i obrazę sądu). Robinson zapowiada kolejne takie protesty.

Jak zatrzymać łodzie

Z problemem rosnącej imigracji – zarówno tej legalnej, jak i nielegalnej – musiał się mierzyć ostatnio każdy rząd na Wyspach.

Poprzedni gabinet, konserwatywny, próbował przeforsować odsyłanie nielegalnych imigrantów do krajów trzecich, jak np. Rwanda. Ten kontrowersyjny program został anulowany przez obecny rząd Partii Pracy po tym, jak w ubiegłym roku wygrała ona zdecydowanie wybory.

Jej lider i obecny premier, Keir Starmer, zapowiedział inne rozwiązania – przede wszystkim walkę z gangami przemytników, którzy organizują przeprawy. Labourzyści obiecywali też zwiększenie liczby deportacji ludzi bez prawa pobytu i usprawnienie systemu azylowego.

W praktyce to wszystko okazuje się jednak dość skomplikowane. Np. udało się nadrobić część zaległości w rozpatrywaniu wniosków azylowych, ale jednocześnie zwiększyła się liczba oczekujących na rozpatrzenie apelacji. ↦

↦ Teraz, pod koniec września, ruszył program odsyłania nielegalnych imigrantów do Francji, określany potocznie „jeden tu, jeden tam" (*one in, one out*). Brytyjsko-francuskie porozumienie zakłada, że Brytyjczycy mogą odesłać do Francji osoby, które na Wyspy przedostały się stamtąd nielegalnie. W zamian jednak mają przyjąć taką samą liczbę osób, które mają podstawy do ubiegania się o azyl w Wielkiej Brytanii i np. mają już tam rodzinę.

Jak dotąd wydalono z Wysp w ten sposób tylko kilka osób, m.in. z Afganistanu, Iranu, Erytrei i Indii. Rząd ma jednak nadzieję na efekt odstraszający – że perspektywa możliwej deportacji zniechęci imigrantów przebywających we Francji do podejmowania nielegalnej, a kosztownej i niebezpiecznej morskiej przeprawy.

Ten trzeci na fali

Na skutki działań podejmowanych przez rząd Starmera trzeba poczekać. Tymczasem już teraz ponad 40 proc. ankietowanych uważa, że rząd Partii Pracy radzi sobie ze sprawą imigracji gorzej niż poprzedni rząd konserwatystów.

„W tej kluczowej kwestii zaufanie społeczne do zdolności rządu do ograniczenia przepraw przez małe łodzie i przywrócenia porządku w systemie azylowym jest niskie. Obawy dotyczące imigracji i niezadowolenie z rządu nie są niczym nowym – istniały również za rządów konserwatystów – ale Partia Pracy nie przekonuje wystarczającej liczby wyborców, że teraz, gdy jest u władzy, radzi sobie lepiej" – komentował wyniki sondażu Gideon Skinner z Ipsos.

Widać jednak, że rozczarowanie obywateli politykami nie ogranicza się tylko do labourzystów – w sondażu dla Sky News tylko 18 proc. uznało, że konserwatyści poradziliby sobie z tym zadaniem lepiej. Aż 55 proc. wyraziło pogląd, że między tymi dwiema głównymi partiami nie byłoby w tej kwestii różnicy.

Na politycznej scenie jest jednak jedna partia, której kryzys migracyjny dodaje skrzydeł – to populistyczne ugrupowanie Reform UK. Prowadzi obecnie w sondażach i może już liczyć na poparcie sięgające 30 procent. Jego lider Nigel Farage zasypuje wyborców kolejnymi pomysłami i obietnicami. Ostatnio dotyczącymi deportowania nawet tych imigrantów, którzy mają prawo pobytu na Wyspach.

> Sektor opieki zdrowotnej i społecznej opiera się w znacznym stopniu na imigrantkach, **które pracują w szpitalach i domach opieki.**

Legalni i nielegalni

„Małe łodzie" skupiają uwagę Brytyjczyków, ale przybyli w nich imigranci i uchodźcy (powody podejmowania tej podróży są różne) stanowią jedynie niewielką część wszystkich przybyszów, jacy trafiają na Wyspy.

Natomiast jak najbardziej legalnie – np. w oparciu o wizę pracowniczą lub studencką – do Wielkiej Brytanii, liczącej dziś prawie 70 mln mieszkańców, przyjechał w ubiegłym roku niemal milion ludzi, z zamiarem pozostania przynajmniej rok.

Ponad pół miliona w tym czasie wyjechało, a zatem migracja netto, jak się to określa, wyniosła plus 413 tysięcy. Może się wydawać, że to dużo, ale w istocie jest to znaczący spadek – w roku 2023 migracja netto sięgała plus 860 tysięcy.

Ta jak najbardziej legalna imigracja zaczęła rosnąć po brexicie – teraz Farage i prawicowi komentatorzy chętnie używają na określenie tego zjawiska frazy *Boriswave*, czyli „fala Borisa", jako że gwałtowny wzrost liczby imigrantów nastąpił w czasie, gdy premierem był Boris Johnson, który negocjował warunki opuszczenia Unii Europejskiej przez Wielką Brytanię.

Teraz fala ta, jak widać, nieznacznie opada. Ale to właśnie w legalną imigrację uderzył ostatnio Farage, zapowiadając, że w przypadku dojścia do władzy zlikwiduje pozwolenia na pobyt stały (tzw. *Indefinite Leave to Remain*). Obecnie o takie pozwolenie imigranci mogą ubiegać się po pięciu latach pobytu na Wyspach.

Farage chciałby, aby zamiast tego musieli oni wnioskować o kolejne wizy co pięć lat, a warunki ich uzyskania oraz samego pobytu byłyby bardziej restrykcyjne niż teraz. Co więcej, zasada ta miałaby objąć także osoby, które pozwolenia na pobyt stały już mają.

Przewodniczący Reform UK postuluje również, aby z zasiłków socjalnych mogli korzystać jedynie obywatele brytyjscy oraz aby osoby posiadające wizy nie mogły ubiegać się o sprowadzenie bliskich.

Aspekt praktyczny

Pomysły Farage'a zgodnie krytykują politycy innych partii. Podważana jest wysokość podawanych przez niego rzekomych oszczędności dla budżetu państwa, wskazuje się też na kwestie etyczne – ryzyko rozdzielenia rodzin i deportacji ludzi mieszkających na Wyspach od lat.

Podnosi się także aspekty praktyczne – bo np. sektory opieki zdrowotnej i społecznej opierają się w znacznym stopniu na pracy imigrantów. Według ośrodka Migration Observatory, w 2023 r. wydano 106 tys. takich wiz pracowniczych (dla głównych aplikantów, nie licząc wiz dla ich rodzin). Obecnie przyznaje się ich znacznie mniej, jednak imigranci – czy też imigrantki, bo to w większości kobiety – odgrywają tutaj cały czas ważną rolę, pracując w szpitalach czy domach opieki.

Szybko okazało się też, że ze swojej antyimigracyjnej ofensywy Farage musiałby wyłączyć obywateli państw unijnych, których prawa chroni porozumienie brexitowe (a Bruksela raczej nie ma powodów, by chcieć je renegocjować).

Pod presją

Swoją drogą, lider Liberalnych Demokratów Ed Davey twierdzi, że Farage – jedna z twarzy brexitowego referendum – powinien przede wszystkim przeprosić Brytyjczyków za stworzenie problemu. „Przed brexitem nie mieliśmy problemu z »małymi łodziami«, bo mieliśmy porozumienie z 27 krajami Unii Europejskiej i mogliśmy odsyłać tam ludzi" – mówił Davey.

Żeby wprowadzić swoje propozycje, Nigel Farage musiałby najpierw wygrać wybory. Retoryka lidera Reform UK rezonuje jednak z rosnącymi społecznymi napięciami i oczekiwaniami Brytyjczyków, że ich obawy będą brane pod uwagę. Wszystko to tworzy presję na rząd.

Rzecz w tym, że rozwiązanie problemów nawarstwiających się od lat wymaga nie populistycznych haseł, lecz rzetelnej oceny sytuacji, konsekwentnej strategii, a także czasu.

W obecnej atmosferze tego ostatniego premier Starmer nie ma jednak za wiele.

© PATRYCJA BUKALSKA

ALEKSANDRA WOJTASZEK

Spotkania polskiej społeczności na wyspie Vis w winnicy Kula. Wrzesień 2025 r.

Żurek na Visie

ALEKSANDRA WOJTASZEK Z CHORWACKIEJ WYSPY VIS

STYL ŻYCIA | Z początkiem jesieni wraca temat Polaków, którzy kupili domy na południu Europy i cały rok grzeją się w słońcu. W historiach tych dominują finanse. Rzadko – społeczne skutki, dla przybyłych i mieszkańców. Jak to wygląda w Chorwacji?

Wójt dalmatyńskiej gminy, do której należy Igrane – wieś położona nad samym Adriatykiem i licząca niespełna 400 stałych mieszkańców – nie przebierał w słowach. „Tu już nie będzie koegzystencji. Sprzedajcie swoje domy i wyjedźcie" – powiedział do Polaków.

To w tej miejscowości, mniej więcej w połowie drogi między Splitem a Dubrownikiem, w sierpniową noc doszło do tragedii. Starsza Chorwatka zwróciła uwagę sąsiadom, dwóm Polakom, gdyż drażniła ją głośna muzyka.

Wybuchła kłótnia, Polacy przeskoczyli ogrodzenie. Na pomoc kobiecie pospieszył jej brat. Prawdopodobnie doszło do szarpaniny. Mężczyzna zmarł, a bezpośrednią przyczyną jego śmierci był zawał serca. Polacy są oskarżeni o nieumyślne spowodowanie śmierci, ale zostali wypuszczeni z chorwackiego aresztu.

Szczegóły ustalają policja i prokuratura. Ojciec jednego z oskarżonych posiada w Igrane pięć nieruchomości. Miejscowi Chorwaci są oburzeni – twierdzą, że z Polakami już wcześniej były problemy. Tuż po tragedii na domu pojawiły się obraźliwe napisy, m.in.: „*Fuck off Polish murderers*". Odbył się także protest pod hasłem „Sprawiedliwość dla Nikšy" (to imię zmarłego). O tym wydarzeniu głośno było w chorwackich mediach.

Mały kraj na wielkie wakacje

Choć moi znajomi Chorwaci, zwłaszcza ci mieszkający nad morzem, czasem narzekają na polskich turystów, zwykle jest to narzekanie rytualne, przeplecione pogodną ironią. Nieostrożni i nazbyt rozleniwieni, turyści zwykle robią krzywdę wyłącznie sami sobie, kiedy np. nieadekwatnie ubrani gubią się w górach albo wypływają na dmuchanym materacu na pełne morze (żarty na ten temat to *leitmotiv* każdego sezonu urlopowego).

Co więcej, takie same cięgi otrzymują też inne nacje regularnie wypoczywające nad Adriatykiem: Niemcy, Czesi czy Słowacy. Taki już urok „małego kraju na wielkie wakacje", jakim jest Chorwacja: turystów potrzebuje, aby przetrwać finansowo, ale krótki i intensywny sezon sprawia, że miejscowi bywają przebodźcowani, zmęczeni i marudni.

Sytuacja zmienia się jednak, kiedy Polacy, zachwyceni urokiem Chorwacji, postanawiają w niej zamieszkać na stałe. W mediach społecznościowych i na forach dużo mówi się o tym, gdzie kupić najtańsze nieruchomości, jak nie stracić na inwestycji i przeprowadzić cały proces od strony prawnej.

Wprawdzie Chorwacja nie jest dla Polaków krajem szczególnie egzotycznym, pewne różnice kulturowe są jednak nieuniknione. Co więcej – kupujący zazwyczaj wybierają niewielkie nadmorskie miasteczka, których społeczność, przynajmniej poza sezonem, funkcjonuje na własnych prawach i jest ze sobą zżyta.

Wyspa inna niż wszystkie

Aby poszukać historii polskich przeprowadzek do Chorwacji, płynę na wyspę Vis.

Choć Chorwacja znana jest z licznych wysp i wysepek, Vis to miejsce szczególne. Oddalona od lądu ponad 50 km, aż do lat 90. XX w. wyspa była zamknięta dla obcych ze względu na strategiczne położenie. Od 1943 r. znajdowała się tu kwatera komunistycznych partyzantów, a po II wojnie światowej wyspę zamieniono w bazę wojskową. Miejscowi musieli posiadać specjalne dokumenty. Pamiątką ↦

Janusz był pierwszym Polakiem, który kupił dom na Visie. Na zdjęciu u wylotu tunelu, który służył armii Jugosłowii do przechowywania artylerii nadbrzeżnej.

Miasteczko Kut na chorwackiej wyspie Vis

ALEKSANDRA WOJTASZEK x2

↦ tamtych dni są liczne bunkry i tunele, także dla statków.

Ze względu na tę długą izolację, a także znaczne oddalenie od lądu, Vis zachwyca do dziś zarówno malowniczą, nienaruszoną przyrodą, jak i architekturą z różnych epok. Panują tu też idealne warunki do nurkowania, w okolicy pełno jest zatopionych statków i samolotów. Jedno z centrów nurkowych należy zresztą do firmy z Krakowa.

Po bunkrach oprowadza mnie Janusz, który zna je jak własną kieszeń. To on, jako pierwszy Polak, 18 lat temu kupił dom na Visie – w pełnym malowniczych uliczek osiedlu Kut. Chorwację poznawał już wcześniej. Po raz pierwszy przyjechał tu w latach 90., jeszcze w trakcie wojny, zaproszony przez przyjaciela na rejs wzdłuż Dalmacji. Spodobało mu się tak, że kolejnego roku sam zorganizował taką podróż dla przyjaciół.

– To nie był żaden jacht – opowiada dziś. – Tylko przerobiony kuter rybacki, wewnątrz którego zainstalowano maleńkie kabiny. Warunki były spartańskie.

Życie w miasteczku

Przez kolejną dekadę Janusz co roku opływał dalmatyńskie wybrzeże. Po 10 latach zapadła decyzja, że chce zamieszkać na Visie. Zaczął szukać odpowiedniej nieruchomości.

Janusz z zawodu jest architektem, dlatego nie przejął się tym, że dom, który wybrał – z widokiem na morze – wymagał generalnego remontu. Piętro niżej zamieszkał jego kolega Bartosz, ten sam, który namówił go na pierwszy rejs. To on doglądał robotników – zna język, bo do Chorwacji przyjeżdżał od dziecka, jeszcze za czasów Jugosławii.

Dziś w miasteczku Vis (nosi taką samą nazwę jak wyspa) Janusza znają wszyscy. Jeśli akurat jest tu sam, ma grono wsparcia, również żywieniowego – jedna sąsiadka przynosi nam pyszne risotto, innego dnia na grilla przychodzą miejscowy winiarz i dwie inne sąsiadki.

Podczas pieczenia ryby i picia wina opowiadają swoje historie. Najstarsza jest Nađa – urodzona w 1940 r., opowiada mi o kilkuletnim pobycie na pustyni, w alianckim obozie El Shatt w Egipcie, dokąd ewakuowano ich po tym, jak Niemcy zajęli Dalmację.

Choć wspólne obiady to już tradycja, aby zakosztować tutejszego życia wystarczy z domu Janusza przejść kilkadziesiąt metrów w stronę wybrzeża. Tam, na słynnej już ławeczce, omawia się wszystko, od lokalnych plotek po problemy geopolityki.

Tej niedzieli miejscowy komunista kłóci się z konserwatywnym katolikiem o interpretację Biblii. Przyznają, że regularnie współpracują jednak, aby na wyspie żyło się nieco łatwiej. Problemem jest choćby wodociąg – choć Vis, jako jedyna wyspa, ma własną wodę.

Polska społeczność

Za Januszem podążyli inni Polacy. Zwykle było tak: przyjeżdżali do niego przyjaciele albo przyjaciele jego córek, a potem, zafascynowani pięknem wyspy, kupowali tu domy. W transakcjach zazwyczaj pomagał Janusz, już zaznajomiony z miejscowymi realiami.

Jedną z osób, które przeprowadziły się na Vis i teraz mieszkają tu niemal przez cały rok, jest Grażyna, jego siostra. Emerytowana nauczycielka wychowania fizycznego ma dwa ulubione powiedzonka: „Nie spotkaliśmy się tu dla przyjemności" oraz „To nie jest półkolonia dochodząca dla dzieci wątłych".

Jej energia i poczucie humoru są znane na wyspie. Ale zasłynęła także z powodu swojej potrawy – polskiego żurku. Przygotowuje go regularnie dla miejscowych, a pierwsze pytanie, jakie kierują do niej Chorwatki, kiedy siadamy na ławeczce, brzmi: „Kiedy żurek?".

Dlatego gdy miejscowi udają się zbierać winogrona, Grażyna gotuje, a potem wszyscy spotykają się nad garnkiem.

TATIG / ADOBE STOCK

Zupa znika w mgnieniu oka, większość prosi o dokładkę.

Na wyspę sprowadził się też Andrzej, którego syn jest partnerem córki Janusza. Wcześniej cała rodzina przyjeżdżała regularnie na Vis, aż w trakcie pandemii podjęli decyzję o zakupie nieruchomości.

Andrzej kupił nie tylko dom, ale także ziemię wraz z winnicą. Jego posiadłość, o nazwie Kula (po polsku: Wieża), to częste miejsce spotkań.

Komiža: gdzieś na uboczu

Również przez cały rok mieszka tutaj Kuba, drugi syn Andrzeja, wraz z żoną Anią; oboje przed czterdziestką.

– Na początku przyjeżdżałam do teściów i wcale nie byłam tak bardzo zachwycona wizją mieszkania w Dalmacji – śmieje się Ania. – Ale potem bardzo spodobała mi się tutejsza mentalność. Mam tu najlepszych przyjaciół. Poza tym posłuchałam rady o tym, że morze rozwiąże każdy twój problem: nawet jeśli pracuję kilkanaście godzin, idę potem popływać i od razu czuję się lepiej.

Anię w Komiży – miasteczku położonym na zachodnim wybrzeżu wyspy, liczącym półtora tysiąca stałych mieszkańców – znają dziś chyba wszyscy. Ciągle ktoś ją pozdrawia i pyta, jak się ma. Komiža to specyficzna miejscowość, znacznie mniej turystyczna niż inne miejsca na wybrzeżu: nadal w dużej mierze zachowała tradycyjny rybacki charakter.

Ania pracuje jednocześnie w firmie IT i pomaga przy uprawie tradycyjnych szczepów winnych z tych okolic: bugavy, pošipu i plavca.

Jej teść Andrzej razem z chorwacką enolożką Moniką produkują od niedawna wino, które zdobywa już nagrody w miejscowych i międzynarodowych konkursach. Sprzedają je m.in. w swojej winiarni Monissa, położonej poza tradycyjnymi szlakami turystycznymi, w gaju na wzgórzu.

Kwestia zaufania

Ania wraz z mężem wdrażają się też w uprawę oliwek, przyjmują gości. A kiedy akurat nie są na Visie, zabierają turystów do Gruzji. Wszędzie jej pełno, a jej doba wydaje się nie kończyć. Pomagają im przyjaciele i rodzina. Kiedyś do zbiorów zatrudnili nawet spotkanych przypadkowo na wyspie studentów-backpackerów.

– Wiesz, miejscowi nas szanują, bo widzą, że pracujemy tak samo ciężko jak oni – mówi Ania. – Codziennie jesteśmy w polu, robimy to samo co oni, nie obijamy się. Mój Kuba pracuje w polu po kilkanaście godzin, a ja zaraz po tym, jak zamykam komputer, dołączam do niego. To kluczowe, aby zyskać zaufanie.

O wyspie Ania wie dziś chyba wszystko, zna wszystkich. Chodzi na pogrzeby, bo czuje się częścią społeczności. Zdradza mi też liczne sekrety: opowiada o miejscowej rywalizacji między Visem a Komižą; pokazuje, gdzie znajduje się ławeczka, z której kobiety łowią ryby i dyskutują o wszystkim, co ważne.

Jako jedna z niewielu osób z polskiej społeczności mieszka na wyspie Vis przez cały rok. Do Polski jedzie tylko, gdy musi coś pilnego załatwić.

Klamra dla opowieści

Wyspa Vis wciąga również i mnie. Jej piękno oszałamia, ale w końcu muszę ruszyć w drogę, wrócić na ląd. Żegnam więc gospodarzy i odpływam do najbliższego portu – Splitu.

Tu czeka mnie jednak nieoczekiwanie gorzkie zakończenie wizyty w Dalmacji. Po miesiącach przemierzania Chorwacji i Czarnogóry, zapomniałam o swojej obcości krzyczącej z tablicy rejestracyjnej. Na lokalnym parkingu znajduję swoje auto zniszczone przez nieznanych sprawców.

Policja rozkłada ręce, niektórzy oskarżają rozszalałe wiewiórki, trwa debata, czy był to po prostu pijany wybryk chuliganów, czy jednak w chorwackim społeczeństwie pojawiają się resentymenty. Niekoniecznie względem Polaków, być może po prostu w kontekście masowej turystyki, która znacząco utrudnia życie w Splicie, tym największym dalmatyńskim mieście.

Wieść o moim wypadku rozszerza się po mieście z prędkością światła. Przyjaciółka proponuje mi nocleg, znajomy znajomego naprawia elementy auta w swoim garażu, mechanicy dzwonią do siebie, aby znaleźć części do starego już samochodu.

Czy byłoby inaczej, gdybym nie znała ludzi i języka? Może tak. Czy należy wyciągać daleko idące wnioski z wypadków opisanych na początku i na końcu tej historii? Może lepiej już zjeść łyżkę ciepłego żurku, przegryzanego pogačą – tradycyjnym wypiekiem z Visu.

© ALEKSANDRA WOJTASZEK

Dalmatyńska gmina położona nad Adriatykiem, do której należy wieś Igrane

PEDRO MATTEY / AFP / EAST NEWS

Szkolenie cywilów w bazie wojskowej w Caracas, stolicy Wenezueli. 20 września 2025 r.

Maduro na celowniku Trumpa

MARTYNA LESZCZYŃSKA

AMERYKA ŁACIŃSKA | Dla jednych to nowa twarz jankeskiego interwencjonizmu. Dla innych: przede wszystkim walka z narkobiznesem. W tym z prezydentem Wenezueli, którego prezydent USA oskarża o kierowanie przemytem narkotyków.

Jak to zwykle teraz bywa, newsa dostarczył sam Donald Trump: na początku września prezydent USA udostępnił w swoich mediach społecznościowych nagranie wideo. Pokazywało atak amerykańskiej armii na przemytniczy, jak stwierdził Trump, statek, który wypłynął z Wenezueli i zmierzał do Stanów. W chwili ataku, w którym miało zginąć 11 osób, statek znajdował się na wodach międzynarodowych.

Trump stwierdził, że na pokładzie byli „narkoterroryści" z niesławnego gangu Tren de Aragua – jednej z najsłynniejszych organizacji przestępczych w Ameryce Łacińskiej. Wenezuelski rząd Nicolása Maduro oczywiście temu zaprzeczył. „Niech to, co się stało, będzie ostrzeżeniem dla każdego, kto rozważa przemyt narkotyków do Stanów" – mówił Trump.

Kilkanaście dni później, jak gdyby dowodząc rzetelności komunikowanych przestróg, poinformował o zatopieniu kolejnych dwóch statków.

W polityce USA to nowa jakość: do tej pory praktyką amerykańskich służb w takich wypadkach było przechwycenie łodzi, zatrzymanie załogi i konfiskata ładunku.

WOJNA Z „NARCOS" | Donald Trump uczynił walkę z narkotykami jednym ze swych priorytetów i obiecał ograniczyć ich napływ do Stanów. Choć więc amerykańska kampania antynarkotykowa trwa właściwie nieustająco od dekad, to dziś zaczyna przypominać taktykę, jaką niegdyś, w latach 80. XX w., przyjął prezydent Ronald Reagan.

Bo chociaż proces militaryzacji w walce z „narcos" zaczął się jeszcze w latach 60. XX w. za administracji Richarda Nixona (odnotowano wtedy drastyczny wzrost konsumpcji narkotyków w USA), to właśnie Reagan jako pierwszy uznał narkobiznes za poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego USA.

Miało to konkretne skutki systemowe: ogłoszona przez niego w 1986 r. dyrektywa zezwalała na wykorzystanie wojska w walce z „narcos". W tym samym roku wprowadzono tzw. procedurę certyfikacji. To coroczna ocena działań państw, od których oczekuje się, że zrealizują przewidziany dla nich plan walki z narkobiznesem (z miejscami uprawy i produkcji, a także z przemytem).

W tym roku po raz pierwszy od ponad dwóch dekad certyfikacji takiej nie otrzymała m.in. Kolumbia, której prezydent Gustavo Petro prezentuje całkiem odmienne stanowisko w kwestii sposobów zwalczania narkoprzemysłu.

KWESTIA SKUTECZNOŚCI | Twarzą polityki USA wobec Ameryki Łacińskiej i Karaibów jest dziś sekretarz stanu Marco Rubio. Twierdzi on, że strategia USA w walce z przemytem narkotyków była dotąd nieskuteczna i należy sięgnąć po nowe, radykalne metody.

Jako Amerykanin kubańskiego pochodzenia, Rubio dba o wizerunek osoby obeznanej z problemami regionu. Jego rodzice, uciekinierzy z Kuby, osiedli w Miami, zwanym „najbardziej wysuniętym na północ latynoskim miastem". Dorastanie wśród kubańskich dysydentów bez wątpienia wpłynęło na kształtowanie się konserwatywnych poglądów przyszłego senatora z Florydy.

Uznawany za architekta twardej polityki sankcyjnej USA wobec autorytarnych władz Kuby, Wenezueli i Nikaragui, Rubio pokazał, że nie uznaje kompromisów wobec tych, którzy odmawiają współpracy ze Stanami w polityce migracyjnej i w walce z przestępczością. A zwłaszcza z przemytem narkotyków.

CEL: MADURO | Gdyby spojrzeć na całą tę historię walki kolejnych administracji USA z przemytem narkotyków z południa, kulminacja miała jak dotąd miejsce za prezydentury George'a W.H. Busha – w grudniu 1989 r. i styczniu 1990 r., gdy USA dokonały regularnej inwazji na Panamę.

Nie ulega wątpliwości, że jej ówczesny prezydent-dyktator Manuel Noriega czerpał ogromne zyski z przemytu narkotyków, jednak nie był to jedyny powód

interwencji. W latach 70. i 80. Noriega współpracował z CIA w działaniach wymierzonych w zbrojne ruchy lewicowe w Ameryce Łacińskiej, a USA długo tolerowały jego działalność przestępczą. Był użyteczny – do czasu.

W podobnej sytuacji jest dziś Nicolás Maduro – z tą jednak różnicą, że ten lewicowy prezydent Wenezueli nigdy nie współpracował ze Stanami, lecz zawsze traktował je jako wroga. Maduro rządzi krajem po dyktatorsku, jest podejrzany o sfałszowanie wyników wyborów prezydenckich w 2024 roku.

Administracja USA oskarża Maduro o to, że kieruje kartelem „Słońca" (*Los Soles*); Trump nazywa go „jednym z największych handlarzy narkotyków na świecie". Prokurator generalna USA Pamela Bondi podała niedawno, że jej resort skonfiskował właśnie należące do Maduro aktywa w postaci rezydencji, aut i samolotów o wartości 700 mln dolarów.

CIOS I PIWOT | Konflikt między Trumpem a Maduro charakter otwartej konfrontacji przybrał wkrótce po tym, jak prezydent USA wrócił do Białego Domu.

Na początku marca władze Wenezueli zaczęły odmawiać przyjmowania wenezuelskich migrantów, deportowanych przez administrację. Stało się to po tym, jak w lutym władze USA cofnęły amerykańskiemu koncernowi Chevron licencję na wydobywanie wenezuelskiej ropy. Dla rządu Maduro było to bolesne, gdyż Wenezuela, posiadająca wielkie zasoby ropy, cierpi na brak nowoczesnych technologii jej wydobycia i przetwarzania.

Stany tłumaczyły wtedy, że decyzja wynika ze złamanej obietnicy przeprowadzenia w Wenezueli uczciwych wyborów. Jednak potem, w lipcu, zdecydowały się na piwot, wznawiając koncesję. Oba państwa doszły do porozumienia, w wyniku którego Wenezuela zgodziła się na przyjęcie swoich obywateli, przetrzymywanych tymczasowo w niesławnym salwadorskim mega-więzieniu.

Walka z narkobiznesem ponownie zdaje się legitymizować radykalne i coraz bardziej nieprzewidywalne posunięcia w polityce Trumpa. Choć przez Karaiby przepływa jedynie znikomy odsetek szmuglowanej kokainy, szlak ten służy najwyraźniej jako pretekst do wywierania presji na niewygodne dla USA, podatne na chińskie wpływy rządy.

BĘDZIE INWAZJA? | Pod koniec sierpnia Trump podjął decyzję o wysłaniu na wody międzynarodowe sąsiadujące z wodami terytorialnymi Wenezueli zgrupowania okrętów. W tym okrętów desantowych z jednostkami piechoty morskiej.

Krok ten rozbudził na nowo antyimperialne sentymenty w Ameryce Łacińskiej – nie tylko wśród zwolenników Maduro. Równolegle elitarna jednostka USA zaczęła manewry desantowe na terenie Portoryko, co wywołało protesty wśród mieszkańców wyspy.

Mając na uwadze głęboko zakorzenioną urazę i niechęć latynoskich społeczeństw wobec poczynań USA, nie dziwi, że obecność marines na Karaibach budzi spekulacje, czy nie podejmą próby inwazji na Wenezuelę i pojmania Maduro.

Trump odżegnuje się od tego pomysłu. Ale Maduro ogłosił, że trzeba bronić suwerenności i uruchomił „*Plan Independencia 200*", mobilizując armię i tzw. milicje ludowe. Cywile są szkoleni, a rządowe profile społecznościowe zalały filmy, na których żołnierze i wozy bojowe kontrastują z lazurem Morza Karaibskiego u wybrzeży wyspy La Orchila. Społeczeństwo Wenezueli szykuje się na niewypowiedzianą wojnę.

Za to w Stanach podwojono nagrodę za pomoc w schwytaniu Maduro – obecnie to 50 mln dolarów. Patrząc długoterminowo, obalenie kontynuatora polityki Hugo Cháveza i zastąpienie go proamerykańską opozycją mogłoby się okazać dla USA o wiele bardziej intratne. ©

Lament nad Izraelem

Państwo Izrael ma dwojaką genezę: zwycięski mit założycielski Sabrów i latami wstydliwie przemilczane tragiczne dziedzictwo ofiar Zagłady.

Problem położenia terytorialnego Izraela jest o tyle skomplikowany, że niestety nie zostało ono ustalone kosztem winowajców Holokaustu, lecz drogą swoistej „restytucji" po upływie dwóch tysiącleci. Skutkiem tego od 1948 r. po stronie arabskiej rozwijał się afekt narastający, wyrażający się kolejnymi wojskowymi bądź społecznymi (intifady) atakami na Izrael, którego rządy niestety coraz bardziej posuwały się do gettoizacji (mur!) oraz dyskryminacji i dehumanizacji Palestyńczyków.

Teraz jak grom z jasnego nieba wstrząsnął Izraelem zbrodniczy palestyński atak terrorystyczny 7 października 2023 r. W odwecie izraelskie wojsko zaatakowało Strefę Gazy, bombardując i zrównując ją z ziemią oraz wypędzając ludność cywilną. Izraelskie władze odcięły Gazę od pomocy humanitarnej i skazały Palestyńczyków na wypędzenie i głód.

Dla wielu z nich – bezlitosną głodową śmierć, o jakiej do ostatnich chwil swego życia wspominała moja Mama, która wchodziła do warszawskiego getta, by ratować znajomych Żydów i widziała tam umierające na chodnikach żydowskie dzieci, przebierające tylko paluszkami, bo nie starczało im już siły na żebraczy gest. Uchybiając pamięci zagłodzonych żydowskich ofiar gett i obozów, Izrael sam morzy głodem Palestyńczyków. Tym sposobem traci niewinność.

Politycy izraelscy lubią utożsamiać krytyczne uwagi na temat swej polityki z antysemityzmem. Zarzut taki jest moim zdaniem ogromnym nadużyciem. Społeczność międzynarodowa ma prawo krytykować politykę rządów, która jest sprzeczna z prawem międzynarodowym i skierowana przeciw ludności cywilnej.

Państwo Izrael działa w ten sposób na własną niekorzyść i ryzykuje utratę prawa do korzystania z bezwzględnej okoliczności łagodzącej – doświadczenia Holokaustu. Moja obdarzona przenikliwością polityczną Mama (1920-2013) już lata temu obawiała się, że polityka Izraela może niestety doprowadzić kiedyś do utworzenia zjednoczonego frontu państw bliskowschodnich i innych, i do zniszczenia Izraela. Obyśmy nie musieli zapłakać nad jego losem.

Mam nadzieję, że politycy izraelscy posłuchają słów starotestamentowej Księgi Mądrości (1, 12): „Nie dążcie do śmierci przez swe błędne życie, nie gotujcie sobie zguby własnymi rękami!".

MARIA JANSSEN

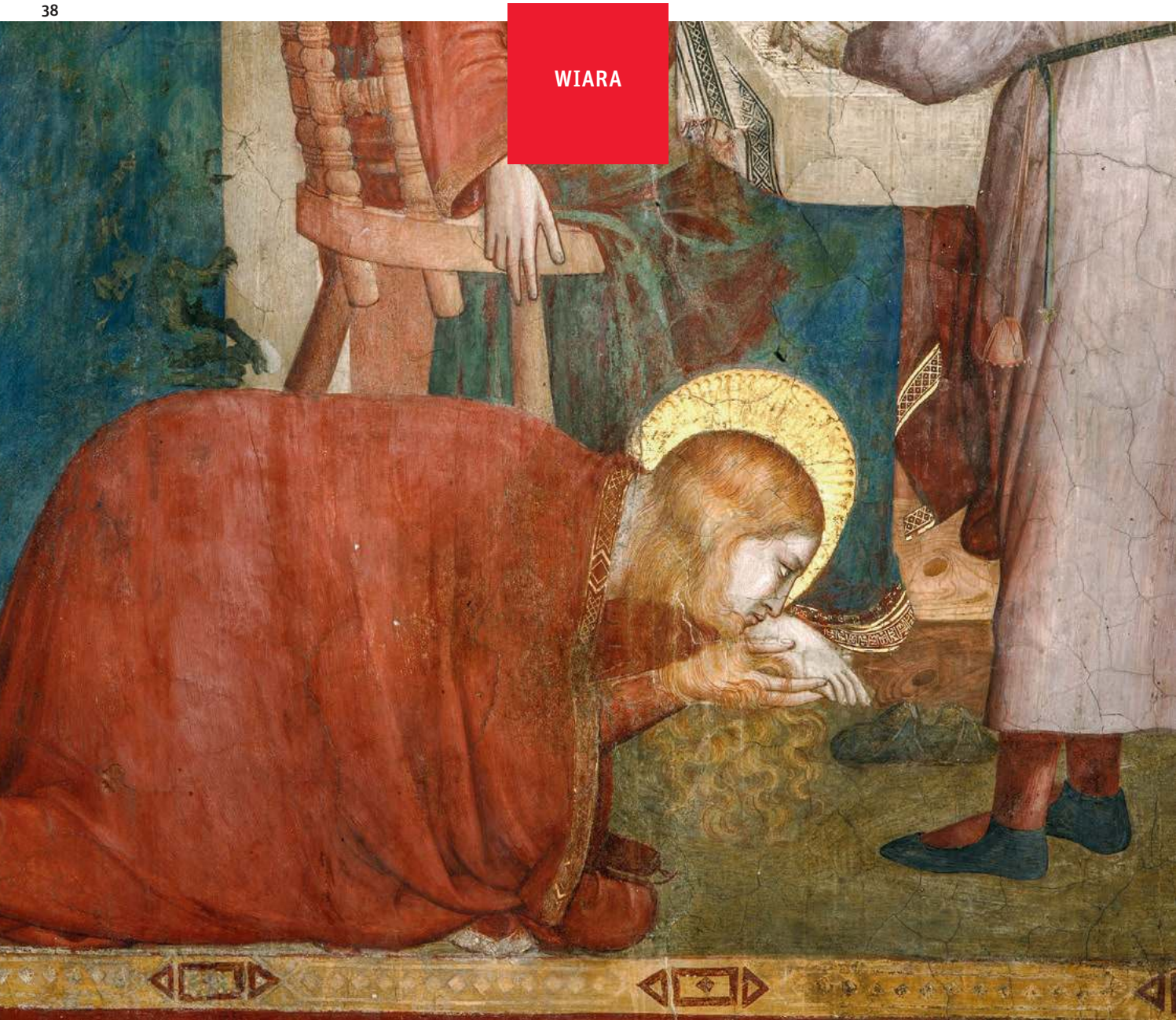

Fragment fresku przedstawiający Chrystusa i jawnogrzesznicę w domu faryzeusza, szkoła Giotta, ok. 1320. Bazylika św. Franciszka w Asyżu

WSZECHMOGĄCY I NIEBINARNY

KALINA WOJCIECHOWSKA, TEOLOŻKA:

Bóg jest niebinarny, bo nie mieści się w naszych kategoriach płciowości. I jest queerowy, bo przekracza wszystkie normy i granice, w jakich próbuje się Go zamknąć.

PAULINA MODEL: Czy kobiety inaczej czytają Biblię?

KALINA WOJCIECHOWSKA: Oczywiście. Każdy czytelnik odbiera tekst inaczej. Wiąże się to z jego doświadczeniem, wykształceniem, kompetencjami, przyzwyczajeniami czy wreszcie bardziej lub mniej uświadomionymi założeniami. Od co najmniej 50 lat biblistyka chętnie odwołuje się do Hansa-Georga Gadamera, który zwrócił uwagę, że znaczenie tekstu – każdego, nie tylko biblijnego – nie ogranicza się do tego, „co autor chciał powiedzieć". Za każdym razem, gdziekolwiek i kiedykolwiek tekst jest czytany, obejmuje też tzw. horyzont lektora, czyli wszystkie uwarunkowania czytelnika, które sprawiają, że tekst jest rozumiany i przeżywany, że odkrywane jest jego aktualne znaczenie i możliwe zastosowanie do własnej sytuacji czytelnika.

Jak zatem czytają kobiety? I co wynika z ich sposobu czytania Biblii?

Na przykład zaczynają zwracać uwagę na aspekty wcześniej niedostrzegane lub przemilczane, jak choćby dysproporcja pomiędzy męskimi i kobiecymi bohaterami biblijnymi. Tych ostatnich jest zdecydowanie mniej.

Mężczyznom to nie przeszkadzało, a kobiety zaczęły zadawać pytania. Dlaczego głos kobiet biblijnych jest tak słabo słyszalny? Dlaczego ich historia jest opowiadana przez mężczyzn? Dlaczego to męskie doświadczenie wyrosłe z patriarchalnej dominującej pozycji mężczyzn ma być narzucane kobietom jako normatywne?

Spojrzały na tekst z innej, własnej perspektywy.

Z perspektywy osób marginalizowanych, milczących bohaterek, którym należało oddać głos. A to było – przynajmniej na początku – wspólne doświadczenie kobiet: osób niedocenianych, spychanych na bok. Ono stało się jednym z najbardziej charakterystycznych aspektów kobiecego odczytywania tekstów biblijnych i zwracania uwagi na te szczegóły, które nie interesowały mężczyzn.

Później okazało się, że to wspólne doświadczenie wcale nie jest wspólne dla kobiet żyjących w różnych częściach świata i kontekstach geograficznych, ekonomicznych, społecznych, kulturowych, z totalnie odmiennymi doświadczeniami i zapleczem historycznym, a nawet klasowym... To spowodowało dalszy rozwój hermeneutyk kontekstualnych.

Co nam to daje?

Świeżość w spojrzeniu na tekst, odkrywanie go na nowo, możliwość lepszego, bardziej osobistego przeżywania przesłania biblijnego. Tekst biblijny zaczyna rezonować, zaczyna być czymś autentycznie żywym, kiedy zastosujemy do niego nie tylko metody historyczno-krytyczne, uchodzące za bardziej obiektywne, ale gdy go przefiltrujemy przez bardziej subiektywne doświadczenia kontekstowe czy przez indywidualne uwarunkowania.

Dlaczego Biblia tak często milczy o kobietach?

Na pewno nie dlatego, że kobiet nie było, albo że nie odgrywały żadnej znaczącej roli. Biblia powstawała w środowisku patriarchalnym. Autorzy i redaktorzy biblijni przedstawiali na ogół narrację z męskiej perspektywy. Pierwszym krokiem feministycznych hermeneutyk (metod interpretacji tekstu) jest przyjęcie do wiadomości, że perspektywa biblijna nie jest obiektywna ani uniwersalna, ale patriarchalna. I dlatego odbiera głos kobietom.

To jasne. Tylko co z tym zrobić?

Drugi krok to dekonstrukcja patriarchalnej perspektywy. Czasem nazywa się to czytaniem między wierszami. Oznacza to wypełnianie luk w tych męskich narracjach, pokazywanie, że kobiety tak naprawdę są tam obecne, tyle że marginalizowane i anonimizowanie. Dopowiadanie historii tam, gdzie Biblia milczy, czyli tworzenie midraszy.

I zawsze musimy mieć w tyle głowy pytanie, czy taka dysproporcja płci, takie pomijanie kobiet jest naprawdę wyrazem woli Bożej czy tylko wytworem kultury, w jakiej tekst powstawał?

Feministki czytają podejrzliwie.

W teologiach feministycznych mówimy o hermeneutyce podejrzeń. Ale jest też trzeci krok lektury feministycznej. To hermeneutyka odzyskiwania, czyli wydobywania z tekstu, czasem rekonstruowania, a następnie nagłaśniania narracji, które mówią o kobietach.

Przypominanie takich bohaterek jak Hagar, Sara, Debora, Junia czy oczywiście Maria Magdalena.

Tak. I opowiadanie ich historii z uwzględnieniem kobiecego doświadczenia i kobiecej wrażliwości, a często z pominięciem lub dekonstrukcją męskiej, patriarchalnej narracji. Celem takiego postępowania jest po pierwsze odróżnienie przesłania biblijnego od kulturowych uwarunkowań i ograniczeń, po drugie zaś – pokazanie, że Bóg nie wyklucza kobiet. Jego zbawcze działania obejmują zarówno mężczyzn, jak i kobiety, a nie bardziej mężczyzn czy bardziej kobiety.

A co robić z takimi fragmentami, jak historia Sary i Hagar. Gdy jedna kobieta wypędza drugą z dzieckiem na pustynię?

Trzeba się z takim tekstem zmierzyć. Pamiętajmy, że w patriarchalnej narracji kobiety przedstawiane są z perspektywy męskiej, jako skonfliktowane ze sobą rywalki. Inaczej to wygląda z perspektywy kobiecej. Sara i Hagar walczą o przetrwanie. Ich historia dobrze obrazuje przedmiotowe i przemocowe traktowanie kobiety, której podstawowym zadaniem w środowisku patriarchalnym było danie mężczyźnie syna. Sara z bezsilności i strachu podejmuje przemocowe działania wobec swojej niewolnicy, które znała z własnego doświadczenia.

Sara na pewno była bardziej uprzywilejowana niż Hagar.

Ale ona też została przedmiotowo i przemocowo potraktowana przez Abrahama, a właściwie jeszcze Abrama, który dla własnych korzyści stręczył ją faraonowi czy później, w bliźniaczej opowieści, królowi Geraru Abimelekowi.

Hagar była egipską niewolnicą. To też miało znaczenie.

Motyw przemocy Sary wobec swojej niewolnicy-surogatki jest bardzo mocno podkreślany np. w teologii womanistycznej. Pochodząca z Egiptu, czarna najprawdopodobniej Hagar staje się wręcz ikoną tzw. hermeneutyki utożsamienia. Afroamerykanki, potomkinie czarnych niewolnic, chętnie się z Hagar identyfikują, co ułatwia pełną nadziei interpretację. Bo ta historia odczytywana z perspektywy Hagar jest wbrew pozorom optymistyczna.

Historia niewolnicy wygnanej na pewną śmierć?

↦

STEFAN DILLER / AKG / BE&W

↦ Tak, bo pokazuje, że Bóg bierze w opiekę tych, którzy doznają krzywdy i przemocy. Bierze w opiekę Hagar, której skarga do Niego dociera. Wynagradza jej cierpienie, wchodząc z nią w szczególną relację – mówiąc do niej, dając jej obietnicę i pozwalając się nazwać El Roj. W większości tekstów biblijnych beneficjentami obietnicy są mężczyźni. Mężczyźni też, bazując na własnych doświadczeniach, mają przywilej nazwania Boga. Tutaj uprzywilejowana zostaje czarna, wygnana niewolnica.

Powiedzmy jeszcze o sytuacjach, gdy kobiet w ogóle nie ma. Na przykład podczas ostatniej wieczerzy.

To także tradycyjna, męska, patriarchalna narracja i redakcja tekstu. Nie wiemy, kto był w wieczerniku i czy rzeczywiście kobiet tam nie było. Ewangeliści skupiają się na mężczyznach, wiadomo jednak, że wśród uczniów Jezusa były też kobiety, o czym bardzo wyraźnie mówi ewangelista Łukasz. Coraz lepiej poznajemy też obyczajowość żydowską czasów Jezusa i trudno sobie wyobrazić, że podczas uczty nie było kobiet.

Wiemy to ze źródeł?

W innych narracjach ewangelicznych, gdzie mowa o ucztach, kobiety są obecne – Łukasz opowiada o uczcie u faryzeusza, na której zjawiła się „znana w mieście grzesznica", Marek, Mateusz i Jan mówią o uczcie w Betanii, gdzie też kobiety były obecne, czy to Maria namaszczająca Jezusa, czy Marta, która – jak mówi czwarty ewangelista (J 12, 2) – usługiwała. Usługującą podczas innego posiłku Martę znamy też z przekazu Łukasza (Łk 10, 38-42). Byłoby dziwne, gdyby nagle nie było kobiet podczas ostatniej wieczerzy.

Hermeneutyka podejrzeń każe się domyślać, że męscy autorzy tekstu celowo wyeliminowali wzmianki o kobietach. A hermeneutyka odzysku z kolei pozwala niejako dopowiedzieć tę kobiecą obecność, na przykład z „perspektywy kuchni", opierając się na wielowiekowym doświadczeniu kobiet.

Rozmawiamy o kategoriach płci w Biblii i kulturze. Czy można je stosować także do Boga? Mówimy przecież „Ojcze nasz".

Oczywiście, Biblia często mówi o Bogu, posługując się obrazami typowymi dla świata męskiego: Bóg Ojciec, Król, Władca, Pan, Wódz itd., ale są to, po pierwsze, obrazy kulturowe, a po drugie – równie często znajdziemy w Biblii kobiece obrazy Boga, najczęściej odnoszące się do macierzyństwa. Bóg rodzi w bólach, karmi, jak matka pociesza i ochrania. Mogę powiedzieć krótko: Bóg jest niebinarny. Nie mieści się w naszych kategoriach płciowości. Zresztą, często mamy też „zwierzęce" obrazy – Bóg jest określany jako orzeł, czy raczej orlica czuwająca nad gniazdem i pisklętami, chroniąca je w cieniu swoich skrzydeł. Bóg gromadzi swoje dzieci jak kura, albo broni swoich dzieci jak niedźwiedzica czy lwica. A przecież nikt nie będzie utożsamiał Boga z ptakiem, niedźwiedzicą czy lwicą.

ANNA OLEK / ARCHIWUM PRYWATNE AUTORKI

KALINA WOJCIECHOWSKA
– ewangelicka biblistka, profesorka Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie (kieruje Katedrą Wiedzy Nowotestamentowej i Języka Greckiego). Była członkinią zespołu redagującego Biblię Ekumeniczną, wydaną w 2017 r. przez Towarzystwo Biblijne w Polsce.

Teolog Marek Kita pisze o Bogu Ojcu-Matce – niejako naraz. O Rodzicu.

To spojrzenie jest mi bardzo bliskie. Rzadko mówię kazania, dlatego większość z nich dobrze pamiętam. W tym roku miałam kazanie na rozpoczęcie Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan, które zatytułowałam „Dzieci jednego Rodzica". Już wspomniałam, że odwoływanie się do kategorii ojca czy matki jest niewystarczające i nie do końca przystające do Boga wymykającego się wszelkiej kategoryzacji. Ale trzeba też uwzględnić kontekstualność i doświadczenie, od których zaczęłyśmy naszą rozmowę. Współcześnie ojciec bywa często nieobecny, ktoś może mieć też złe doświadczenia z ojcem. Narzucanie mu obrazu Boga jako ojca może skutkować odwróceniem się od Boga. To samo zresztą dotyczy matki. Doświadczenia np. z toksyczną matką nie są dobrą podstawą budowania relacji z Bogiem-Matką. Określenie Rodzic jest bardziej neutralne, ale oczywiście niewystarczające, aby opisać bardzo szerokie spektrum relacji, jakie z Bogiem mamy.

A co z queerowaniem Boga?

Określenia queerowe, czyli wymykające się nie tylko binarności, ale wszystkim normom czy kategoriom, w których próbuje się Go zamknąć, same się narzucają. Bóg przekracza wszystkie normy, brakuje nam języka, aby to opisać. Teologie queerowe posługują się też kategorią płynności, może nie najlepszą, albo opisują Boga oksymoronicznie – tu już odwołując się do Trójcy – jako relacyjnego i różnorodnego w jedności.

Określenie „queer" kojarzy nam się z osobami LGBTQ+.

Dlatego musimy sobie najpierw wyjaśnić, jak je rozumieć, bo termin „queerowanie" ma też bardziej ogólne znaczenie. Można go rozumieć jako próbę opisu czegoś dynamicznego i płynnego, przekraczającego normy i granice, bardzo szeroko pojmowane. Jako próbę kwestionowania i przezwyciężania myślenia dychotomicznego, czy – jak już wspomniałyśmy – binarności. W tym znaczeniu Bóg jest queerowy, bo jest transgresywny. Queer to też krzyżowanie się i nakładanie na siebie różnych obrazów i kategorii. Też o tym mówiłyśmy przy okazji biblijnych metafor.

Jeden z najbardziej znanych amerykańskich przedstawicieli teologii queer – Robert Shore-Goss, były jezuita, zwraca uwagę, że sam Jezus po zmartwychwstaniu był właśnie odzwierciedleniem tak pojmowanej queerowości, zacierającej granice pomiędzy cielesnością a bezcielesnością, śmiercią i życiem, doczesnością i wiecznością, teraźniejszością i eschatologią. Ale transgresję można dostrzec także we wcieleniu: Syn Boży przekracza swoją boskość i staje się człowiekiem.

Dziś coraz więcej ludzi skłania się jednak ku lekturze fundamentalistycznej, zapewne szukając oparcia w niezmienności prawd, a nie w wielości interpretacji. Jakie oparcie można znaleźć w progresywnej lekturze Biblii?

Fundamentalistyczna, literalna lektura Biblii daje ludziom jedynie złudzenie bezpieczeństwa i stałości. Opiera się na literze, a nie na Duchu, a jak mówi apo-

stoł Paweł, Bóg uczynił nas sługami Nowego Przymierza – nie litery, lecz Ducha. Litera bowiem zabija, Duch zaś ożywia (2 Kor 3, 6). Już Orygenes zwracał uwagę, że dosłowne czytanie Biblii często rani, zatrzymuje na powierzchni. Duch pozwala otworzyć się na inne sensy, a tym samym otworzyć się na Chrystusa.

Progresywna lektura to możliwość nawiązania żywych, osobistych relacji z Bogiem, to poszukiwanie w Biblii pocieszenia i wyzwolenia, które dotyczy wszystkich ludzi, także, a może przede wszystkim tych powszechnie marginalizowanych i lekceważonych. Oparciem w czasach chaosu jest nadzieja, że Bóg nas widzi i słyszy, że nieustannie daje nam swoje zbawcze obietnice, że jest tym obietnicom wierny. My natomiast jesteśmy zobowiązani do odczytywania tych obietnic nie w przeszłości i w literze, lecz z pomocą Ducha w naszej teraźniejszości i zgodnie z naszymi doświadczeniami i uwarunkowaniami. Czy może być coś bardziej stałego, a jednocześnie dynamicznego niż osobista relacja z Bogiem i zaufanie do Niego?

Biblią usprawiedliwiano i obalano niewolnictwo, gnębiono i wzmacniano kobiety, popierano tak wojnę, jak i pokój, bicie dzieci i zakaz przemocy. Po co nam Księga, z której każdy może wziąć, co chce?

Te różne interpretacje pokazują, jak Biblia była odczytywana w różnych czasach i w różnych kontekstach społecznych i politycznych. W tradycji luterańskiej mówi się o nieustannym powrocie do tekstów, nieustannym nowym ich odczytywaniu w świetle aktualnych sytuacji – o tzw. spirali hermeneutycznej opartej na wiedzy, sytuacji, kontekście. Różnorodność i kontekstualność interpretacji dowodzi, że w wymiarze społecznym, politycznym, ekonomicznym, wychowawczym, o który pytasz, Biblia nie jest zbiorem gotowych recept na funkcjonowanie rodzin, społeczeństw, państw. W całej swojej uwarunkowanej zewnętrznie, kulturowo i historycznie różnorodności, i przy tak samo uwarunkowanym odczycie, jest świadectwem ludzkich doświadczeń żywego Boga, miejscem spotkania człowieka z Bogiem obietnicy i nadziei, Bogiem słyszącym, odpowiadającym i troszczącym się o wszystkich, którzy się do Niego zwracają. I to jest jej główne przesłanie.

© Rozmawiała PAULINA MODEL

Biblia kobiet

ZUZANNA RADZIK

BIBLIA | Ponad wiek temu sufrażystki wzięły się za komentowanie Pisma Świętego. Efekt był zaskakujący i uwalniający.

Projekt był rewolucyjny. Każda z kobiet uczestniczących w komitecie rewizyjnym kupiła egzemplarz Biblii. Miała w nim zaznaczyć i wyciąć wszystkie fragmenty, które mówią o kobietach albo ostentacyjnie o nich nie wspominają, i przykleić do zeszytu, dopisując swoje komentarze. Oprócz biblistek i specjalistek od starożytnych języków, w pracę zaangażowane zostały kobiety o „powadze i liberalnych poglądach, które szybko dostrzegą prawdziwy sens Biblii w odniesieniu do ich płci". Tak latem 1895 r. powstała „Biblia kobiety". Znana jako pierwsza podejrzliwa, krytyczna i kobieca lektura Biblii.

Jeśli przyjrzeć się dokładniej, jest to projekt jednej osoby, która się na niego uparła, zredagowała dwutomowe krytyczne wydanie oraz była autorką większości komentarzy. A co więcej, zapłaciła za to sporą cenę. Mowa o Elisabeth Cady Stanton, uważanej za matkę ruchu kobiecego w Stanach Zjednoczonych. To ona zorganizowała pierwszą konwencję dotyczącą praw kobiet w Seneca Falls, ona pisała manifesty ruchu i tworzyła go przez pół wieku. Choć sufrażystek było wiele, to Stanton została wykreowana przez następne pokolenia na matkę założycielkę. Biała, zamożna, wykształcona i liberalna – pasowała drugiej fali feministek do założycielskiego mitu.

Kontrowersje

W autobiografii Stanton zanotowała: „Od dawna słyszałam wiele niezgodnych ze sobą opinii na temat Biblii. Niektóre mówiły, że głosi ona emancypację kobiet, a inne, że jej poddaństwo. Przyszło mi na myśl, że dobrze będzie zgromadzić odniesienia Biblii do kobiet w jednym poręcznym tomie i zobaczyć, który wpływ Biblii przeważa". Kontrowersje, jakie wzbudziła jej praca, tylko ją cieszyły. Książka budziła zainteresowanie, w pół roku miała siedem dodruków i zaczęto ją tłumaczyć na inne języki. Ale już rok później na swojej konwencji National American Women Suffrage Association odcięło się specjalną rezolucją od „Biblii kobiety" ze względu na strach o utratę poparcia konserwatystek. Stanton była religijną liberałką, ale gdy zainicjowała krytyczną lekturę Biblii, ruch sufrażystek właśnie zaczął zmierzać w kierunku konserwatywnym. Książka stawała się problematyczna, nie tylko zresztą dla niego: w 1922 r., dwadzieścia lat po śmierci Elisabeth, jej dzieci usunęły odniesienia do tej książki w nowym wydaniu matczynej autobiografii.

„Biblia kobiety" przestała być drukowana i na wiele dekad o niej zapomniano, aż wyciągnęły ją spod ziemi feministki w latach 70. W 1974 r. ukazał się reprint książki i choć było to amatorskie dzieło, nowe feministyczne biblistki okrzyknęły Stanton pionierką w krytycznej lekturze Biblii.

Radykalne, religijne i czarnoskóre

Dziś historyczki ruchu kobiecego zauważają, że Stanton nie była pierwszą krytyczną czytelniczką Biblii. W różnych okresach historii kobiety piśmienne brały się za krytyczną lekturę Pisma, co potwierdzi zarówno dr Julia Lewandowska, badająca piśmiennictwo religijne kobiet (zwłaszcza zakonnych) w nowożytnej Iberii, jak Elisabeth Schüssler Fiorenza, teolożka i biblistka feministyczna drugiej fali. Fiorenza zauważa, że w samym XIX wieku było dużo autorek podejmujących się krytycznej rozmowy z Biblią. Ale nie nadawały się do tworzonego ↦

↦ mitu, bo były bardziej radykalne lub bardziej religijne. Albo czarnoskóre.

„Biblia kobiety" wydana przez Stanton nie jest pracą wybitnych biblistek, choć niektóre komentarze zaskakują świadomością z zakresu archeologii czy wiedzy o różnych redakcjach tekstów. Biblistyka była wtedy dość nową dziedziną nauki. We wstępie Stanton zaznacza, że niektóre naukowczynie nie zdecydowały się na współpracę, bojąc się, że ich naukowa reputacja i osiągnięcia mogą ucierpieć na udziale w tym przedsięwzięciu. Te mocniej religijne bały się też afiliacji z liberałkami, które nie uważają Biblii za słowo Boże i skłonne są ją oceniać jak inne teksty. Dlatego od wielu grup ekspertek komitet redagujący nie dostał wsparcia. Z 25 nazwisk wymienionych w pierwszym tomie komentarze napisało, oprócz samej Stanton, tylko 7 kobiet.

Odpowiedź na krytykę

Odpowiadając na reakcje, z którymi spotkało się to przedsięwzięcie, Stanton się nie certoli. Ktoś zauważa, czy to nie śmieszne, by kobiety dokonywały rewizji Biblii. Emancypantka odparowuje: ciekawe, czy zadałby to samo pytanie męskim komitetom dokonującym rewizji Biblii. I rozkręca się na dobre, dopytując, co jest śmiesznego w kobietach kwestionujących swój status w Kościele, skoro kwestionują swój status w państwie. Czemu śmiesznym miałoby być krytykowanie kleru za wypowiedzi na temat kobiet, skoro krytykują też członków Kongresu i senatorów?

„Czterdzieści lat temu dla nieśmiałych, skorumpowanych i wycofanych ludzi żądanie kobiet, które domagają się wersji oczyszczonej praw, wydawało się równie śmieszne, jak dzisiaj żądanie dopuszczenia wersji oczyszczonej liturgii i Pisma Świętego" – pisała Stanton po półwiecznej już walce o równość kobiet. „Przyjdź, przyjdź mój konserwatywny przyjacielu, zetrzyj rosę ze swoich okularów i zobacz, że świat się zmienia".

Dla równowagi odpowiada też krytykom, którzy twierdzą, że niepotrzebnie zajmują się taką ramotą jak Biblia. „Tak długo, jak dziesiątki tysięcy kopii są co roku drukowane i rozpowszechniane na całym zamieszkałym globie, a masy w anglojęzycznych krajach czczą ją jako słowo Boże, próżnym jest umniejszać jej wpływ".

DAVID B EDMONSTON / INCAMERASTOCK / ALAMY / BE&W

Elizabeth Cady Stanton (siedzi) i Susan Brownell Anthony, 1890 r.

To książka podejrzliwa i buntownicza wobec religijnego tekstu, który nieraz był używany jako argument za podległością kobiet.

Uwalniający śmiech

Charakterystyczny dla „Biblii kobiety" jest brak jakichkolwiek oporów przy krytycznej lekturze sytuacji i biblijnych postaci. Dzisiejsza czytelniczka może się śmiać z gorliwości XIX-wiecznych działaczek, ale nie zaprzeczy, że w wielu miejscach tamte komentarze mają w sobie coś uwalniającego. W każdym razie ja je tak znajduję, czasem śmiejąc się głośno.

Wertuję „Biblię kobiety", by zobaczyć, jak poradziły sobie z postacią matriarchini Sary. „Podczas gdy ronimy łzę przy grobie Sary, nie możemy jej polecić jako przykład dla współczesnych młodych kobiet – pisze w 1895 r. Elisabeth Cady Stan-

ton – ponieważ brakuje jej kilku kluczowych zalet. Była niegodziwa, nieszczera i nieuprzejma wobec Hagar". Komentatorka zaznacza jednak, że współczesne ideały różnią się od tych z czasów Sary, a Sara żyła na miarę tego, jak była oświecona. Komentując 36. rozdział Księgi Rodzaju, który sprowadza się do długiej i szczegółowej listy potomków Ezawa, autorka odnosi się do uwag biblistów, którzy sugerują głębokie znaczenie symboliczne takiej genealogii. I zauważa: „Skoro Biblia jest dawana do rąk dzieci i niewykształconych mężczyzn i kobiet, by wskazywać im drogę do zbawienia, jej litery nie powinny mieć wątpliwego znaczenia".

Gdy mowa o grzechu Dawida z Batszebą, Stanton zauważa: „Biblia pokazuje tę lekcję: wielokrotnie degradacja kobiety degraduje również mężczyznę". O wdowie z Ewangelii Łukasza, która domaga się odpuszczenia długu, pisze, że jest obrazem nędzy kobiet we wszystkich religiach i rządach świata. Inna komentatorka, Ellen Battelle Dietrick, dodaje z kolei, że pierwszy Kościół wiele zawdzięczał posłudze wdów i dziewic, choć oczywiście mężczyźni chętnie o tym zapominają. Wymienia tu Teklę, Paulę, Eustochium, Marcelę, Melanię, Zuzannę. Podkreśla przy tym, że największym osiągnięciem Pauli była współpraca z Hieronimem, jako że była doskonałą znawczynią hebrajskiego. Dietrick zauważa, że Paula nie jest wymieniana jako współautorka Wulgaty, choć bez niej to tłumaczenie Biblii na łacinę by nie powstało.

Dokument z pola walki

„Biblia kobiety" to książka podejrzliwa, buntownicza wobec religijnego tekstu, który nieraz był używany jako argument za podległością kobiet. Właściwie wydaje się, że Stanton i jej ekipa znajdują odpowiedź na pytanie, co przeważa w Biblii – godność kobiety czy subordynacja – i obchodzą się z tekstem bezlitośnie. W tym braku kompromisów jest coś ożywczego, wobec naszej dzisiejszej ostrożności, naukowości i elegancji argumentów.

Trochę jest to dokument z pola walki, a trochę zachęta do własnej odwagi w stawianiu biblijnemu tekstowi kobiecych, podejrzliwych, feministycznych pytań. © ZUZANNA RADZIK

Wychodząc z Rzymu

WOJCIECH ZALEWSKI

ESEJ | Prawdziwy katolicyzm jest prosty i bezprzymiotnikowy. Ani grecki, ani rzymski, ani polski. Chrystus to uniwersalność, a Kościół – żywa wspólnota.

Minęło już pięć miesięcy, a wciąż wracam do tamtej sceny. Nad Wiecznym Miastem świeciło już mocne, kwietniowe słońce. Skromny, biały samochód przejeżdżał ulicami, wśród cichych oklasków zgromadzonych na trasie. Obraz ostatniej drogi Franciszka – z placu św. Piotra do bazyliki Santa Maria Maggiore, gdzie został pochowany – przywołuje w moich wspomnieniach zakończenie filmu „Wielkie piękno". Oto okiem kamery śledzimy powolny ruch po Tybrze, zapewne z samego rana, tuż po świcie, gdy miasto budzi się ze snu. Wyświetlane są już napisy końcowe. Słychać medytacyjny, nieśpieszny, rozkwitający od instrumentów smyczkowych utwór. W ostatnich sekundach rozbrzmiewają kościelne dzwony i ekran spowija ciemność. Widzowie wychodzą z kina, jakby wychodzili z miasta. Symboliczne wyjście z Rzymu – to scena, która łączy symbolicznie film Paola Sorrentino z papieskim konduktem żałobnym.

Ostatni papież

Ale co konkretnie miałby symbolizować opuszczający Watykan „ostatni papież" w swej ostatniej podróży? Dla mnie – uniwersalizm opuszczający ograniczenia partykularności. Katolicyzm rozrywający ramy instytucjonalności. Spontaniczność sumienia neutralizującą rygoryzm prawa i obyczajów.

Mówiąc o „ostatnim papieżu", filozoficzno-literackiej figurze zapożyczonej od Fryderyka Nietzschego, nie należy jednak wyciągać pochopnych wniosków. Rzecz bynajmniej nie w tym, aby w jakikolwiek sposób dosłownie opuszczać instytucję rzymskiego Kościoła czy też szukać sobie jako rzekomo lepszej jakiejś innej od niego organizacji kościelnej czy religijnej.

Rzecz w tym, że instytucjonalność Kościoła powinna nam zobojętnieć, tak jak obojętnieje nam choćby prawda z dziedziny ludzkiej fizjologii – że żywe ciało zbudowane jest na bazie szkieletu, o którym na co dzień niewiele musimy myśleć. Owszem, pozostaje on koniecznym rusztowaniem, z czego jednak nie wynika, że do niego sprowadza się nasze życie. Co więcej – ożywianie szkieletu jest wytworem perwersyjnej fantazji i finalizuje się w koncepcjach rodem z horroru. Ożywiony szkielet – kościotrup jednym słowem – to nie żywy człowiek, a jego zaprzeczenie.

Kościół, zgodnie z najstarszą metaforyką, jest ciałem, nie szkieletem. Tak więc jego „instytucja" nie jest Kościołem w sensie właściwym. Franciszek co rusz przypominał nam tę oczywistą, a jednak w praktyce zapomnianą prawdę. Mówił nam o tym jego paradoksalny styl, wydobywający na światło wszystkie napięcia pomiędzy polityczno-religijno-instytucjonalnym a duszpasterskim rozumieniem papiestwa. Tym samym przyzwalająco sprawił, że papiestwo straciło swoją rację bytu w dotychczasowym, „turbopapieskim" wydaniu. Dlatego, porzucając wtórne, kulturowo-obyczajowe naleciałości, raz jeszcze trzeba wrócić do tego, co istotne i „pozarzymskie".

Kościół czy Eklezja

Istota sprawy została dobrze wyrażona w posoborowych wydaniach Katechizmu Kościoła Katolickiego. Mowa tam m.in. o mistycznej tożsamości Chrystusa z każdym człowiekiem. W podrozdziale zatytułowanym „Kto należy do Kościoła powszechnego" znajdujemy cytat z soborowej konstytucji „Lumen gentium", że Chrystusowy uniwersalizm, w taki czy inny sposób, poprzez wiarę albo i bez jej udziału, mieści w swoim nieskończonym ↦

obrębie każdą osobę. Nie ograniczając się do ram organizacji, wyznaczanych przez „świadomość instytucjonalną", otwiera się na każdego człowieka.

To, co naprawdę stanowi Kościół, jest niemożliwe do ogarnięcia przez jakąkolwiek, nawet najlepszą organizację. Powinniśmy więc zdemitologizować, w pewnym sensie „rozgrzeszyć", wszelkie instytucje religijne i nie oczekiwać od nich tego, czego – jako na wskroś ludzkie – nie mogą nam dać. Nie w nich mamy szukać nadziei. Trzeba – za Franciszkiem – „wyjść z Rzymu" i wszystkiego, co on symbolizuje: legalizmu, definityzmu i „imperializmu", wyrażającego się w uprzywilejowywaniu jakichkolwiek stanowisk czy urzędów.

Marek Kita w tekście „Sąsiedzki Kościół powszechny" (kwartalnik „Więź") słusznie upomina się o językową precyzję, zastępując polskie słowo „Kościół" bardziej adekwatnym i – na naszym gruncie językowym – „zdeinstytucjonalizowanym" terminem „Eklezja". To greckie słowo, pojawiające się w Nowym Testamencie, oznacza „zgromadzenie", „wspólnotę zwołanych".

Można ją zawiązać na najbardziej elementarnym poziomie – w zwyczajnych, spontanicznych, pełnych życzliwości ludzkich relacjach, od przypadkowego sąsiedztwa poczynając, na najbliższej przyjaźni kończąc. W takiej perspektywie, relatywizującej kościelną instytucjonalność, papiestwo przestaje być traktowane jako wyróżniony *locus*. Piotrem-Skałą może się stać każda i każdy z nas, o ile damy się zawładnąć od-wewnętrznemu, miłosnemu nurtowi, tożsamemu w swej szczytowej formie z wiarą i nadzieją.

Ambroży z Mediolanu, doktor Kościoła, pisał: „Szukajcie skały nie na zewnątrz, lecz w was. Wasza skała to wasze działanie, wasz umysł [...], to wiara, a wiara jest fundamentem Kościoła. Jeżeli będziecie skałą, to będziecie w Kościele, ponieważ Kościół opiera się na skale".

Wymóg herezji

W opublikowanej przez „Tygodnik Powszechny" rozmowie Artura Sporniaka z Tomaszem Stawiszyńskim i Tomaszem Terlikowskim („Kościół pod turbopapieżem", „TP" nr 32/2025) ten ostatni, odwołując się do Franciszka, słusznie stwierdza, że przemiana Kościoła, jeśli ma być prawdziwa, musi być „inicjatywą oddolną", a nie „korektą instytucjonalną", dokonywaną przez takie czy inne klerykalne struktury. Nadzieję pokładać można tylko w niezastąpionej mocy indywidualnego sumienia – myślenia i poszukiwania.

Jezusowi z Nazaretu, Chrystusowi, na niczym nie zależy tak bardzo jak na powszechności Królestwa Niebieskiego, które jest w każdym człowieku. Wiemy to z podań ewangelicznych. Jeśli więc, jako „podmioty sumienia", zaufamy w najwyższym stopniu tej deklaracji, możemy nabrać odwagi prowadzącej wręcz na granice utożsamienia z Chrystusem.

Taką odwagę miał niewątpliwie Apostoł Paweł, gdy twierdził, że już nie on żyje, lecz Chrystus w nim (Ga 2, 20). Sam Jezus też szedł własną drogą, dokonując aktu zerwania, indywidualnego wyboru dystansującego Go od ludzi, ale zbliżającego do Ojca. A gdy mówił, że On i Ojciec są jednym, to w oczach ówczesnych religijno-politycznych autorytetów bluźnił.

Tak, Jezus był heretykiem w etymologicznym sensie tego słowa; dokonał osobistego, indywidualnego wyboru (po grecku *hairesis*). Ten wybór zbliżał Go do Ojca, a w Nim, jak można mieć nadzieję, także do konkretnego, każdorazowo „imiennego", indywidualnego, wyrwanego z anonimowego tłumu człowieka. Bo tylko poprzez niepowtarzalną ojcowsko-synowską relację można spotkać jednego, dwóch, trzech, a może i więcej ludzi, którym się bezgranicznie zaufa, tworząc zręby Królestwa Niebieskiego. Dla Jezusa byli to Jan, Maria Magdalena, Jego Matka. Ktoś jeszcze? Każdy „kto pełni wolę Ojca mojego, który jest w niebie, ten mi jest bratem, siostrą i matką" (Mt 12, 50).

Nie ma innej drogi „utożsamiającej" człowieka z Chrystusem, jak tylko poprzez głębokie, nieprzerwane medytowanie nad źródłową i fundamentalną relacją bliskości, którą jest ojcostwo/macierzyństwo. Medytowanie, czyli angażujące cały praktyczno-teoretyczny, egzystencjalny wy-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

siłek człowieka zanurzanie się „bez trzymanki” w tym, co stanowi o najwłaściwszych, „od-wewnętrznych” – niebiologicznych, niefizycznych narodzinach, jak pisał Tomasz Drewniak w „Figurach ojcostwa”.

Medytacja – modlitwa, myślenie, szukanie i znajdowanie – to nieustannie wracanie do własnej „izdebki” (Mt 6, 6), własnego wnętrza. Augustyn z Hippony nie mówił nic innego, jak to tylko, by szukając sensu, nie uciekać od własnego wnętrza, a przeciwnie, zanurzyć się w nim, bo w nim mieszka pełnia Prawdy.

Droga mistyki

„Wyjście z Rzymu” nie jest łatwe. To droga wąska i trudna, bo osobista, nieporównywalna do żadnej innej (Mt 7, 13-14). A jednocześnie ten, kto stara się nią kroczyć, nie chce z niej schodzić, gdyż to, co najtrudniejsze – jeśli jest przeżywane przez uważną, zaangażowaną i pełną współczucia świadomość – wyzwala (Mt 11, 28-30). Być (z) Chrystusem znaczy być wolnym. Także od śmierci i jej bezwzględnych roszczeń.

Chrześcijaństwo jest niczym innym jak indywidualną drogą do stania się „jednym” z Chrystusem. W tym wyraża się mesjański uniwersalizm niesiony światu przez Jezusa z Nazaretu. Stać się (jednym z) Chrystusem to – w dosłownym sensie – nie mieć końca, lecz w nieskończoność stawać się dzieckiem (Mt 18, 3). Dopiero wtedy można, paradoksalnie, stać się kimś dojrzałym. Dopiero wtedy potrafimy dokonać śmiałego, wzorowanego na geście Jezusa aktu herezji. Nie w negatywnym, buntowniczym znaczeniu instytucjonalno-doktrynalnym, ale – tak to ujmijmy – w sensie mistycznym. Wtedy, jak Walentin Weigel, będziemy dostrzegać Królestwo Niebieskie (Kościół-Eklezję) tam, gdzie odnosimy się bezpośrednio do Chrystusa, czyli wszędzie, jak pisał Jan Tomkowski w „Mistyce i herezji”.

Jaka jest aleternatywa? To kolektywizm, wyrażający się w bezmyślnym podążaniu za (wyłącznie) zewnętrzno-instytucjonalnymi autorytetami. Droga wygodna, ale niegodna człowieka.

Absolutny uniwersalizm

Religia rozumiana jako polityczne wywyższenie sakralnych instytucji, jako „wiązanie” ludzi (łac. *religio*) przymusem nakazów i zakazów, jako ich deindywidualizacja, zespalająca w anonimową, masową kategorię „ludu”, nie ma nic wspólnego z Królestwem Niebieskim – miejscem „w którym jest mieszkań wiele” (J 14, 2). Królestwo Niebieskie jest „obszarem”, w którym nikt nie pełni roli sługi ani pana, lecz wszyscy zwracamy się do siebie w geście autentycznej przyjaźni (J 15, 15).

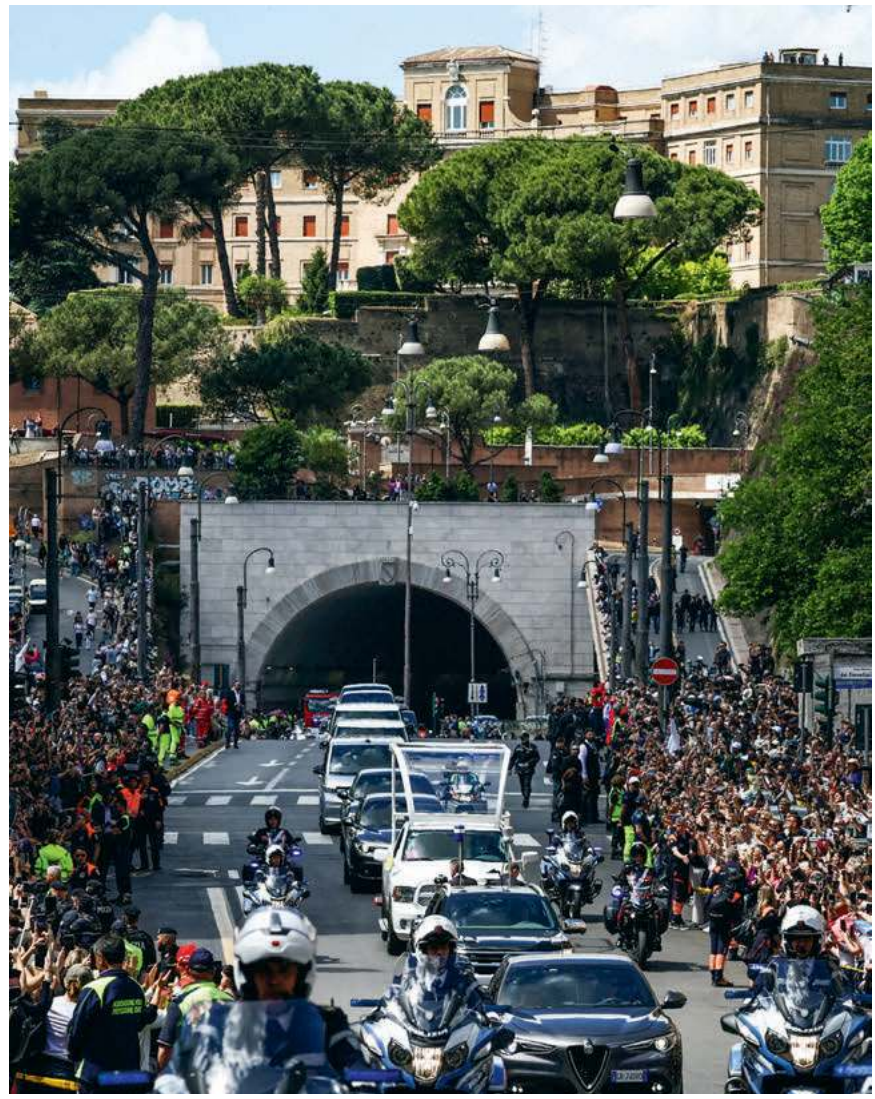

HENRY NICHOLLS / AFP / EAST NEWS

Ostatnia droga papieża Franciszka – z Placu św. Piotra do Bazyliki Santa Maria Maggiore. Rzym, 26 kwietnia 2025 r.

Wychodzimy zatem z Rzymu, ale po to tylko, aby do niego wrócić. Chodzi o tę paradoksalną, Chrystusową utratę, która jest zyskiem (Mt 10, 39): dystansu, wolności, życia „jakby nie” (1 Kor 7, 29-31). Wolności, bez której nic się nie liczy. Która jest powietrzem, warunkiem oddychania, to znaczy: wewnętrznego życia duchowego. Tylko z głębi takiego doświadczenia zrozumiemy słowa Pawła, że nie ma już Greka ani Żyda (Kol 3, 11).

Na tym polega powszechność Chrystusowego przesłania. Bo przecież tylko kiedy jesteśmy wolni – od stereotypów, uprzedzeń, nienawiści czy obojętności – rozumiemy pełny sens słów o rzeczywistej anulacji wartościujących różnic pomiędzy ludźmi. Idąc za Pawłowymi intuicjami, w myśl owego „jakby nie”, musimy stwierdzić: nie ma już wierzących ani niewierzących, lepszych ani gorszych, panów ani niewolników. Nie ma też – odnosząc się do ram *stricte* religijnych – duchownych ani świeckich, kapłanów ani profanów. Nie ma Rzymu, Jerozolimy czy Aten jako miejsc uprzywilejowanych, „lepszych”, ważniejszych.

Prawdziwy katolicyzm jest prosty i bezprzymiotnikowy. Ani grecki, ani rzymski, ani współczesnonarodowy – amerykański, polski czy niemiecki. Żaden inny, tylko Chrystusowy. Bo Chrystus i uniwersalność – wszechświatowość, kosmopolityczność – a więc katolickość to synonimy.

© WOJCIECH ZALEWSKI

ZUZANNA

Radzik:
Biblijna migrantka

Obca kobieta migrantka, wżeniona w izraelską rodzinę Moabitka, ma całą biblijną księgę nazwaną swoim imieniem! Może i niedługą, tylko cztery rozdziały, ale jednak stanowiącą wyraźny sygnał, że w kwestii obcych i migrantów Biblia zajmuje niepopularne stanowisko.

Wróćmy jednak do Rut. Znacie tę historię? Jest tak ładna, że załapuje się nawet do bardzo okrojonych Biblii dla dzieci. Noemi z mężem i ich dwaj synowie migrują z Betlejem do Moabu w czasie głodu. Nie jest to daleka wyprawa, trzeba jedynie przekroczyć dolinę Jordanu, bo biblijny Moab znajduje się na terenie dzisiejszej Jordanii. Tam mieszkają dziesięć lat. Noemi wdowieje, umierają też jej synowie, zatem wdowieją również jej synowe. Trzy kobiety zmierzają z powrotem do Betlejem, ale Noemi przekonuje synowe, by zostały w swoim kraju, bo nie ma im nic do zaoferowania. Będą zdane na łaskę ludzi, jako wdowy i jako obce. Po naleganiach Orpa odchodzi, ale Rut zostaje, mówiąc słynne słowa: „gdzie ty pójdziesz, tam ja pójdę, gdzie ty zamieszkasz, tam ja zamieszkam, twój naród będzie moim narodem, a twój Bóg będzie moim Bogiem".

Ich historia toczy się dalej szczęśliwie, choć nie musiała. Wdowa, sierota i cudzoziemiec są wielokrotnie wspominani w Pięcioksięgu, gdy mowa o prawach użytkowania ziemi, nawet zanim Izraelici ją obejmą. Niczym konstytucja, ich prawo zabezpiecza tych najsłabszych, będących bez opieki i przydziału w społeczeństwie. Niemniej wdowy były skazane na łaskę i niełaskę, przestrzeganie prawa bądź nie. Tak jak skazani na łaskę i niełaskę są cudzoziemcy w nieswoim kraju. Młoda wciąż Rut dobrowolnie zgodziła się być cudzoziemską wdową. Najgorzej.

W uznaniu poświęcenia Rut dla teściowej ich krewny Booz najpierw pozwala jej zbierać kłosy na swoim polu, a nawet przyłączyć się do żniwiarek. Potem decyduje się na wykup pola po krewnych wraz z ożenkiem z wdową po kuzynie. Puenta historii jest taka, że dzięki ryzyku, jakie wzięła na siebie Rut, obie kobiety znajdują rodzinę i opiekę, a ród Noemi zyskuje kontynuację w synu Rut i Booza. Synu, który stał się przodkiem króla Dawida.

Badacze Biblii mają teorię, że tak jasne opowiedzenie się za włączaniem cudzoziemskich żon w rodziny Izraelitów stanowi otwartą polemikę z restrykcyjną polityką Ezdrasza i Nehemiasza. Po powrocie z wygnania obaj prorocy, w trosce o czystość kultu, nakazywali oddalanie cudzoziemskich żon. Kto jest swój, a kto obcy oraz kto zagraża czystości narodu, to wyraźnie problem stary jak świat. A co najmniej jak Biblia. Biblia jednak temat rozstrzyga tak, że z tej obcej robi przodkinię Dawida i Jezusa.

Tymczasem aktualnie za oceanem Siostry Miłosierdzia z Nowego Jorku zdecydowały się na polemikę z kard. Timothym Dolanem, arcybiskupem Nowego Jorku. Kardynał nazwał w Fox News zastrzelonego politycznego aktywistę Charliego Kirka „współczesnym św. Pawłem". Siostry odparły, że kard. Dolan może nie znać wypowiedzi Kirka pełnych rasistowskiej, homofobicznej, transfobicznej i antyimigranckiej retoryki, promowania broni palnej i chrześcijańskiego nacjonalizmu.

Zauważyły też, że tydzień wcześniej kardynał wraz z nimi świętował pięćdziesięciolecie kanonizacji ich założycielki, Elżbiety Ann Seton, która opowiadała się za bezwarunkową miłością do sąsiada, gościnnością, posługą i brakiem dyskryminacji kogokolwiek. W tym kontekście siostry dostrzegają różnicę nie do pogodzenia między postawą swojej świętej założycielki a tym, co głosił Kirk, i proszą przywódców Kościoła, by podkreślali postawy prawdziwie zgodne z Ewangelią. Same planują kontynuować gościnność wobec uchodźców, migrantów, bronić godności osób LGBTQ+, bo w tym widzą cechy świętości.

U nas zaś rośnie dyskurs nienawiści wobec obcych i wojennych uchodźców. Rośnie tak bardzo, że dwaj Afrykańczycy zostali w Częstochowie zaatakowani nożem jako rzekomi uchodźcy. Rośnie tak, że Ukraińcy są napadani w miejscach publicznych. Na episkopat nie liczę, ale rozmarzyłam się jednak, że może małe zgromadzenie szukających świętości kobiet, takich jak Siostry Miłosierdzia z Nowego Jorku, potrafiłoby i u nas wbrew wszystkim powiedzieć, gdzie jest Ewangelia i świętość, a gdzie ideologia i rasizm. W imię Rut Moabitki, obcej, migrantki, przodkini naszego Nauczyciela, wcielonego Boga. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

O. WACŁAW

Oszajca:
Korzystajmy z myślenia

Apostołowie są przerażeni wizją kar, jakie niechybnie spadną na gorszycieli deprawujących tych, którzy nie mogą się bronić. Są też do żywego dotknięci bezwzględnym obowiązkiem przebaczania tym, którzy postanowili „zmienić swoje postępowanie". Czując się bezsilnymi wobec tak wygórowanych wymagań, proszą Jezusa: „Wzmocnij naszą wiarę". Jezus jednak zdaje się nie słyszeć tej prośby, pomija ją milczeniem i zaczyna im opowiadać o morwie, która na ich rozkaz, jeśli tylko mają wiarę, samoczynnie przeflancuje się do morza, i o trudnej do wyobrażenia sytuacji, gdzie pan służy niewolnikowi. Nic dziwnego, że słuchający takich nauk poczuli się przerażeni, jeśli nie zgorszeni. Jezus bowiem wywracał do góry nogami cały ich świat. I jak widać – robi to nadal.

Jezus, postępując w taki sposób, przestrzega apostołów, a dzisiaj nas, żebyśmy nie szli na łatwiznę i nie oczekiwali od Niego, a tym samym od Boga, jakichś nadzwyczajnych, cudownych interwencji, czyli znaków, cudów. Pamiętamy przecież, że tylko: „Pokolenie złe i wiarołomne czeka na znak, ale znaku nie otrzyma poza znakiem proroka Jonasza". To się już stało i ten znak już zaistniał i trwa. Jest nim Kościół, ale też coraz wyraźniej widać, że nie tylko. Królestwo Boże, czyli „nową ziemię i niebo nowe", tworzą przecież wszyscy, którzy umiejąc odróżniać dobro od zła, czują się odpowiedzialni za dolę i niedolę całego stworzenia.

Jeśli tak się właśnie dzieje, wypada się tylko cieszyć, ale też wciąż mieć oczy i uszy otwarte. Z wielu zakątków świata wciąż słychać skargę-modlitwę: „Jak długo, Panie, będę Ciebie błagał, a Ty nie wysłuchujesz? Będę głośno wołał: krzywda mi się dzieje! – a Ty nie ratujesz? Dlaczego mam patrzeć na krzywdę, dlaczego muszę doznawać ucisku? Gdziekolwiek spojrzę – widzę gwałt i przemoc, muszę doświadczać zawiści i sporów. Także prawo stało się bezsilne, nikt się nie liczy ze sprawiedliwością. Uczciwego osacza bezbożny, wyroki sądu są niesprawiedliwe". Jeśli nie słyszymy tej prośby, a jest ona skierowana do nas, skoro jesteśmy znakiem obecności działania Boga, to czy możemy nazywać się Kościołem i królestwem Boga? Przecież: „Nie dał nam Bóg ducha bojaźni, lecz mocy i miłości, i trzeźwego myślenia". Czyżbyśmy w to nie wierzyli i z owego daru trzeźwego myślenia nie korzystali? ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Dekret Cyrusa

„Aby się spełniło słowo Pańskie z ust Jeremiasza, pobudził Pan ducha Cyrusa, króla perskiego (...) tak, iż obwieścił on (...): Wszystkie państwa ziemi dał mi Pan, Bóg niebios. I on mi rozkazał zbudować Mu dom w Jerozolimie, w Judzie. Jeśli jest między wami jeszcze ktoś z całego ludu Jego, to niech Bóg jego będzie z nim; a niech idzie do Jerozolimy w Judzie i niech zbuduje dom Pana, Boga Izraela (...). Współmieszkańcy wszystkich miejscowości, gdzie taki przebywa, mają go wesprzeć srebrem, złotem, sprzętem i bydłem" – takim tekstem Bóg mówił do nas w ostatnim tygodniu w liturgii mszalnej (por. Ezd 1, 1-6). Czy to nie cudowne, że Bóg mówi do nas przez pogańskiego króla? „Każda prawda – twierdził św. Tomasz z Akwinu – przez kogokolwiek powiedziana pochodzi od Ducha Świętego". Bóg mówi – nie tylko do Żydów w niewoli babilońskiej, ale do nas dzisiaj – słowami pogańskiego władcy. I mówi rzeczy niesłychanie ważne.

Pierwsza: Bóg mówi do Żydów (i do nas) dekretem Cyrusa, iż jeśli chcą odbudować swe państwo i społeczeństwo, muszą zacząć to dzieło od odbudowy świątyni. Potrzebują świątyni jako miejsca jedności i mądrości zbiorowej. Jako fundamentalnego punktu odniesienia. Odkrywania własnej tożsamości. I ostatecznego uzasadnienia trudu wzajemnych relacji. To nie jest tak, że poza świątynią nie znajdą odpowiedzi na najważniejsze ze swoich pytań. To jest tak, że znajdą ich za dużo! Lekcja druga ukryta jest w poleceniu powszechnego wsparcia Żydów podejmujących drogę powrotną z niewoli do wolności. Mają być obdarowani wszystkim, czego potrzebują na start w odnowionej rzeczywistości!

Czemu to ma służyć? Otóż król chce, aby Izraelici wracali do domu z sercami wypełnionymi wdzięcznością, a nie nienawiścią. Chce, aby zapamiętali nie tylko siedemdziesiąt lat niewoli, ale również ten moment „nowego wyjścia" przepełniony dobrem ze strony sąsiadów – wszystkich, których mieli prawo przez lata uważać za swoich wrogów. Cyrus wie, że Żydzi mogą fizycznie opuścić Mezopotamię, ale jeśli nie zostaną wyleczeni z nienawiści – duchowo dalej tam pozostaną. Takie jest podwójne Boże pouczenie, udzielone ustami pogańskiego władcy: chcecie odbudować państwo i społeczeństwo? Zgromadźcie się przy budowie świątyni! Ale jeśli ciągle tkwicie w nienawiści, nawet nie próbujcie jej budować! ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

MUZYKA RAF KORALOWYCH: REQUIEM CZY PRELUDIUM?

Około 50 proc. raf koralowych na świecie zanikło lub poważnie się zdegradowało w ciągu ostatnich 50 lat.

Naukowcy podejmują szerokie działania związane nie tylko z ochroną pozostałych ekosystemów koralowych, ale także odbudową tych obumierających. To wyzwanie łączące wiedzę i metody z wielu dziedzin, m.in. biologii, ekologii, biotechnologii, oceanografii, chemii, robotyki i inżynierii. Okazuje się, że bardzo pomocna jest bioakustyka. Na tegorocznym Festiwalu Przemiany w Centrum Nauki Kopernik można zobaczyć dwa projekty art&science, wspierające zasiedlanie restaurowanych raf przez nowe organizmy. Ich twórcą jest włoski artysta Marco Barotti, współpracujący z biologiem morskim Timothym A.C. Lamontem.

BIAŁE, KWAŚNE RAFY

Według raportu Global Coral Reef Monitoring Network (z 2020 r.) w latach 2009-2018 świat stracił około 14 proc. koralowców. Choć rafy koralowe zajmują mniej niż 1 proc. dna oceanów, są domem dla ok. 25 proc. wszystkich gatunków morskich. Naukowcy szacują, że do końca XXI wieku może przetrwać tylko 10-30 proc. obecnych raf, jeśli ocieplenie klimatu i presja człowieka będą się utrzymywać.

Większość koralowców rafotwórczych żyje w symbiozie z mikroskopijnymi glonami (*Zooxanthellae*). Dostarczają im one energii z fotosyntezy i nadają kolor – brązowy, złotawy, zielony, oliwkowy (choć niektóre koralowce produkują też własne pigmenty). Gdy woda staje się zbyt ciepła, zbyt kwaśna, zanieczyszczona lub gdy dociera za mało światła, symbioza ulega zaburzeniu, glony zostają „odłączone", a przez przezroczyste tkanki koralowca widać biały wapienny szkielet. To zjawisko, nazywane wybielaniem raf, stanowi największe zagrożenie dla ich ekosystemu. Co prawda, wybielony koralowiec nie jest od razu martwy – może przeżyć tygodnie lub nawet miesiące. Jeśli jednak warunki (a z nimi – glony) nie wrócą do normy – głoduje i umiera. Oceany pochłaniają z atmosfery ok. 1/3 dwutlenku węgla emitowanego przez człowieka. Rozpuszcza się on w wodzie, obniżając jej pH, co utrudnia koralowcom budowanie szkieletów wapiennych. Nawet jeśli koralowiec przetrwa wybielanie, zakwaszenie sprawia, że odbudowa jego szkieletu jest wolniejsza, mniej skuteczna i spowalnia regenerację całej rafy.

Na degradację raf koralowych wpływ mają także bezpośrednie działania człowieka. Nadmierny i destrukcyjny odłów ryb roślinożernych prowadzi do rozrostu glonów, które „duszą" koralowce. Ścieki, nawozy, pestycydy spływające do morza powodują eutrofizację (nadmiar składników odżywczych), zakwit glonów i spadek przejrzystości wody. Osady ograniczają dostęp światła. Rafy są także mechanicznie uszkadzane przez kotwice, nurków, mikroplastik, budowy przybrzeżnych hoteli i portów.

Degradacja raf koralowych skutkuje nie tylko utratą różnorodności biologicznej, ale także pogorszeniem sytuacji społeczności lokalnych – dobrostan ok. 500 mln ludzi na świecie zależy od raf (czerpią z nich żywność, żyją z turystyki, rafy zmniejszają ryzyko sztormów i erozji).

PODWODNE SZKÓŁKI I ADOPCJA KORALOWCA

Odbudowa raf koralowych jest trudna i kosztowna, a jej skuteczność zależy od skalowania działań i równoczesnego powstrzymywania zmian klimatu.

Dobre wyniki przynosi tzw. ogrodnictwo koralowe (*coral gardening*). Koralowce są najpierw hodowane w „szkółkach" podwodnych lub na lądzie (np. w akwariach).

Gdy osiągną odpowiedni rozmiar, przenosi się je na uszkodzone rafy. Na Filipinach koralowce rosną na specjalnych konstrukcjach w kształcie drzewek, a opiekują się nimi miejscowi rybacy, którzy wcześniej przyczynili się do zniszczenia rafy korzystając z destrukcyjnych metod połowy (dynamit, cyjanek). Teraz pracują przy zakładaniu szkółek, hodowli i mocowaniu koralowców. Mówi się wręcz o *reef stewardship* – opiece nad rafą jako wspólnym dobrem, w której mieszkańcy stają się strażnikami, a nie tylko użytkownikami ekosystemu. Odbudowa raf jest szczególnie ważna na Malediwach. Bez nich wyspy byłyby całkowicie odsłonięte na sztormy i podnoszenie się oceanu. Wiele resortów turystycznych prowadzi własne szkółki podwodne. Goście hoteli często mogą „adoptować" fragment koralowca i śledzić jego wzrost. Można także transplantować zdrowe koralowce od razu z jednej rafy na drugą. Za pomocą cementu morskiego, żyłek lub klipsów przymocowuje się je do podłoża (skał, sztucznych struktur), co umożliwia szybkie przywrócenie pokrycia koralowego. Metoda ta wymaga jednak dużej liczby zdrowych „odłamków" koralowych i najlepiej sprawdza się w mniejszej skali.

Jeśli dno jest uszkodzone, spłaszczone, koralowce nie mają się do czego przyczepić i rafa nie może się rozrastać. Tu z pomocą przychodzą sztuczne struktury (np. ramy stalowe, betonowe kule, konstrukcje drukowane 3D). Przy indonezyjskich wyspach Badi i Bontosua w 2011 r. rozpoczęto odbudowę rafy na nagim, niestabilnym podłożu. Ułożono tysiące ram gwiaździstych (tzw. *Reef Stars*), do których przymocowano małe fragmenty zdrowych koralowców. Już po kilku miesiącach ramy zaczęły być porastane także przez glony wapienne oraz organizmy osiadłe. Po 2-3 latach gwiazdy połączyły się w zwartą strukturę przypominającą naturalną rafę. Zauważono też szybki powrót ryb – gatunków, które wcześniej zniknęły z tego rejonu. Dziś w tym miejscu można znaleźć rozległe, aktywne rafy, które funkcjonują jako siedlisko dla wielu gatunków i wspierają lokalne rybołówstwo oraz turystykę nurkową.

Oprócz klasycznych metod (transplantacja, ogrodnictwo, sztuczne struktury) rozwija się cały zestaw nowych

MATERIAŁ PROMOCYJNY

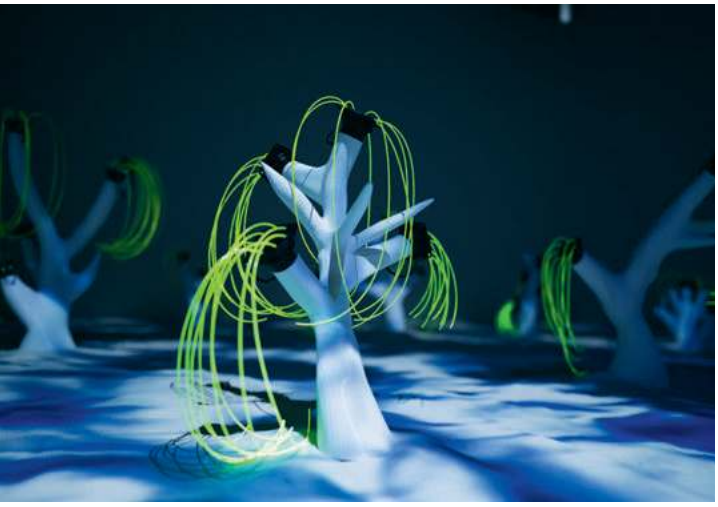

Marco Barotti, *Koralowce* – kinetyczna instalacja dźwiękowa reagująca na dane oceaniczne w czasie rzeczywistym. Instalacja odnosi się do palącego problemu zanikania raf koralowych. Składa się z przypominających koralowce rzeźb kinetycznych, opracowanych na podstawie skanów 3D dostarczonych przez naukowców z Earth Observatory of Singapore.

EMPATIA

DLA NAIWNYCH CZY ODWAŻNYCH?

FESTIWAL PRZEMIANY W CENTRUM NAUKI KOPERNIK

To trzydniowe, bezpłatne wydarzenie, w którego programie znalazły się: wystawa, stacje doświadczalne, spotkania z naukowcami i artystami, debaty, panele mistrzowskie, wybór filmów i doświadczeń VR-owych, koncerty i kawiarnia z festiwalowym menu oraz warsztatami.

Na festiwalowej wystawie będzie można usłyszeć nie tylko głos koralowców, ale także innych organizmów, których dobrostan jest kluczowy dla naszego wspólnego przetrwania – jeżowców, mrówek, szympansów, glonów, grzybów oraz roślin.

3-5 października 2025
Centrum Nauki Kopernik
www.kopernik.org.pl/festiwalprzemiany2025

i często jeszcze eksperymentalnych podejść. Mają one na celu zwiększenie odporności koralowców i przyspieszenie odbudowy ekosystemów w zmieniającym się klimacie. W laboratoriach i szkółkach identyfikuje się osobniki lepiej znoszące wysoką temperaturę, zakwaszenie czy niskie zasolenie. Następnie rozmnaża się je i „sadzi" na rafach, aby zwiększyć szanse całego ekosystemu na przetrwanie. W podobny sposób selekcjonuje się także glony *Symbiodiniaceae*, wybierając te bardziej odporne na stres. By zwiększyć różnorodność genetyczną, naukowcy korzystają z metody *in vitro*. Powstają także banki genów, a nawet globalne „biobanki rafowe", działające podobnie jak banki nasion.

Intensywne działania związane z ochroną raf przynoszą efekty. Nie można jednak zapominać, że konieczna jest ochrona całego ekosystemu, nie tylko samych koralowców: zakaz połowów destrukcyjnych, zmniejszenie zanieczyszczeń spływających z lądu czy odbudowa populacji ryb roślinożernych, które kontrolują glony.

O CZYM SZUMIĄ RAFY

Dobrze wiemy, jak wygląda rafa koralowa. Każdy może ją zobaczyć, włączając jeden z niezliczonej ilości filmów przyrodniczych. A jak brzmi rafa koralowa? Na to pytanie już trudniej odpowiedzieć. A jest to jeden z najgłośniejszych ekosystemów morskich – i to nie przez fale czy prądy, ale przez aktywność organizmów.

↦

↦ Najczęściej słyszane dźwięki na zdrowych rafach to trzaski i chrobotanie krewetek pistoletowych (*snapping shrimp*). Kiedy krewetki zamykają szczypce, powstają pęcherzyki kawitacyjne, „wybuchające" z głośnym trzaskiem. Ryby rafowe, np. graniki (*Epinephelus*), ryby papuzie, grabiki (*Pomacentridae*) również wydają odgłosy: pomruki, buczenie, stukanie. W ten sposób komunikują się ze sobą i bronią terytorium. Podczas żerowania ryb czy jeżowców słychać dźwięki mechaniczne – skrobanie i chrupanie rafy.

Odgłosy koralowców i bezkręgowców są bardzo subtelne. To mikrotrzaski związane z ruchami polipów i pękaniem pęcherzyków gazu, powstających podczas procesów biologicznych. Są one niesłyszalne dla ludzkiego ucha np. podczas nurkowania, ale specjalistyczne mikrofony podwodne są w stanie je zarejestrować.

Badania krajobrazu dźwiękowego raf koralowych pomagają ocenić ich kondycję (zdrowa rafa jest głośna i różnorodna), a także wspierają odbudowę zdegenerowanych miejsc. To obszar badań dr. Timothy'ego Lamonta – biologa morskiego, pracującego w Lancaster Environment Centre. Wykazał on, że nie wystarczy „odbudowa" koralowców – ważne jest też przywrócenie całej dynamiki życia rafy: ryb, skorupiaków, owadów morskich, jak również samego dźwiękowego krajobrazu rafy. Nagrane dźwięki zdrowej rafy odtwarzane w przestrzeni rafy regenerującej się niejako „przywołują" nowych mieszkańców i przyspieszają jej ponowne zasiedlenie. Lamont prowadził eksperymenty w Australii (Great Barrier Reef), Indonezji (Sulawesi), na Karaibach (Barbados, Bahamy). W przypadku wszystkich projektów ryby zaczęły szybciej kolonizować odtwarzane rafy i poprawiła się dynamika wzrostu różnorodności biologicznej.

W 2022 r. badania dr. Lamonta zainspirowały Marco Barottiego – włoskiego artystę, działającego głównie w Berlinie. Łączy on sztukę dźwięku, instalacje interaktywne i sztukę kinetyczną z tematami ekologicznymi i technologicznymi. Panowie poznali się i rozpoczęli współpracę. W ten sposób powstał artystyczno-ekologiczny eksperyment Coral Sonic Resilience. W grudniu 2024 r. w okolicach wyspy Feridhoo (Malediwy) zainstalowane zostały rzeźby z ceramiki i węglanu wapnia, wydrukowane w 3D. Podwodne głośniki, zasilane energią słoneczną (z boi pływających na powierzchni), emitują nagrania zdrowych raf koralowych. Instalacja obejmuje zarówno rzeźby z dźwiękiem, jak i rzeźby kontrolne (bez niego). Nurkowie regularnie dokumentują różnice w liczbie ryb, kolonizacji korali i innych form życia. Pierwsze obserwacje pokazały, że w przestrzeniach z dźwiękiem szybciej pojawiają się ryby, a struktury zaczynają być porastane osadami biologicznymi, co sprzyja osiedlaniu się koralowców. Projekt jest wciąż na etapie eksperymentalnym, a dane ilościowe będą zbierane przez najbliższe lata. Podczas Festiwalu Przemiany w Centrum Nauki Kopernik można będzie zobaczyć rewitalizowaną rafę na Malediwach, a także usłyszeć nagrane przez Marco Bonettiego i odtwarzane tam dźwięki. Artysta przywiezie do Warszawy także swoją nieco wcześniejszą instalację – Koralowce, również wykonaną we współpracy z dr. Lamontem, ale nie tylko. To stworzona w 2022 r. kinetyczna instalacja dźwiękowa inspirowana życiem koralowców, reagująca w czasie rzeczywistym na dane środowiskowe. Modele 3D koralowców powstały ze skanów rzeczywistych kolonii, przygotowanych przez Earth Observatory of Singapore. Dane (dotyczące zmian klimatu, zakwaszenia i temperatury wody, blaknięcia raf) dostarczają m.in. NOAA Coral Reef Watch, NASA, program Copernicus (ESA). Informacje są przetwarzane dzięki uczeniu maszynowemu, a obrazy i dźwięki zmieniają się. Instalacja pokazuje, jak koralowce „oddychają", rosną i jak reagują na zmiany w środowisku. ©

CENTRUM NAUKI KOPERNIK

MATERIAŁ PROMOCYJNY

FESTIWAL PRZEMIANY 3-5.10.2025

EMPATIA

DLA NAIWNYCH CZY ODWAŻNYCH?

WSTĘP WOLNY

Nike
Nagroda Literacka

Kto zdobędzie Nagrodę Literacką
„Nike" 2025?

UROCZYSTA GALA

niedziela
5 października, godz. 20.30

TVP 2 wyborcza.pl

Tegoroczni nominowani:
Beata Guczalska, Ignacy Karpowicz
Eliza Kącka, Kora Tea Kowalska
Dorota Masłowska, Tomasz Różycki
Paweł Sołtys

MECENASI STRATEGICZNI: ROBERT DOBRZYCKI foundation, PANATT 20 NI
MECENAS: ORLEN
PARTNER GŁÓWNY: TOTALIZATOR SPORTOWY, 7 LAT
WSPÓŁORGANIZATOR GALI: TVP

PATRONI MEDIALNI: ams, GAZETA.PL, radio ZET, chillizet, tokfm

REKLAMA

NAUKA

CI OBCY

Choć są bliżej spokrewnione ze zwierzętami niż roślinami, przez swój oryginalny styl życia grzyby wyglądają jak przybysze z kosmosu. Nowa mapa pokazująca ich globalne zróżnicowanie pomoże je lepiej zrozumieć i chronić.

MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

Od dawna mamy kontakt z obcą inteligencją, której złożoność jest trudna do zrozumienia. Jej dziełem jest najstarsza i największa sieć komunikacyjna. Pracuje na sygnałach elektrycznych i chemicznych, a jej użytkownicy to całe ekosystemy. Ale nie szukajmy jej w kosmosie. Prawdziwi „obcy" są tuż pod nogami. To grzyby – przede wszystkim mykoryzowe, czyli współżyjące z korzeniami roślin. Do ważnych grup mykoryzowych należy m.in. wiele podstawczaków (*Basidiomycota* – np. borowiki, muchomory) oraz pewne workowce (*Ascomycota* – np. trufle), a także mikroskopijne arbuskularne grzyby (*Glomeromycota*), które zręcznie łączą się z ogromną częścią roślin na świecie.

I to właśnie o nich, podziemnych „inżynierach ekosystemów", przeczytamy w przełomowym artykule opublikowanym pod koniec lipca w „Nature". Zespół naukowców, kierowany przez Michaela E. Van Nulanda z Uniwersytetu Stanforda, po raz pierwszy w historii stworzył szczegółową mapę globalnego zróżnicowania grzybów tworzących symbiozę z korzeniami roślin.

Ale żeby w pełni zrozumieć rewolucję, którą niosą ze sobą te mapy, musimy na chwilę porzucić kosmiczne analogie i dotknąć sedna sprawy. Czym w ogóle jest ten organizm, który oplata korzenie większości roślin na Ziemi i o którym wciąż wiemy tak niewiele?

Bez płci

Choć dla nas grzyb to przede wszystkim kapelusz z nóżką w koszyku, z perspektywy biologii dorodny maślak jest w istocie krótkotrwałym owocnikiem – swego rodzaju organem rozrodczym. Reszta ciała grzyba – czyli grzybnia, będąca siecią niciowatych komórek (strzępek), oplatających korzenie roślin – znajduje się zwykle pod ziemią.

Rozmnażanie się jest zjawiskiem bardzo zróżnicowanym, ale podstawowa w tym kontekście różnica między „nimi" (grzybami) a „nami" (roślinami i zwierzętami) jest taka, że grzyby nie posiadają płci w tradycyjnym sensie, tzn. nie produkują dwóch typów komórek rozrodczych (małych męskich oraz dużych żeńskich). Zamiast tego funkcjonują u nich rozmaite systemy „typów płciowych" (określanych też skrótem MAT), oparte na specyficznych zestawach genów w chromosomach („*locus* typu płciowego", „*locus* MAT").

U niektórych workowców spotykamy prostsze, bipolarnie działające układy MAT przypominające tradycyjną płeć (organizm produkuje komórki rozrodcze z jednym z dwóch możliwych zestawów genów MAT, a do powstania nowego organizmu po-

LOTHAR LENZ / ADOBE STOCK

trzebna jest komórka rozrodcza zawierająca odmienny zestaw genów MAT). Jednak u wielu podstawczaków występują bardziej złożone, tetrapolarne systemy – dwa niezależne regiony genomu (czasem zlokalizowane na różnych chromosomach) wspólnie decydujące o zgodności kojarzeniowej. W praktyce u gatunków takich jak rozszczepka pospolita (*Schizophyllum commune*), którą można znaleźć na pniach drzew, daje to teoretycznie dziesiątki tysięcy możliwych kombinacji typów płciowych.

Zatem podczas gdy u ludzi czy też – przykładowo – u królików płeć determinuje prosty system chromosomów XY, prowadząc zasadniczo do jednej decydującej różnicy (obecność lub brak chromosomu Y), to u grzybów złożony system genów MAT tworzy potencjalnie ogromną liczbę genetycznych „typów płciowych", w której o zgodności decyduje zróżnicowanie wariantów genów w wielu *loci* MAT. Dany grzyb może się połączyć z ogromną liczbą innych osobników, byle nie miały identycznych genów MAT.

Osobne królestwo

Ponadto grzyby wypracowały cały zestaw strategii rozrodczych: klasyczne kojarzenie komórek o różnych typach, formy jednopłciowe, mechanizmy pseudo- i paraseksualne (obejmujące łączenie się grzybni, a nie komórek rozrodczych) oraz rozmnażanie bezpłciowe (klonalne). Taka plastyczność reprodukcyjna łączy zalety rekombinacji genetycznej, czyli zwiększa genetyczne zróżnicowanie osobników (u nas gwarantowane przez płeć) z możliwością szybkiego rozprzestrzeniania się w ustabilizowanych warunkach. To jeden z powodów, dla których grzyby są tak ewolucyjnie skuteczne.

Zanim przejdziemy dalej, warto też dopowiedzieć, dlaczego grzyby zasłużyły na to, by systematycy biologiczni powołali dla nich ich własne królestwo (obok królestw zwierząt, roślin i protistów, gdy idzie o organizmy posiadające jądra komórkowe). Przez długi czas grzyby wrzucano ↦

Próchnilec gałęzisty (Xylaria hypoxylon), gatunek grzyba odżywiającego się martwymi tkankami roślinnymi.

↦ obok roślin do jednego worka organizmów niebędących zwierzętami, lecz między tymi dwiema grupami występują ogromne różnice. Grzyby nie mają chloroplastów i nie fotosyntetyzują – są cudzożywne; pokarm pozyskują, wydzielając enzymy do otoczenia i wchłaniając produkty trawienia, przez co pełnią w ekosystemie funkcję reducentów. Wreszcie – dane molekularne lokują je bliżej zwierząt niż roślin. To przez wspólnego przodka, który miał jedną, tylną wić – tak jak plemniki zwierząt i zarodniki niektórych grzybów. Dlatego jesteśmy bliżej spokrewnieni z borowikiem niż borowik z dębem, pod którym rośnie.

A to, jak klasyfikujemy organizmy – pisze Brian Lovett w artykule „Trzy powody, dla których grzyby nie są roślinami" na portalu American Society for Microbiology – wpływa na to, jak je rozumiemy, wspieramy (finansowo i kulturowo) oraz wchodzimy w relacje z nimi.

Leśny internet

Przełom w naszym rozumieniu grzybów nastąpił, gdy dostrzegliśmy skalę i złożoność podziemnej sieci, nazwanej żartobliwie Wood Wide Web (leśnym internetem). Ta grzybniowa pajęczyna oplata korzenie niemal wszystkich roślin lądowych, tworząc największy i najstarszy system komunikacyjny świata, w dodatku występujący między biologicznymi królestwami. Korzystają z niego np. drzewa, a badania sugerują, że za jego pośrednictwem są one w stanie przesyłać potencjały elektryczne wywołane np. zranieniem. Innymi słowy, dzielą się (być może „mimowolnie", jeśli u roślin można mówić o woli) informacjami o mechanicznym stresie, co może stanowić system wczesnego ostrzegania dla sąsiadujących osobników. Co istotne, grzyby nie są jedynie biernym medium. Badacze stawiają hipotezę, że mogą one „podsłuchiwać" sygnały i na nie reagować lub nawet je modyfikować. Modułowa budowa całego systemu przypomina zaś trochę sieci neuronowe.

Relacje mikoryzowe bywają niezwykle specyficzne. Niektóre grzyby, jak muchomor czerwony, tworzą obligatoryjne związki tylko z korzeniami określonych gatunków drzew, np. brzóz lub świerków. Inne, jak wiele grzybów arbuskularnych, są „generalistami" i wchodzą w symbiozę z wieloma roślinami jednocześnie, stając się swoistymi „hubami" w podziemnej sieci. Ta sieć służy nie tylko do komunikacji, ale i do redystrybucji zasobów – badania pokazują, że drzewa „matki" mogą przesyłać cukry swojemu potomstwu właśnie za pośrednictwem strzępek grzybni, a gatunki takie jak orchidee są wręcz całkowicie zależne od „kredytu" cukrowego od grzybów przez całe swoje życie. Komunikacja między partnerami odbywa się za pomocą chemicznego języka – *plantish* (roślinnego) i *fungish* (grzybowego) – obejmującego cząsteczki sygnałowe, takie jak strigolaktony wysyłane przez rośliny, które stymulują wzrost i rozgałęzianie się grzybni, oraz lipochitooligosacharydy wysyłane przez grzyby. To jak wysłanie przez roślinę zaproszenia na występ (w języku *plantish*) i otrzymanie potwierdzenia wraz z informacją (w języku *fungish*), co grzyb potrzebuje do tego występu.

Odwierty w grzybni

Jak się coś takiego mapuje? Dotychczasowe badania były niczym pojedyncze odwierty – precyzyjne, ale dające punktowy obraz. Teraz, dzięki globalnemu wysiłkowi, w tym udziałowi inicjatyw badawczych GlobalFungi, GlobalAMFungi i Global Soil Mycobiome consortium, udało się stworzyć pierwszą tak szczegółową mapę podziemnego imperium. I tu wracamy do artykułu z „Nature", od którego rozpoczęliśmy. Zespół Van Nulanda wykorzystał algorytmy uczenia maszynowego do przeanalizowania ogromnego zbioru danych: 25 tys. próbek gleby z całego świata, zawierających ponad 2,8 mld sekwencji DNA grzybów. To największa jak dotąd próba opisania i zrozumienia tego ukrytego wymiaru bioróżnorodności.

Najważniejsze było nie tylko zebranie danych, ale i sposób ich opracowania. Naukowcy musieli użyć nieco innych metod dla dwóch głównych typów grzybów, które różnią się sposobem tworzenia mikoryzowych połączeń. Dla bardziej powszechnych, starszych ewolucyjnie i genetycznie bardziej podobnych grzybów arbuskularnych (AM; te grzyby wnikają do wnętrza komórek korzeni roślin) zastosowali precyzyjne techniki, pozwalające rozróżnić nawet bardzo blisko spokrewnione gatunki. Dla niezwykle zróżnicowanych grzybów ektomikoryzowych (EcM; komórki tych grzybów oplatają korzenie roślin, ale do nich nie wnikają) – skupili się na grupowaniu ich w szersze kategorie, co lepiej oddaje skalę ich bogactwa. Ta różnica w metodach odzwierciedlała fundamentalną biologiczną odmienność obu grup.

Dzięki zaawansowanym statystycznie metodom udało się oszacować bogactwo gatunkowe nawet dla słabo poznanych regionów. Efekt? Pierwsze, wysokorozdzielcze mapy globalnego zróżnicowania mikoryz. Otrzymaliśmy niespotykanie szczegółowy obraz tego, co kryje się pod powierzchnią gleby na całej planecie.

Hotspoty różnorodności

Zajrzyjmy do tych map. Ta, na której przedstawiono mikoryzę arbuskularną (AM), prezentuje wyraźny gradient szerokości geograficznej, czyli klasyczny wzór spadku różnorodności biologicznej w miarę oddalania się od równika ku biegunom. Najwyższą różnorodność odnotowano w ekosystemach równikowych – wilgotnych lasach tropikalnych Amazonii, Basenu Konga oraz Azji Południowo-Wschodniej. Wysoką różnorodność odnotowano również w chińskich lasach szerokolistnych, porośniętych m.in. dębami, bukami, klonami i magnoliami, oraz na sawannach brazylijskiego ekoregionu Cerrado.

Odwrotny trend ukazują mapy dla grzybów ektomikoryzowych (EcM), a to zapewne zainteresuje grzybiarzy, bo mowa tu m.in. o kurkach i maślakach. Najbogatsze przyrodniczo ekosystemy znajdują się w północnych szerokościach geograficznych. Hotspotami różnorodności, tj. obszarami o wyjątkowo wysokim bogactwie gatunkowym, są rozległe borealne lasy iglaste Syberii i Kanady, a także górskie lasy strefy umiarkowanej na zachodzie USA oraz w Europie Środkowej. Na półkuli południowej centrami

REKLAMA

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA

W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

różnorodności EcM są Andy, południowe Chile, wschodnie wybrzeże Australii oraz Nowa Zelandia. Modele przewidują, że te północne i południowe ekosystemy lasów mieszanych i iglastych mogą mieścić średnio ponad 100 gatunków grzybów EcM na 100 m kw.

Dla grzybów AM najważniejszymi prognostykami bioróżnorodności były wyższe temperatury oraz antropogeniczna modyfikacja krajobrazu. Zaskakująco obszary o większym wpływie człowieka (użytki rolne, tereny zarządzane) przewidywały ich wyższe zróżnicowanie. Dla EcM kluczowym czynnikiem była biomasa roślinna nadziemna (odzwierciedlająca obecność lasów) oraz zasoby węgla organicznego w glebie.

Zatem mapy te dowodzą, że różnorodność roślin nie jest prostym wskaźnikiem różnorodności grzybów mikoryzowych. Gdy na równiku roślinność osiąga szczyt bioróżnorodności, grzyby EcM są tam ubogie, i *vice versa*. To fundamentalny wniosek dla globalnych polityk ochrony przyrody, które często opierają się wyłącznie na wskaźnikach nadziemnych, pomijając całkowicie ten ukryty, podziemny wymiar życia.

Podziemna ochrona

Wnioski płynące z opublikowanych w „Nature" map mają też wymiar bardzo praktyczny, a jednocześnie alarmujący. Okazuje się, że najbogatsze, najcenniejsze „podziemne metropolie" grzybów mikoryzowych są najbardziej narażone. Tylko 9,5 proc. hotspotów znajduje się na obszarach chronionych. Dla kluczowych dla większości roślin lądowych grzybów AM wskaźnik ten wynosi zaledwie 5,1 proc. Tworzymy więc system rezerwatów, który częściej chroni „elewację" ekosystemu – kapelusze i wizerunki gatunków – zamiast zabezpieczyć jego podziemny „szkielet" i sieci relacji.

Co więcej, modele ujawniły zaskakującą prawidłowość. Hotspoty podziemnej bioróżnorodności często nie pokrywają się z obszarami, które chronimy ze względu na występujące tam zagrożone gatunki roślin czy zwierząt. Nasze parki narodowe i rezerwaty koncentrują się na tym, co widać gołym okiem, tymczasem najbogatsze glebowe społeczności grzybów rozwijają się w ekosystemach, które często umykają uwadze ekostrażników. Dla porównania, bogactwo gatunkowe roślin naczyniowych jest chronione w 27 proc., a kręgowców w 33-41 proc.

Przełom w naszym rozumieniu grzybów nastąpił, gdy dostrzegliśmy skalę i złożoność podziemnej sieci, nazwanej żartobliwie Wood Wide Web – leśnym internetem.

TONY / ADOBE STOCK

Uzupełnieniem będzie mapa endemizmu, czyli „rzadkości gatunkowej". Pokazuje ona nie to, ile gatunków żyje w danym miejscu, a to, jak unikalne i nigdzie indziej niewystępujące są to gatunki. To właśnie one są najbardziej narażone na wyginięcie. I tu kolejna niespodzianka: centrami endemizmu grzybów AM są tropikalne lasy Konga i Amazonii (gdzie występuje także mnóstwo unikalnych gatunków zwierząt i roślin) grzyby EcM mają zaś swoje unikalne ostoje w odległej tundrze oraz w izolowanych, górskich lasach deszczowych Azji. To obszary o długiej stabilności klimatycznej, które działały jak ewolucyjne „arki", przechowując unikalne genetyczne dziedzictwo. Z map wynika również, że istniejące obszary ochronne są wytyczone nierównomiernie. W Azji, gdzie występują kluczowe hotspoty dla obu typów mikoryz, jeśli już wytyczono tereny objęte opieką prawną, rygor zachowania jest niewielki (np. funkcjonują tam jedynie parki krajobrazowe).

Mamy więc pierwszą w historii mapę drogową dla ochrony najstarszej sieci komunikacyjnej Ziemi. Dowodzi ona, że nie można opiekować się przyrodą i kierować się wyłącznie wskaźnikami dla świata widzialnego. Cele takie jak „30x30" (objęcie 30 proc. powierzchni Ziemi ochroną do 2030 r.) muszą uwzględniać także podziemną bioróżnorodność.

I jasny przekaz. Chcesz chronić las? Musisz chronić jego niewidzialny szkielet.

Barszcz z grzybami

Skontaktowaliśmy się z dr. Olehem Prylutskyjem – jednym ze współautorów omawianego artykułu z „Nature". Prylutskyj pracował w rezerwacie Askania Nowa – reliktowym fragmencie stepu nadczarnomorskiego, który od 2022 r. jest pod rosyjską okupacją. Dowody świadczą o niszczycielskich skutkach tej obecności, dlatego zapytaliśmy Prylutskyja o losy grzybów podczas wojny.

– Na razie nie dysponujemy wiarygodnymi, ustandaryzowanymi danymi o wpływie działań wojennych na grzyby glebowe – odpowiedział. Jego zespół przeprowadził jednak w 2023 r. kompleksowy, ustandaryzowany pobór próbek gleby z dostępnych terenów Ukrainy – w tym z dna osuszonego Zbiornika Kachowskiego – i z tych próbek wyizolowano DNA grzybów. Materiał został zsekwencjonowany; trwa analiza, a pierwsza publikacja jest w przygotowaniu. Jednak na podstawie dotychczasowych obserwacji badacze mogą stwierdzić, że najbardziej prawdopodobnymi zagrożeniami są chemiczne skażenia gleby produktami eksplozji oraz masowa utrata drzewostanu w dolinie Siewierskiego Donca, w obwodach charkowskim, donieckim i ługańskim. Te hipotezy będzie można zweryfikować dopiero po uzyskaniu bezpiecznego dostępu do terenów i powtórnym, kontrolowanym poborze próbek.

Ukraińskie powiedzenie brzmi: „Jedz barszcz z grzybami i trzymaj język za zębami" – dziś jednak powinniśmy postąpić odwrotnie. Jeśli chcemy mieć jutro co zbierać do koszyków, musimy już dziś głośno wołać o ochronę podziemnego życia.

© MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

HISTORIA

MIŁOŚĆ NA MAJORCE

187 lat temu para kochanków, Fryderyk Chopin i George Sand, uciekli z zimowego Paryża na Majorkę. Chcieli spędzić tam cudowne chwile. Podróż okazała się gotyckim horrorem.

ZOFIA JURCZAK

MUSÉE DE LA VIE ROMANTIQUE / CC0

George Sand, portret autorstwa Auguste'a Charpentiera, ok. 1838 r.

Nie przebierała w słowach. „Jeszcze miesiąc w Hiszpanii i pomarlibyśmy oboje, Chopin i ja, on z melancholii i wstrętu, ja z gniewu i oburzenia". W tym samym liście George Sand przysięga, że jeśli cokolwiek napisze o Majorce, „to tylko żółcią". Słowa dotrzyma.

Jednak na koniec to Majorka okaże się górą. Ale wszystko po kolei.

Akt I: Kochankowie

Poznają się na wieczorku towarzyskim u hrabiny Maria D'Agoult i Ferenca Liszta. Jest listopad 1836 r.

26-letni Fryderyk Chopin jeszcze nie dorównuje Lisztowi sławą, ale już ciągnie się za nim opinia wirtuoza fortepianu i więcej niż zdolnego kompozytora. Nosi się jak dandys, ma bujną czuprynę i kaszle „z nieskończonym wdziękiem". Trudno go nie zapamiętać.

Fryderyk zjawia się u Liszta, by zagrać na koncertowym fortepianie. Unika występów przed dużym audytorium, bo ma wtedy tremę. Co innego kameralne występy. Tego wieczoru wokół pianisty zbiera się śmietanka. Od Mickiewicza do Heinego, a między nimi 32-letnia Aurora Dupin, która – uwolniwszy się od rozpustnego męża-barona, który zdradza ją ze służbą – utrzymuje się z pisania powieści pod pseudonimem George Sand. Nie krzywduje.

Wątły jak szczapka Chopin wpada jej w oko. Pociąga fizycznie i wzbudza tkliwość (za dwa lata zwierzy się przyjaciółce, że dba o niego jak o własne dziecko, a on w zamian kocha ją jak matkę). Z kolei Fryderyk w liście pochwali się rodzicom tym spotkaniem. Ale dla wychowanego w prowincjonalnej Polsce Frycka starsza, popalająca fajkę i nosząca się po męsku Sand to zjawisko trudne do objęcia rozumem. Pisze im, że „twarz jej niesympatyczna", a nawet odpychająca.

Cóż z tego. Po kilkunastu miesiącach podchodów zostaną kochankami, a dwa lata po recitalu w salonie D'Agoult i Liszta popłyną na Majorkę, by uciec od paryskiej zimy. Ponurej i przeszywającej wilgotnym chłodem. Liczą, że podróż będzie ku słońcu i zdrowiu, co na dobre wyjdzie i Fryderykowi, i synowi George Sand – Maurice'owi. Solange, jej młodszej córce, też przyda się słońce. Matka

ARCHIVE / ALAMY / BE&W

Fryderyk Chopin, portret autorstwa Marii Wodzińskiej, ok. 1836 r.

liczy, że łagodny klimat uczyni ją mniej krnąbrną.

Jest jeszcze cel trzeci: para chce umknąć przed rozplotkowanym towarzystwem.

Akt II: Podróż na Majorkę

Ich podróż w 1838 r. wygląda tak: najpierw parostatkiem po Sekwanie, potem cztery dni i noce w dyliżansie przez Lyon i Nîmes do Perpignan, stamtąd jeszcze powozem do Port-Vendres nad Morzem Śródziemnym.

Tam wsiadają na statek, ale tylko do Barcelony, gdzie towarzystwo – w oczekiwaniu na parowiec „El Mallorquin" – spędza pięć dni. Kilkanaście ostatnich godzin na jego pokładzie to drobiazg (choć Chopin i Solange rzygają jak koty). W końcu 8 listopada przed południem lądują w Palmie, stolicy wyspy. Od wyjazdu z Paryża minęły trzy tygodnie.

Ale humory dopisują, bo na Majorce pogoda jak drut. „Było dla nas wielką przyjemnością, po pierwszych atakach zimy, móc zostawić przeciwnika w tyle" – notuje Sand. Teraz tylko znaleźć odpowiednią kwaterę i można zaczynać zimowanie.

Akt III: Słomiane krzesło

W 1838 r. turystyka na Majorce nie jest nawet w powijakach. Ona nie istnieje. Przybysze z Paryża są awangardą zjawiska, które 150 lat później diametralnie odmieni oblicze tej ziemi. Na dobre i złe (ostatnio raczej z przewagą tego drugiego).

Na razie okazuje się, że hiszpańscy wyspiarze nie bardzo wpisują się w przywiezione z Francji oczekiwania. I że ci, którzy reklamują Majorkę jako „gościnny i zasobny kraj", wpuścili ich w maliny. Albo żyli iluzją.

Na obcych patrzy się tu bowiem krzywo. Trudno rozsądzić, co bardziej niepokoi wyspiarzy: salwy kaszlu Chopina, George i Solange noszące spodnie czy absencja rodziny na niedzielnej mszy? A może chodzi o to, że po parysku noszą wysoko nosy? Prymat francuskiej kultury na Majorkę nie dotarł. Dla konserwatywnych miejscowych ta dziwna rodzina to nie powiew wielkiego świata, a szerzący zgorszenie poganie.

Szukają więc noclegu, ale to nie prosta sprawa. Kwatery w Palmie można policzyć na palcach. Nikt nie chce ich pod swoim dachem. Sand pisze z goryczą, że gościnność jest tu na pokaz, ogranicza się do słów, a w Palmie „trzeba być poleconym i zaanonsowanym dwudziestu jak najznamienitszym osobom i być oczekiwanym od wielu miesięcy, żeby mieć nadzieję na sypianie gdzie indziej niż na polu".

Znajdują w końcu dwa pokoiki w szemranej okolicy wyposażone w połówkę „z materacem miękkim i wypukłym jak dachówki" i słomiane krzesło. Zamiast szyb w oknach krata uwita z gałązek. Ktokolwiek zapragnąłby je oszklić, najpierw musi zamówić ramę u stolarza. Tak samo rzecz się ma z wstawianiem drzwi. George nie mieści się w głowie, że na jedno i drugie czeka się tu miesiącami, a kosztują niemało. Kto raz się ich dorobi, zabiera je później ze sobą przy przeprowadzce. Jak meble, których także tu nie zbywa.

Mucha calma – mawia się tutaj, „zachowaj spokój". Ale Sand daleko od bycia nawet trochę *calma*. „Czyżby więc, kiedy już popełniło się głupotę i przyjechało tutaj, jedynym sposobem naprawienia jej było stąd wyjechać?" – pisze.

Akt IV: Potop na głowy

Wtedy na scenie pojawia się señor Gómez z propozycją. Potrzebujecie kwatery? Proszę bardzo, mam umeblowaną willę Son Vent z ogrodem. Dostępna od zaraz w atrakcyjnej cenie.

Willa okazuje się wiejskim domem. Pobielone wapnem ściany, stół z surowego ↦

↦ drewna i łóżka zmontowane z desek wspartych na kozłach. Za to większość okien ma szyby. Dziś to przedmieścia Palmy, wtedy dom stał wśród sadów migdałowych, drzewek cytrusowych i gajów oliwnych.

„To ziemia obiecana, (...) jesteśmy zachwyceni" – oznajmia Sand. „Niebo jak turkus, morze jak lazur, góry jak szmaragdy, powietrze jak w niebie" – wtóruje jej Chopin. Spacerują, dzieci zbierają kamienie i patyki (miejscowi biorą ich w związku z tym raz za aptekarzy, a raz za idiotów). Sand do piątej rano przesiaduje na tarasie, chłonie piękno. Zachwytom nie ma końca – dopóki nie psuje się pogoda.

Son Vent po katalońsku znaczy „to jest wiatr". Że posiadłość nazwano nie bez powodu, towarzystwo przekonuje się po trzech tygodniach sielanki, gdy temperatura spada, a z nieba spada biblijny potop. Kapie z sufitów, cieknie po ścianach, w pokojach hulają przeciągi. Zimowy Paryż nagle nie wydaje się wstrętny: tam można ogrzać się przy kominku. Tu nie ma kominków, tylko małe piecyki, które dają więcej dymu niż ciepła.

Skutek: Chopin choruje „jak pies". Do Son Vent pielgrzymują lekarze, rzekomo najsławniejsi na Majorce. „Jeden wąchał, com pluł, drugi stukał, skądem pluł, trzeci macał i słuchał, jakem pluł. Jeden mówił, żem zdechł, drugi – że zdycham, 3-ci – że zdechnę".

Niesie się fama, że Fryderyk zaraża „chorobą piersiową". Że trzeba się ich wystrzegać, omijać łukiem. Nie żeby wcześniej witano ich z otwartymi ramionami, ale teraz są już *persona non grata*. Señor Gómez listownie wymawia im dom. Oraz żąda odmalowania Son Vent, wystawia słony rachunek za sprzęty i wysłużoną pościel. Wszystko, czego dotknęli, jest przesiąknięte zarazą. Albo sobie to zabiorą, albo on to spali.

Akt V: Gotycka sceneria

Co zrobić w tej sytuacji? Wsiadać na statek powrotny albo zaszyć się gdzieś na prowincji.

Kochankowie wybierają opcję numer dwa i zaszywają się w Valldemossie – górskiej wiosce z długą tradycją w tej dziedzinie. Stuleciami zaszywali się w niej mężczyźni, którzy radykalnie odrzucali świat, a służył im do tego klasztor kartuzów. Później – gdy konwent rozwiązano – w eremie zaszywali się co bogatsi mieszkańcy Palmy, by ulżyć sobie od nieznośnego skwaru.

Ale w grudniu było po sezonie, a ostatni tymczasowy lokator właśnie pakował manatki. Był to „pewien Hiszpan, uchodźca polityczny", który teraz musiał pilnie uciekać dalej.

Sand i Chopin przejmują jego celę. To trzy izby z ogródkiem pełnym pomarańczy i cytryn, zadaszone patio i piecyk „od którego bolała (...) głowa i wysychały płuca". Żadne luksusy, ale nie szkodzi. Komorne niskie, a za progiem tej „wysokiej trumny" (opis Chopina) czekał średniowieczny klasztor pełen zakamarków i tajemnic.

To tak, jakby zamieszkać w scenerii z powieści gotyckiej. George daje się uwieść tej wizji. Nazwie Valldemossę najbardziej poetyczną siedzibą świata. W celi napisze powieść „Spiridion", w której zakonnego nowicjusza nęka duch założyciela klasztoru.

Chopin też pracuje, a przynajmniej pracować chciałby. Z Paryża przywiózł zamówienie na preludia, ale trudno komponować, bębniąc o blat stołu. „Nie ma tu fortepianu, w tym względzie to dziki kraj". Wypożyczony instrument okazuje się rozklekotanym rzęchem, a zamówione pianino – gdy w końcu dopłynie na Majorkę – aresztują celnicy. Za wykupne można kupić drugi instrument. Odesłać z powrotem do Francji też niemożliwe. Ewentualnie pianino można utopić w morzu. Urząd uda, że nie widział.

Dwa tygodnie trwa szarpanina, by instrument w końcu trafił do Valldemossy. Nie za darmo. Chopin skomponuje na nim (choć może bliższe prawdy byłoby stwierdzenie: szlifuje) Preludium z op. 28 nr 15 „Deszczowe".

Akt VI: Groźba piekła

W którym momencie Aurora i Fryderyk zaczynają mieć dosyć Majorki?

Gdy w Palmie nikt ich nie chce przyjąć na noc?

Gdy leje im się na głowy w Son Vent?

Gdy on zapada na zdrowiu, a pomoc lekarska kończy się na wystawieniu rachunku za wizytę?

Gdy señor Gómez wyrzuca ich z domu i grozi procesem?

Gdy celnicy aresztują pianino?

Gdy mieszkańcy Valldemossy obrzucają kamieniami Maurice'a, bo uznają jego szkic klasztoru za profanację?

Valldemossa na pocztówce z Majorki

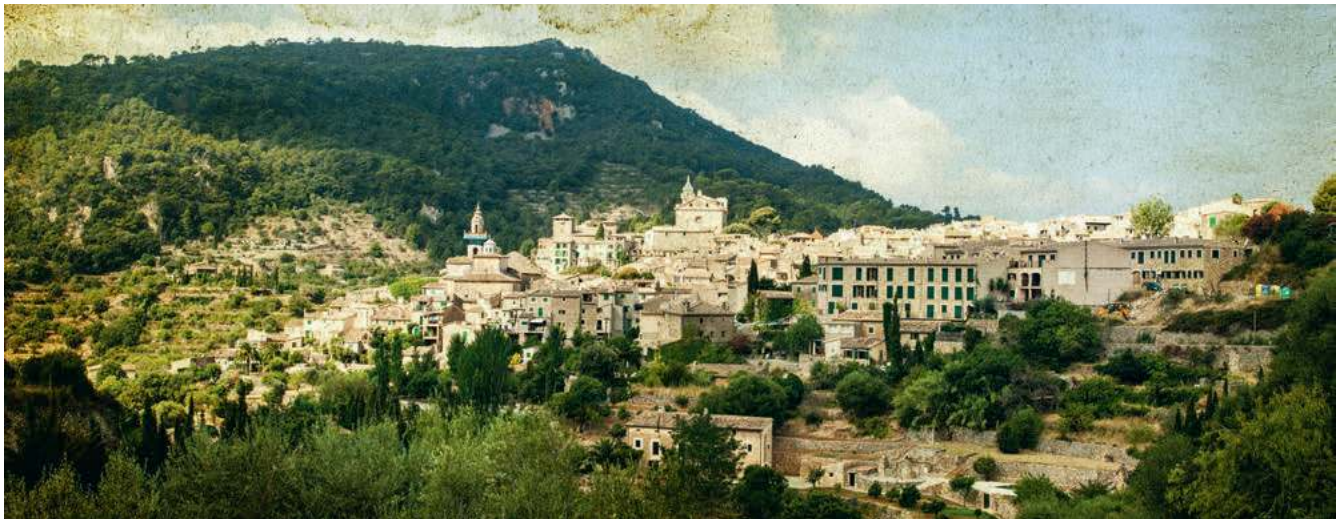

ERIKA8213 / ADOBE STOCK

Gdy nazywają ich poganami, mahometanami i żydami?

Gdy przyłapują miejscowego stolarza na kradzieży szczoteczki do zębów i kilku innych przyborów toaletowych?

Gdy lokatorka sąsiedniej celi wyjada im co lepsze kąski z garnków?

Gdy na zmianę z dziećmi muszą trzymać straż przy zapasach, by ich nie podkradała?

Gdy orientują się, że utrzymanie stało się droższe niż „księcia w Paryżu", bo wszystko kupują po zawyżonych cenach?

Gdy nowy rok 1839 przynosi jeszcze więcej deszczu i powodzie?

Gdy Chopin znów choruje?

Gdy wieśniacy urządzają w klasztorze ostatki tak przerażające, jakby wyreżyserował je Goya?

A może, gdy wieśniaczki przekonują Aurorę, że jej ukochany pójdzie do piekła, bo jest gruźlikiem i się nie spowiada?

STEVE TAYLOR ARPS / ALAMY / BE&W

Brązowa rzeźba Fryderyka Chopina autorstwa Zofii Wolskiej w ogrodach klasztornych w Valldemossie

Akt VII: Pożegnanie z wyspą

Te dwa wyobrażenia – od „ziemi obiecanej" do „oby moja noga nigdy więcej nie postała w Hiszpanii" – dzieliły trzy miesiące. George Sand stwierdziła potem, że w tym czasie postarzała się o 10 lat.

Tymczasem wyspa miała dla nich jeszcze pożegnalny prezent: powrót statkiem pełnym wieprzów. W lutym 1839 r. nie było innego sposobu, by „opuścić ten przeklęty kraj", niż w towarzystwie żywego towaru eksportowego Majorki. Statek – pływający chlew. Pasażerowie – na doczepkę, uwięzieni w kajutach, póki ostatnie prosię nie zejdzie na ląd w Barcelonie.

Po drodze noc z piekła rodem, a właściwie – noc z chorobą morską, bezlitosną dla pasażerów i frachtu. Gdy świnie traciły animusz, uzbrojona w pejcze i co kto miał pod ręką załoga brała się do bezlitosnego okładania stada. Byleby zmusić zwierzęta do ruchu, co zapobiegało mdłościom.

Kwiki bólu, wrzaski zachęty do chłosty, odór odchodów i tak w koło Macieju. Przez całą noc. Pasażerami nikt się nie przejmował.

Akt VIII: Paradoks ciągu dalszego

„Wydawało nam się, jakbyśmy odbyli podróż dookoła świata i opuścili dzikusów Polinezji, by wrócić do świata cywilizowanego" – napisze George Sand w wydanej trzy lata później „Zimie na Majorce".

W książce nie szczędzi przymiotników w opisach urody i różnorodności wyspy. Tylko że raj okazał się zamieszkany przez szorstkich autochtonów, którym nie podobały się ani grzeszne obyczaje kochanków, ani prątkujący Chopin. Sand im tego nie zapomni. W książce nazywa ich małpami, barbarzyńcami, złodziejami. Z wyżyn paryżanki podkpiwa z ich dewocji, lenistwa, zidiocenia. Wypomina, że „oszukują, zdzierają, kłamią" i za wszystko liczą sobie o wiele za dużo pieniędzy.

„Zima na Majorce" pełna jest takich lamentów. Wyspie jednak nie zaszkodziła. Odwrotnie – Sand przetarła szlak dla fali turystów. Skalę najlepiej oddają liczby. W 2024 r. lotnisko w Palmie obsłużyło ponad 33 mln pasażerów (więcej niż Okęcie i krakowskie Balice razem wzięte), a promy i wycieczkowce też nie przywożą powietrza.

Dziś przekład na polski „Zimy na Majorce" łatwiej dostać na Majorce niż w Polsce. A wokół pobytu kochanków zbudowano romantyczną legendę. Fakt, że w rankingu sympatii na Majorce Sand i Chopin plasowali się tylko szczebelek wyżej od dziury w moście, zgrabnie się przemilcza. To, czego nie spalono, teraz czci się jak relikwie, a odwiedzający dawną kartuzję w Valldemossie głowią się, dlaczego pamiątki rozbite są na dwie cele z osobno płatnym wstępem.

Para zimowała w czwartej celi – to pewne. Ale która to „ta" czwórka, już pewne nie było. Dlatego dwie cele pretendowały do bycia tą właściwą. Spór trwał 80 lat, aż rozstrzygnął go sąd. Koronnym dowodem okazała się perspektywa, z której Maurice narysował kościelną dzwonnicę.

W namaszczonej wyrokiem sądu celi stoi osławione pianino, w fałszywej – pod warstwą narzut – fortepian, na którym Chopin nigdy nie grał (choć latami twierdzono co innego). Ale to ta druga cela przebija czwórkę zbiorem chopinianów: od listów i autografów po osobiste drobiazgi pokroju pukiel włosów, grzebyk z kości słoniowej Chopina czy fular, którym pisarka obwijała szyję.

■■■

W 2004 r. rząd lokalny Majorki nadał George Sand honorowy tytuł *Hija Adoptiva* (adopcyjna córka) – przyznawany osobom, które choć nie urodziły się na miejscu, to wniosły wybitny wkład w rozwój Majorki, jej kulturę czy historię.

Jednak Aurora nie ma swojego pomnika w Valldemossie – w odróżnieniu od Chopina i innych zasłużonych postaci związanych z wioską. © ZOFIA JURCZAK

Autorka jest absolwentką kulturoznawstwa i Polskiej Szkoły Reportażu. Autorka strony podrozepokulturze.pl oraz książek krajoznawczych (m.in. „Kraków. Nieprzewodnik dla turystów i mieszkańców" i „Japonia. Kraj możliwości"). Prowadzi autorskie spacery po Krakowie.

Andrzej Szczerski (Muzeum Narodowe w Krakowie), Łukasz Sęk, zastępca Prezydenta Miasta Krakowa

Zbigniew Grzyb (Nowohuckie Centrum Kultury), Katarzyna Suszkiewicz (Żydowskie Muzeum Galicja), Agnieszka Staniszewska-Mól (Biblioteka Kraków)

Kraków: wspólnota kultury

TEKST MICHAŁ SOWIŃSKI
ZDJĘCIA JACEK TARAN

25 września odbyła się konferencja „Kraków – wspólnota kultury", podczas której instytucje, twórcy i władze miasta debatowali o dostępności, decentralizacji i przyszłości kultury.

Kultura jest sercem Krakowa – to zdanie powracało wielokrotnie podczas konferencji „Kraków – wspólnota kultury", zorganizowanej przez „Tygodnik Powszechny" w partnerstwie z Miastem Kraków i Radiem Kraków. Choć przedstawiciele najważniejszych instytucji kultury i władz miasta spotykali się już wcześniej, nieczęsto udaje się zebrać tak szerokie grono w jednym miejscu. Dyrektorzy instytucji, twórcy i menedżerowie wspólnie podsumowali stan życia kulturalnego i wyznaczyli kierunki na przyszłość.

Wiceprezydent Łukasz Sęk zadeklarował, że to nie jednorazowe forum: „Takie spotkania są potrzebne i będą kolejne". Ta zapowiedź nadała wydarzeniu wymiar nie tylko diagnozy, ale także otwarcia procesu, który ma być regularny i konsekwentny. Cztery panele tematyczne łączyła jedna idea: jak uczynić kulturę bardziej wspólnotową – dostępną, zdecentralizowaną, odporną na presję ekonomiczną i otwartą na nowe głosy.

Dziedzictwo i tożsamość kulturowa

Podczas pierwszego panelu profesor Andrzej Betlej przypomniał, że dziedzictwo to nie tylko mury, ale także nawyki, praktyki i ludzie. Rozmowa dotyczyła bilansu transformacji instytucji po 1990 r. oraz potrzeby decentralizacji, aby kultura nie koncentrowała się wyłącznie w centrum. Przykłady adaptacji poprzemysłowych przestrzeni – od Schindlera, przez Cricotekę, po Muzeum Inżynierii i Techniki – pokazały, jak na obrzeżach powstają nowe „serca miasta".

Anna Goc (Tygodnik Powszechny), Katarzyna Suszkiewicz (Żydowskie Muzeum Galicja), Agnieszka Staniszewska-Mól (Biblioteka Kraków)

Natalia Zarzecka (Cricoteka), Andrzej Betlej (Zamek Królewski na Wawelu)

Ważnym postulatem stało się wychodzenie z „rezerwatu instytucji" i otwarcie na społeczności, które dotąd pozostawały na marginesie życia kulturalnego.

Kultura dla mieszkańców

Panel o uczestnictwie i dostępności pokazał, jak ważna jest regularność w działaniach na rzecz dostępności kultury. „Nawyki uczestnictwa nie biorą się znikąd" – mówiła Katarzyna Suszkiewicz z Żydowskiego Muzeum Galicja. To biblioteki, domy kultury i NGO budują codzienny rytm obecności sztuki w życiu mieszkańców. Dyskutowano o szeroko rozumianej dostępności – nie tylko architektonicznej, ale też językowej, sensorycznej i ekonomicznej. Oczekiwanie mieszkańców jest jasne: chcą mieć kulturę „blisko domu", w ramach stałych i powtarzalnych formatów, a nie tylko przy okazji wielkich wydarzeń.

Twórcy i przemysły kreatywne

Rozmowa o przyszłości Wesołej – planowanej dzielnicy kreatywnej – należała do najbardziej ożywionych. „To szansa i ryzyko: zróbmy z niej dzielnicę kreatywną z realnymi gwarancjami dla NGO" – apelował prof. Andrzej Bednarczyk. Paneliści podkreślali potrzebę stabilnych umów i przestrzeni do pracy, które pozwolą na eksperyment i ryzyko, a nie tylko na funkcjonowanie w trybie festiwalowej tymczasowości. Małgorzata Płysa z Unsoundu zwracała uwagę, że festiwale potrafią „robić miasto", ale bez trwałej infrastruktury ich energia się rozprasza.

Adrianna Gębala-Pietras (MuFo – Muzeum Fotografii w Krakowie)

Polityka kulturalna i partnerstwa

Przedstawiciele MuFo, Mangghi i Muzeum Narodowego wskazywali, że wzrost publiczności idzie dziś w parze z dramatycznym wzrostem kosztów utrzymania. „Bywa, że to 120-150 procent budżetu – zanim w ogóle zaczniemy planować program" – mówił prof. Andrzej Szczerski. Paneliści ostrzegali przed logiką „więcej za mniej", która grozi przeciążeniem zespołów i spadkiem jakości. Zamiast ścigania się na rekordy frekwencyjne, postulowano równowagę między wielkimi wydarzeniami a codzienną pracą edukacyjną i programową. Katarzyna Olesiak podkreślała potrzebę wspólnej narracji: instytucje nie mogą ze sobą konkurować, lecz powinny współtworzyć spójny obraz Krakowa jako miasta kultury.

Konferencja „Kraków – wspólnota kultury" miała charakter rzeczowej debaty. W wypowiedziach uczestników powracały postulaty decentralizacji, zapewnienia twórcom stabilnych warunków pracy, zachowania równowagi między spektakularnymi przedsięwzięciami a codzienną działalnością instytucji oraz rozwijania nawyku uczestnictwa poprzez stałą obecność działań blisko mieszkańców. Najważniejsze przesłanie padło jednak ze strony władz miasta – spotkanie nie kończy rozmowy, lecz rozpoczyna proces, w ramach którego głosy instytucji, artystów i mieszkańców będą regularnie uwzględniane. ©℗

ORGANIZATOR
TYGODNIK POWSZECHNY
PARTNER GŁÓWNY
Kraków
PARTNER
Radio Kraków

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ZUZANNA WOIŃSKA // MATERIAŁY PRASOWE KINO ŚWIAT

KULTURA

STARE LWY, OSTRE PAZURY

50. edycja gdyńskiego festiwalu udowadnia, że potrzebujemy sprawnie i z wdziękiem opowiedzianych historii, które przywracają nam wiarę w porządek świata.

ANITA PIOTROWSKA

Do samego końca wisiało w powietrzu pytanie: czyżby wreszcie Smarzowski? Tymczasem jury pod przewodnictwem Magnusa von Horna, ubiegłorocznego laureata, zgotowało niespodziankę. Bez wątpienia najmocniejszy i najżywiej dyskutowany tytuł gdyńskiego konkursu, „Dom dobry", wyjechał z Gdyni bez żadnej statuetki. Bank rozbili „Ministranci" Piotra Domalewskiego i ów bezpieczny, a może nawet pojednawczy werdykt dobrze podsumowuje najważniejszy festiwal polskich filmów fabularnych, który świętował w tym roku swoje półwiecze.

W związku z tym jubileuszem tegoroczne święto polskiego kina było czymś w rodzaju wielkiego podsumowania i jednocześnie wypatrywaniem nowego otwarcia. To pierwsze dawało o sobie znać na każdym kroku, przypominając, czym był ten festiwal przez ostatnie 50 lat. W końcu to właśnie w Gdyni, a wcześniej w Gdańsku, wydarzała się historia – i nie tylko polskiego kina. Pokazywane tutaj tytuły inicjowały debaty, dokąd zmierza nasz filmowy statek, nasza kultura, cały nasz kraj, a decyzje selekcjonerów czy jurorów bywały następstwem rozmaitych okoliczności politycznych.

Podczas jubileuszowej edycji rządziły więc powtórki i „wspomnień czar", ale także smutne upamiętnienia: Leszka Kopcia, zmarłego niedawno wieloletniego dyrektora tej imprezy, czy reżysera Marcina Wrony, którego tragiczną

Kadr z filmu „Ministranci", reż. Piotr Domalewski, 2025 r.

MARLENE FILM PRODUCTION / KINO ŚWIAT

Idan Weiss jako Franz Kafka w filmie „Franz", reż. Agnieszka Holland, 2025 r.

śmierć podczas festiwalu przeżywaliśmy równe 10 lat temu.

Nie mogło być jednak w jubileuszowej Gdyni wyłącznie celebrowania przeszłości czy rozpamiętywania dawnej świetności, albowiem program, stworzony pod okiem dyrektor artystycznej Joanny Łapińskiej, był szalenie rozbudowany. Szkoda tylko, że w głównej sekcji konkursowej, która zawsze wzbudza największe emocje, czuć było ledwie powiew czegoś naprawdę świeżego.

Biografie i portrety

Samo otwarcie festiwalu z pewnością tego nie zwiastowało, zobaczyliśmy bowiem długo wyczekiwaną superprodukcję „Chopin, Chopin!", która mimo realizacyjnego rozmachu i paru nowoczesnych rozwiązań inscenizacyjnych nie zasłużyła na ten wykrzyknik, a chwilami unosiła się nad nią ciężka woń lekarstw i naftaliny. Więcej o filmie Michała Kwiecińskiego napiszę w następnym numerze, przy okazji kinowej premiery – dość powiedzieć, że to raczej długi film o chorobie i umieraniu niż o artyście czy jego muzyce.

Szanując taki koncept, podobnie jak i walory plastyczne filmu (zasłużone nagrody za scenografię dla Katarzyny Sobańskiej i Marcela Sławińskiego oraz za kostiumy dla Magdaleny Biedrzyckiej i Justyny Stolarz), trudno pomieścić w sobie to nasycenie formą i równoczesny niedosyt treści, co w przypadku produkcji tak kosztownej, a zarazem z tak dużym potencjałem dla międzynarodowej widowni, musiało zgrzytać.

Na szczęście Agnieszka Holland w swojej ucieczce przed klasyczną biografią filmową znalazła dużo ciekawszy i całkiem nowoczesny sposób na swojego bohatera. Jej „Franz Kafka" to bowiem portret zwielokrotniony i zawsze gdzieś odbity – w spojrzeniach krewnych, przyjaciół i bliskich mu kobiet, w obrazach wyjętych żywcem z jego prozy, w literaturoznawczych kliszach i strywializowanych wizerunkach na sprzedaż.

Reżyserka nie udaje, że zdobyła klucz do swojego bohatera. Poszukuje go bezustannie, krążąc po Pradze, Wiedniu i austriackim sanatorium; meandruje także w czasie, albowiem jej Kafka to coś więcej niż postać historyczna. Film pozwala zobaczyć w nim wielu Franzów: zwiastuna totalitaryzmu, potencjalną ofiarę Zagłady, zmumifikowaną atrakcję turystyczną albo nigdzie niepasującego outsidera, w którym mogliby się przejrzeć współcześni nadwrażliwcy. Zaś nagrodzony za tę rolę niemiecki aktor Idan Weiss przeszywa swoim kafkowskim spojrzeniem, kiedy spogląda prosto w kamerę – jakby jego bohater chciał nam dziś powiedzieć coś ważnego, przerażony powtarzalnością mechanizmów historii i ludzkich zachowań.

Jeśli dodać do tego wizualną maestrię (Gabriela Poláková otrzymała w Gdyni nagrodę za zdjęcia) i wielce oryginalną ścieżkę dźwiękową autorstwa trójmiejskiej Trupy Trupa, tegoroczne Srebrne Lwy wydają się w pełni zasłużone. Pozostaje trzymać kciuki za nominację dla „Franza Kafki" do Oscara. Mimo że to koprodukcja polsko-czesko-niemiecko-francuska, film został niedawno zgłoszony jako kandydat polski.

Debiuty i początki

Podczas gali zamknięcia festiwalu Holland apelowała do środowiska, by nie rezygnowało z twórczej odwagi. Jeszcze niedawno mówiło się o niej w kontekście politycznej cenzury i autocenzury, dziś reżyserka miała zapewne na myśli innego rodzaju naciski i kalkulacje, może nawet bardziej niebezpieczne, bo wyrosłe ze zwykłej wygody, a pośrednio z zimnych algorytmów formatujących zarówno twórczość, jak i jej odbiór.

Między innymi dlatego coraz trudniej przebić się na ekrany z czymś oryginalnym i świeżym. I to raczej najmłodsza ↦

generacja polskich twórców, operująca niewielkimi budżetami, pielęgnuje w sobie jeszcze tę odwagę. Czego dowodem choćby nagrodzone za debiut i za wyjątkowy wkład artystyczny „Północ/Południe" Sebastiana Pańczyka z konkursu Perspektywy, czyli niebanalny portret wokalisty Quebonafide. Ogląda się to zrazu jak kompilację wideoklipów, choć z czasem układają się one w musical albo kreacyjny dokument muzyczny, uchylając coraz więcej zza scenicznej persony bohatera, w tym jego zmagania z chorobą afektywną dwubiegunową.

Dało się zaobserwować ten zwrot pokoleniowy nie tylko w metrykach twórców, ale i w nowej wrażliwości, która bynajmniej nie spływała z ekranu jakąś jednolitą, odgórnie wywołaną falą. Czasem przybierała kształt kina gatunkowego, jak w sympatycznej parodii horroru „Życie dla początkujących" Pawła Podolskiego, gdzie w domu spokojnej starości można spotkać humanitarną wampirzycę (bardzo dobra Magdalena Maścianica), pośmiać się z egzystencjalnych strachów i międzyludzkich niezręczności. Ale to „życie dla początkujących", rozumiane już bardziej bezpośrednio jako nieporadne mocowanie się z dorastaniem czy dorosłością, powracało jeszcze wielokrotnie i z o wiele większym przytupem.

Brawurowo pokazał je Kordian Kądziela w filmie „LARP. Miłość, trolle i inne questy". Reżyser popularnego serialu „1670", w dużej mierze z udziałem tamtejszej obsady, debiutuje na srebrnym ekranie opowieścią o klasowym przegrywie, który szuka ucieczki w zbiorowych inscenizacjach fantasy (LARP to gra fabularna na żywo, której uczestnicy wcielają się w postacie z fikcyjnych światów).

Tylko czy można w elfickim przebraniu odnaleźć siebie? Czyli: „odzyskać" relację z ojcem (nagrodzony Andrzej Konopka), szkolną miłość i jeszcze wiarę w to, że światem nie rządzą wyłącznie tępa siła i kasa? Lecz nawet, jeśli jest to kino typowo młodzieżowe, jego naiwność zdaje się trochę zwodnicza. Przy okazji dobrej zabawy wiele się można dowiedzieć o „jaskółczych niepokojach" i nieznanych szerzej schronach budowanych przez tak zwaną generację Zet.

Nagrody i pazury

Wyczuwa się w tych młodych filmach podwyższoną świadomość tego, jak trudną przeprawą bywa wchodzenie dzisiaj w życie. Znać w scenariuszach wpływ „kultury terapeutycznej", traktowanej wszelako z dużym dystansem, a czasem w formie zaskakująco dojrzałej, jak w rewelacyjnym debiucie Emi Buchwald „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej". Trzeba przyznać, że słynna pokoleniowa „przygnęba" jeszcze nigdy nie miała na polskim ekranie tak autentycznego i zarazem tak ciepłego wyrazu.

Ktoś powie: ot, typowa warszawka, problemy pierwszego świata, wydumane rozkminy dzisiejszych „płatków śniegu"... Jednak ta opowieść o czwórce rodzeństwa, niby dorosłego, chociaż ciągle niegotowego na prawdziwą dorosłość, zaskakuje na każdym kroku. Najpierw tym, w jaki sposób aktorzy – profesjonalni, jak nagrodzona za drugoplanową rolę Karolina Rzepa, i naturszczycy, jak raper Szczyl – bezszwowo, w dużej mierze intuicyjnie, wchodzą w swoje postacie. A wreszcie, jak reżyserka, znana ze świetnych krótkich metraży, solidnym i zarazem bardzo swobodnym gestem stwarza ten czterogłowy organizm zwany rodziną, acz ze znaczącą nieobecnością rodziców.

Tu wszystko dzieje się gdzieś „pomiędzy". Między tęsknotą za bliskością a jej uzależniającym ciężarem. Między obecnym zawieszeniem w czasie (wszyscy o coś ważnego zabiegają, lecz tak naprawdę kręcą się w kółko) a z wolna oswajanymi demonami przeszłości (do końca niesprecyzowanymi, choć jeden z nich materializuje się pod postacią włochatego dusiołka). Wreszcie, pomiędzy modnym kinem o wysokowrażliwych dzieciakach (patrz: serial „Tacy właśnie jesteśmy" Luki Guadagnino) a czymś bardzo swojskim, niczym pamiętana z dzieciństwa domowa baza zrobiona z koców i poduszek. Dwie ważne nagrody dla Buchwald, za reżyserię oraz Złoty Pazur im. Andrzeja Żuławskiego, nie wspominając o uhonorowaniu filmu przez dziennikarzy, mówią same za siebie. W tym przypadku gdyńskie jury zdobyło się na akt odwagi.

Chłopcy i historie

To poszukiwanie przez młodych i bardzo młodych bohaterów własnoręcznie zbudowanego schronu powracało w wielu konkursowych filmach, chociaż już nie tak oryginalnych. Np. w „Bracie" Macieja Sobieszczańskiego, brutalnej historii o chłopcach dorastających bez ojca i jednocześnie w cieniu ojca, odsiadującego właśnie wyrok.

Chłopcy próbują przejąć jego funkcje, ale podczas gdy starszy (nagrodzony Filip Wiłkomirski) widzi w tym przede wszystkim odpowiedzialność za rodzinę w rozumieniu opiekuńczym, to młodszy, przygotowujący się do pierwszej komunii, postrzega swoją rolę głównie w kategoriach władzy, zmierzając ku agresji i autodestrukcji. Zdjęcia Jolanty Dylewskiej wprowadzają ciekawą dezorientację w postrzeganiu bohaterów, którzy najpierw muszą stracić niewinność, żeby dorosnąć naprawdę.

Także w zwycięskich „Ministrantach" wracają podobne tęsknoty i równie przekonywające dziecięce role. Tyle że Domalewski sięgnął po diametralnie odmienną konwencję, by łotrzykowskim tonem opowiedzieć ewangeliczną z ducha historię o trzynastoletnich superbohaterach. Oto w kościelnych komżach i wydzierganych przez babcię kominiarkach zwyczajni niezwyczajni chłopcy próbują naprawiać świat, zepsuty przez dorosłych. Przez chciwy i nieautentyczny w swojej wierze kler, przez swoich niewydolnych rodziców i równie dysfunkcyjny system społeczny, który słabe, niezaradne jednostki wyrzuca na margines. Bawiąc się w detektywów, janosików, spowiedników, a tak naprawdę w naśladowców Jezusa, próbują przywrócić utracony ład, choć w tym wymierzaniu sprawiedliwości kiedyś wreszcie będą musieli zderzyć się ze ścianą.

Patrząc na powodzenie tego filmu (prócz Grand Prix i nagrody publiczności, Domalewski uhonorowany został za scenariusz, a Agnieszka Glińska za montaż), widać dobrze, na jakie kino jest dziś szczególne zapotrzebowanie. Przede wszystkim na sprawnie i z wdziękiem opowiedziane historie, które przez chwilę przywracają nam wiarę w porządek tego świata, nawet jeśli brzmią mało wiarygodnie i trochę zbyt dosłownie.

„Ministranci" ze swoim chrześcijańskim i zarazem antyklerykalnym przesłaniem mają wiele wspólnego z równie utytułowanym „Bożym Ciałem" (2019) Jana Komasy, wyprodukowanym przez tę samą firmę Aurum Film. Gwoli przypomnienia, to właśnie dofinansowanie „Ministrantów" przez PISF stało się przedmiotem niesławnych personalnych przetasowań w tej instytucji.

PAWEŁ TYBORA / WARNER BROS

Agata Turkot i Tomasz Schuchardt w filmie „Dom dobry", reż. Wojciech Smarzowski, 2025 r.

Psy i siekiery

Złote Lwy dla tego rodzaju filmu w jakimś sensie tłumaczą totalną przegraną filmu Smarzowskiego. Dla wielu „Dom dobry" to czysta smarzowszczyzna, jeszcze jedno „kino robione siekierą", rozmiłowane w nagiej przemocy. Tym razem tej domowej, najgłębiej ukrytej. Co więcej, znowu kino „antypolskie", bo przecież tytuł filmu pisany jest w biało-czerwonych barwach, a czarny charakter nosi nazwisko Nowak, co sugeruje daleko posunięte uogólnienie.

To jednak żywe, poszukujące i jakże potrzebne społecznie kino. Opowiada historię młodej kobiety (Agata Turkot), wychodzącej za porządnego faceta (Tomasz Schuchardt) z gustownym mieszkaniem i dobrymi książkami na półkach, który jednak okazuje się domowym katem. Gdyby reżyser poprzestał na samej dosłowności, byłby to film wyłącznie interwencyjny, ale twórca „Wesela" co chwila bierze tę przemoc w nawias, pokazując wewnętrzne rozszczepienie bohaterki. Sprawia to, że wyświetlają się nam równolegle dwa różne filmy: o tym, co jest, i jak być mogło albo powinno. Po drodze odsłaniają się odwieczne mechanizmy przemocy – uzależnienie od niej, stosowane przez nią maski, usprawiedliwienia i wyparcia, powtarzalne cykle, powielane toksyczne wzory. A do tego ujawnia się jej wymiar systemowy, w postaci niewydolnej policji, sądu, organizacji pomocowych.

Oczywiście, nawet przy tak wyrafinowanej formie (a może właśnie przez nią?) muszą pojawiać się wątpliwości, czy więcej w tym empatii, czy eksploatacji z estetycznym naddatkiem. Czy pokazując, jak działa cicha przemoc psychologiczna zwana gaslightingiem, Smarzowski przypadkiem sam jej nie uprawia. Najwyraźniej gdyńscy jurorzy znaleźli jednoznaczną odpowiedź na te niełatwe pytania.

W werdykcie nie było również miejsca dla nowego filmu Władysława Pasikowskiego, ale ta decyzja chyba nikogo nie zdziwiła. W 1992 r. jego „Psy" wyjeżdżały z Gdyni z furą nagród, były ważnym zapisem czasu ustrojowej transformacji i postkomunistycznych rozliczeń oraz popisem rzemieślniczej sprawności. Dziś nie pomógł nawet Bogusław Linda w roli twardziela na emeryturze, przygnieciony terminalną diagnozą i wplątany w grubą zimnowojenną intrygę.

Film można już oglądać w kinach i pewnie znajdą się tacy, którzy zobaczą w nim nostalgiczny powrót czy bezczelną autoparodię. Bo jest tu przecież i beztroskie *political fiction*, i grubo ciosany western (a właściwie eastern) z samotnym szeryfem oraz, rzecz jasna, ze sprzedajną kobietą (Karolina Gruszka). A do papieskiej intrygi dopisał scenarzysta jeszcze bardziej kuriozalny wątek z marca 1968 r., seryjne dzieciobójstwo na prowincji i księżowską pedofilię. Widać w tym jednak duże zmęczenie materiału, które samo w sobie mogłoby być ciekawym tworzywem, gdyby je potraktować z większym przymrużeniem oka i reżyserskim dystansem do siebie. Bo wbrew pozorom to kino nie daje żadnej satysfakcji z powracania do rzeczy znanych i lubianych, a w przeciwieństwie do filmu Smarzowskiego niczym nie ryzykuje.

Ważne i piękne

Z tego konkursu, który wydawał się mocno nierówny, a przez to przeładowany, wolę zapamiętać to, co było jakimś małym aktem ekranowej odwagi. Np. niespokojne duchy z ulicy Dobrej, obnażone i kruche ciało Franza Kafki, frenetyczne jazdy kamery po XIX-wiecznych paryskich salonach, walkę trolli z orkami w śląskich lasach, wizjer, przez który maltretowana kobieta ogląda swoje życie, nielegalne nagranie z konfesjonału, które może zmienić czyjeś życie...

Z rzeczy ważnych była też pierwsza polska opowieść o współczesnym półniewolnictwie, czyli dość schematyczny w formie film „CAPO" Roberta Kwilmana, kolejnego zresztą debiutanta. Skoro aż takim koszmarem może być legalna imigracja ekonomiczna Latynosów do naszego kraju, to można sobie wyobrazić, w jakich warunkach pracują ci „nielegalni".

A z rzeczy pięknych dobrze było usłyszeć (i zobaczyć) Orkiestrę Klezmerską Teatru Sejneńskiego w debiucie Toli Jasiowskiej pod tytułem „Klarnet". Pozostaje tylko pytanie, do których filmów pokazywanych w tym roku w Gdyni będzie chciało się wracać przy okazji kolejnych jubileuszy. © ANITA PIOTROWSKA

Zakonnicy w przebraniu

DARIUSZ KOSIŃSKI

TEATR | Świetny koncept producencki, znakomicie wybrany zespół realizatorów, fantastyczna ekipa aktorska i tytuł przyciągający uwagę. Olsztyńscy „Krzyżacy” Jana Klaty są jak rekonstrukcja bitwy pod Grunwaldem – wiadomo, że nasi wygrają.

Z Krakowa do Olsztyna pojechałem pociągiem „Sienkiewicz”. Tym samym, który przywiózł też sporą część premierowej publiczności z Warszawy. Na miejscu przywitała nas co prawda duchota, ale godzinę przed rozpoczęciem przedstawienia zaczęła się porządna burza. Z okna hotelu widziałem, jak rwące potoki wody pędzą w dół stromą ulicą schodzącą od Starego Miasta. Lubię takie znaki – nawet jeśli bywają mylące.

Premierę scenicznej adaptacji „Krzyżaków” Henryka Sienkiewicza w reżyserii Jana Klaty dyrektor Teatru im. Stefana Jaracza, Paweł Dobrowolski, zapowiadał już dwa lata temu, obejmując kierownictwo olsztyńskiej sceny. Już wtedy obiecywał, że będzie to główne wydarzenie obchodów jubileuszu stulecia tej instytucji, przypadającego w roku 2025. Słowa dotrzymał i dzięki temu sezon 2025/2026 rozpoczął się w teatrze polskim od prawdziwego trzęsienia ziemi, po którym napięcie ma tylko rosnąć.

Inauguracyjny huk był tym większy, że na skutek niedających się przewidzieć dwa lata temu wydarzeń, „Krzyżacy” stali się też pierwszym przedstawieniem, jakie pokazał w swoim pierwszym sezonie nowy dyrektor Teatru Narodowego w Warszawie. Ot, zbieg okoliczności: 13 września „Krzyżacy” w Olsztynie, a dokładnie tydzień później krakowskie „Wesele” na początek warszawskiej, narodowej dyrekcji Jana Klaty. Nikt tego nie wymyślił, a jakże znacząco się ułożyło.

Dwa obiegi

Mówi się (i słusznie), że przypadek jest najwyższą formą konieczności. Jeśli tak, to dyrektor Dobrowolski dostał przedstawienie dyrektora Klaty jako w pełni zasłużoną nagrodę za realizację swojego dojrzale przemyślanego programu, którego „Krzyżacy” są świetnym przykładem. Obejmując dyrekcję w Olsztynie, znany w środowisku kurator, producent, dramaturg, jeden ze współtwórców sukcesu festiwalu „Nowe Epifanie”, a tuż przed Olsztynem zastępca dyrektora Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu opowiadał o tym, jak pracując na pozastołecznej scenie uświadomił sobie niezbieżność dwóch obiegów teatralnych: środowiskowo-ogólnopolskiego i lokalnego.

Ten pierwszy żywi się „wydarzeniami artystycznymi” rozpoznawanymi w zgodzie z kreowanymi przez siebie tendencjami i modami. Ten drugi pozostaje wierny konwencjonalnemu wyobrażeniu o sztuce teatru i respektuje tradycję (cokolwiek pod tym pojęciem rozumieć). Ten pierwszy jest dynamiczny, podróżuje po całym kraju. Ten drugi pozostaje związany z konkretnym miejscem, które zamieszkuje i dobrze zna. Rzecz niby oczywista, ale wcale nie tak często uświadamiana: te dwa obiegi, choć się spotykają, tworzą dwa odrębne kręgi publiczności. Sam należę do pierwszego i jestem świadomy, że oglądam i opisuję przedstawienia powstające w ośrodkach pozastołecznych z zupełnie innej perspektywy niż ludzie, dla których zasadniczo tamtejsze teatry działają.

Dualizm zdiagnozowany przez Dobrowolskiego zna każdy dyrektor jedynego teatru dramatycznego w mieście: z jednej strony oczywista chęć i konieczność zaspokajania realnych potrzeb miejscowej publiczności, z drugiej – równie ważna chęć zwrócenia uwagi obiegu ogólnopolsko-środowiskowego. Oba są dla funkcjonowania teatru równie ważne. Czemu lokalny, to chyba jasne. Czemu ogólnopolski? Bo to obecność w ustanawianych przez niego hierarchiach decyduje o ponadlokalnej rozpoznawalności, bez której nie zyska się ani przychylności centralnych decydentów, ani prawdziwego uznania na miejscu. Trzeba więc starać się o zachowanie równowagi między tworzeniem teatru dla publiczności lokalnej i przyjeżdżającej. Jej zachwianie grozi albo praktycznym nieistnieniem na teatralnej mapie kraju, albo wyobcowaniem z miejsca, w którym się działa.

Inaczej niż w szkole

Po dwóch sezonach olsztyńskiej dyrekcji Pawła Dobrowolskiego można już powiedzieć, że udało mu się ten balans utrzy-

KAROLINA JÓŹWIAK / MATERIAŁY PRASOWE

„Krzyżacy", reż. Jan Klata. Teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie

mać. Świetnie zorientowany w środowisku, z wielkim doświadczeniem producenckim, tak dobiera zapraszane do współpracy osoby i tytuły, by przyciągnąć uwagę zewnętrzną, a jednocześnie tworzyć przedstawienia atrakcyjne dla publiczności lokalnej.

Dla obiegu ogólnopolskiego ważnym aspektem jego działalności z pewnością jest praktyka regularnego zapraszania do współpracy osób od dawna uznawanych za tworzące teatr progresywny i wymagający, których pole działalności w metropoliach ostatnio dramatycznie się zawęziło. Regularna obecność w Olsztynie Weroniki Szczawińskiej, Agnieszki Jakimiak i Mateusza Atmana sprawia, że Teatr Jaracza stał się ważnym ośrodkiem sztuki performatywnej dalekiej od tradycyjnych wyobrażeń o teatrze.

Zaprasza też dyrektor Dobrowolski młode osoby reżyserskie o już rozpoznawalnych nazwiskach (Pamela Leończyk, Tomasz Fryzeł, Jędrzej Piaskowski) słusznie licząc, że ciekawość, jaką budzą ich kolejne kroki, przyciągnie uwagę wędrownych stad łowców teatralnych wydarzeń. Te potencjalnie trudniejsze dla szerszej publiczności przedstawienia umieszcza często na Scenie Kameralnej lub na scenie o dwuznacznej nazwie Margines. Na Dużą zaprasza zaś tytuły i twórców potencjalnie mających szansę zainteresować publiczność nastawioną bardziej tradycyjnie.

Nie znaczy to, że daje jej przedstawienia konwencjonalne – raczej szuka sposobów, by przyciągnąć widzów mających określone wyobrażenia i oczekiwania znanymi tytułami („Wesele", „Mewa") lub lokalnymi tematami (cały cykl przedstawień „warmińskich"), a następnie spróbować przekonać ich, że teatr odmienny od tego, który oswoili, wcale nie musi być wrogi, obcy, nieprzyjemny i niezrozumiały. Publiczność ma szansę przekonać się, że współczesny język sceniczny, choć nie dąży do wytworzenia stale kojarzonego z teatrem iluzjonistycznego efektu realności, wcale nie jest trudny do opanowania, a to, co można nim powiedzieć, może być atrakcyjne i nie tak nudne, jak spektakle pamiętane ze szkolnych wizyt sprzed lat.

Mój ci on!

Widziana w tej perspektywie jubileuszowa premiera „Krzyżaków" to wręcz doskonała realizacja producenckiej i dyrektorskiej strategii Pawła Dobrowolskiego. Jan Klata w każdym przedpremierowym wywiadzie powtarzał, że pomysł inscenizacji powieści Sienkiewicza na stulecie teatru wzniesionego z wdzięczności dla mieszkańców Allenstein, którzy gremialnie opowiedzieli się w referendum za przynależnością do Niemiec, jest naprawdę genialny. Prawda! A dodajmy jeszcze, że zaproszono do realizacji tego przedstawienia znanego reżysera, który ma na koncie głośną i cenioną realizację „Trylogii". Jakby tego było mało, przy adaptacji Klata współpracował z Ishbel Szatrawską, jedną z najwyżej cenionych polskich pisarek, z pochodzenia warmianką. Jeszcze jeden atraktor w tym bukiecie.

Genialne pomysły producenckie mają jednak to do siebie, że znakomicie się opowiadając w materiałach promocyjnych, budzą zarazem niebezpiecznie wielkie oczekiwania. Sam temu mechanizmowi ulegam i wiem, jak łatwo wtedy o rozczarowanie. Starałem się więc z całej siły nie żywić nadmiernych nadziei, choć tym razem było wyjątkowo trudno. Ciekawość, co i jak Klata z Szatrawską z Sienkiewicza i za Sienkiewiczem opowiedzą, jak znane aż za dobrze z powtarzanego co święta filmu Aleksandra Forda sceny i obrazy zostaną uteatralizowane, nie pozwalała podejść do tej premiery „na czysto", bez oczekiwań i uwarunkowań.

Trudno jest też opowiedzieć o tym przedstawieniu tak, żeby nie popsuć czytelnikom, w części zapewne przyszłym widzom, przyjemności sprawdzenia, jak na scenie wygląda „mój ci on!", męczeństwo Juranda (jedna z mocniejszych scen przedstawienia) czy – przede wszystkim! – bitwa pod Grunwaldem. Postaram się uniknąć zbytniego spoilowania, ale uprzedzam – jeśli chcesz mieć niespodziankę, przestań w tym miejscu czytać. Od razu ci za to powiem, że przedstawienie jest warte zobaczenia, że będziesz mieć naprawdę interesujący wieczór w teatrze i że warto się wybrać, zwłaszcza jeśli masz do Olsztyna względnie niedaleko (z Warszawy to dwie i pół godziny pociągiem).

Wszyscy znają, nikt nie czyta

Spektakl dobrze się ogląda. Jego twórcy wiedzą, że współczesny widz, przyzwyczajony do szybkiej zmiany krótkich sekwencji, nie lubi dłużyzn (co prawda niektóre sekwencje taneczno-muzyczne można by jeszcze przyciąć). Na scenie buzuje nieskrywana teatralność, dająca radość i twórcom, i widzom. Chwilami bywa poważnie, ale nic tu nikogo nie zdołuje, więc spokojnie można umówić się na randkę z teatrem i dobrą kolacją zaraz po. No i w końcu „Krzyżaków" znasz na pewno, więc się nie pogubisz, a zobaczysz ich zrobionych inaczej, opowiedzianych w taki sposób, że się zdziwisz, widząc napisane przez Sienkiewicza sceny, których nie pamiętasz, i słysząc słowa, o jakie by się go nie podejrzewało.

To z pewnością jedna z większych wartości tego przedstawienia – odnowienie lektury powieści, która się tak ucukrowała i uleżała w zbiorowej świadomości, że wszyscy ją znają, choć nikt nie czyta. Szatrawska z Klatą wydobywają z niej wątki zapomniane, a dziś brzmiące aktualnie. Jednym z nich są „służki zakonu" – kobiety będące ofiarami seksualnego molestowania przez mnichów. Innym – powracający i brzmiący dziś szczególnie złowieszczo wątek politycznego i emocjonalnego pragnienia i radosnego witania wojny.

Odnowienie lektury oznacza także przesunięcia i reinterpretacje wątków znanych, co w tym przedstawieniu ↦

↦ udało się według mnie szczególnie w odniesieniu do miłości Zbyszka (Maciej Cymorek) i Danusi (Agnieszka Giza-Gradowska). On nie jest mięśniakiem deklamującym pochwały swej damy, ale naprawdę zakochanym mężczyzną, dramatycznie walczącym o swoją miłość. Z niej natomiast udaje się wreszcie zdjąć gębę biernej ofiary, mimozowatej i galaretowatej „dzieweczki", przywracając jej uczuciu do Zbyszka ciało pragnące, a jej cierpieniom – ciało zgwałcone. Obie kreacje to prawdziwe osiągnięcia aktorskie, nie jedyne, a wręcz – jedne z wielu w tym przedstawieniu dowodzącym, że Teatr Jaracza ma znakomity zespół.

Jak w grze

Nie ma wątpliwości – „Krzyżacy" olsztyńscy to przedstawienie warte oglądania także ze względu na nowoczesne, a czysto teatralne aktorstwo łączące wykonywanie ściśle określonych, rozbudowanych partytur reżysersko-choreograficznych (za ruch odpowiada Maćko Prusak) z koniecznością przerzucania się między wieloma odmiennymi rejestrami i postaciami. Zespół aktorski stanął przed naprawdę ciężkim zadaniem – nie tylko dlatego, że niemal wszyscy musieli grać kilka ról, ale głównie z tego względu, że zasadą tego przedstawienia jest utrudnianie wszystkiego, co ma być serio.

Już sam początek zapowiada, że będzie śmiesznie. Na pustej scenie otoczonej z trzech stron białymi prostokątnymi ścianami, służącymi już za chwilę za ekrany dla projekcji Natana Berkowicza, pojawiają się groteskowe postaci w srebrnych puchatych kurtkach i takichże zakrywających głowy i twarze hełmach. W tych niby zbrojach wyglądają groteskowo, bo kurtki i hełmy wyolbrzymiają górne połowy ich ciał, sprawiając, że nóżki w srebrnych spodenkach i czarno-srebrnych pończochach wydają się chudziutkie. Nóżkami tymi zaczynają rytmicznie wierzgać. Ich mechaniczne ruchy kojarzą się z rycerzykami ze znanej gry wideo, w której chodzi o rozwalanie zamków i burleskowo wręcz błyskawiczne zabijanie innych rycerzyków. W takim świecie stworzonym przemyślnie przez Mirka Kaczmarka (scenografia, kostiumy i reżyseria świateł) kolejne sceny powieści bez trudu mogą osunąć się w parodię (co rzeczywiście dzieje się w pierwszej części tyniecko-krakowskiej). Gdy Danusia nakrywa srebrnego Zbyszka złotą folią ogrzewającą, sala wybucha oczekiwanym śmiechem.

Jedna z większych wartości przedstawienia to odnowienie lektury, którą wszyscy znają, choć nikt jej nie czyta. Szatrawska z Klatą wydobywają z niej wątki zapomniane.

Świat olsztyńskich „Krzyżaków" długo wydaje się jakąś wielką grą wideo bez nieodwoływalnych konsekwencji, z wieloma życiami i możliwością zaczęcia od nowa. Przez tę górującą warstwę przebijają się widmowe obrazy grozy pojawiające się na ekranach. Odwołują się one do przeszłości, która dla świata „Krzyżaków" jest przyszłością, przede wszystkim do niemieckiego nazizmu (w tym także do obozów zagłady).

Pod Grunwaldem

Ten zabieg wydał mi się i łopatologiczny, i problematyczny, z wielu powodów. Serio obozów zagłady jest jednak zbyt wielkie, by je tak lekko wciągać do teatralnej zabawy, a proste powiązanie „Krzyżacy – hitlerowcy – Niemcy" zbyt propagandowo wyświechtane i za silnie kojarzy mi się z tymi, którzy budują swoją polityczną narrację na straszeniu „ukrytą opcją niemiecką" (tych przedstawienie może naprawdę ucieszyć). Być może chodziło o kontrapunkt diagnozujący napięcie między zabawą i grozą, które tak dziś mocno odczuwamy. Ten jednak o wiele trafniej wydobywają aktorki i aktorzy w scenach zrywających z konwencją gry.

Przynależą one oczywiście Zbyszkowi i Danusi, ale też Jurandowi (na premierze znakomity Cezary Studniak, który ma grać na zmianę z Grzegorzem Jurkiewiczem) i Zygfrydowi (Marian Czarkowski), których rozpacze zostają ze sobą zestawione. W innym, bardziej domowym rejestrze, serio pojawia się w świetnych rolach Jagienki (Małgorzata Rydzyńska) i Maćka (Maciej Mydlak), których „domowym" troskom słusznie nie odmawia się znaczenia. Co znamienne, szczególnie serio brzmią fragmenty powieści mówione wyłącznie przez głosy kobiece, częściowo należące do pojawiających się na scenie postaci (św. Jadwiga, św. Brygida), częściowo płynące z offu. Funkcjonują one jako głosy wiedzących więcej, a to, że są kobiece, stanowi jeszcze jedno znaczące zacięcie gładko pracującego mechanizmu przedstawienia.

Nieostatnie. Najważniejszym i oczekiwanym jest oddzielenie od reszty spektaklu sceny bitwy pod Grunwaldem. Warto wiedzieć, więc uprzedzam: dwie części spektaklu są bardzo nierówne: pierwsza trwa 130 minut, druga piętnaście. Po pierwszej wyprasza się widzów z sali. Wiadomo – po przerwie będzie bitwa, a jak wypraszają, to pewnie szykują coś specjalnego.

I tu niespodzianka (uwaga, spoiler): scena wygląda tak samo i te same stoją na niej groteskowe rycerzyki. Groteskowa jest też ich nawalanka w srebrnych kufajkach. Nawet kilkoro rycerzy z bractwa Warmińska Dzika Kompania z mieczami, tarczami i w zbrojach naśladujących autentyczne nie zmienia tego obrazu, a raczej przez kontrast go potęguje. Decydująca bitwa nie ma żadnej powagi. Jest teatralną zabawą przy akompaniamencie heavymetalowego nagrania koncertowego. Gdy numer się kończy, a koncertowa publiczność zaczyna owacje, żywi widzowie też zaczynają klaskać. Koniec? Już?

Nie ukrywam – byłem tym rozczarowany. Mam pewnie za duże oczekiwania i sprawne uteatralizowanie popularnej powieści z nowymi wątkami nie bardzo mnie satysfakcjonuje. To pewnie skaza wynikająca z wieku i anachronicznych przyzwyczajeń. Może nawet nie powinienem o tym mówić, bo przecież nie dla mnie ten spektakl zrobiono.

Po dwóch weekendowych pokazach premierowych, trzeci raz „Krzyżacy" zostaną zagrani o 10 rano, zapewne dla szkół. Pewnie lepiej byłoby przyjechać wtedy i zobaczyć, jak zareagują na to przedstawienie widzowie przyprowadzeni w ramach programowego uczestnictwa w kulturze i zapoznania się z lekturą. To dla nich jest to przedstawienie. Bardzo jestem ciekaw, czy im się podobało. I czy za kilkanaście lat, gdy wrócą do tego lub innego teatru, będą mieć już inne niż ich rodzice wyobrażenia i oczekiwania.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Mistrz mistrza Yody

TOMASZ STAWISZYŃSKI

OPOWIEŚCI | Campbell przekonywał, że świat oraz życie mają sens, a rzeczywistość opiera się na szczególnej, niewidocznej na pierwszy rzut oka strukturze.

„Sądziłem, że prawdziwa sztuka skończyła się na Picassie, Joysie i Mannie. Teraz widzę, że to nieprawda". Tymi słowy słynny mitoznawca Joseph Campbell zwrócił się ponoć do George'a Lucasa po obejrzeniu „Nowej nadziei", „Imperium kontratakuje" oraz „Powrotu Jedi". Obejrzał je jednym ciągiem, na prywatnej projekcji, z przerwą na obiad, w towarzystwie reżysera oraz ich wspólnej znajomej Barbary McClintock, laureatki Nagrody Nobla z dziedziny biologii. Do tego spotkania doszło dopiero w 1984 r., chociaż Lucas zetknął się z tekstami Campbella znacznie wcześniej. To dzięki nim – jak wielokrotnie podkreślał – stworzył swoje legendarne uniwersum, a postać mistrza Yody wzorował właśnie na ich autorze (choć nie pod kątem aparycji).

Będąc głęboko przekonanym, że Campbell wyraził jakąś głęboką prawdę, i że należy szerzej zaprezentować go światu, Lucas – niedługo później – udostępnił swoje „ranczo Skywalkera" (na którym odbyła się wspomniana projekcja) ekipie telewizji PBS. Tak powstała jedna z najpopularniejszych serii telewizyjnych XX w.

„Potęga mitu" to sześć godzinnych odcinków, w których z Campbellem rozmawia amerykański dziennikarz Bill Moyers. Mniej więcej w okolicach premiery, w roku 1988, ich rozmowy opublikowano także w wersji drukowanej. Sukces był ogromny, Campbell zyskał nagle międzynarodową sławę, a jego książki – na czele z „Potęgą" oraz „Bohaterem o tysiącu twarzy", *opus magnum* z 1949 r. – stały się nie tylko bestsellerami,

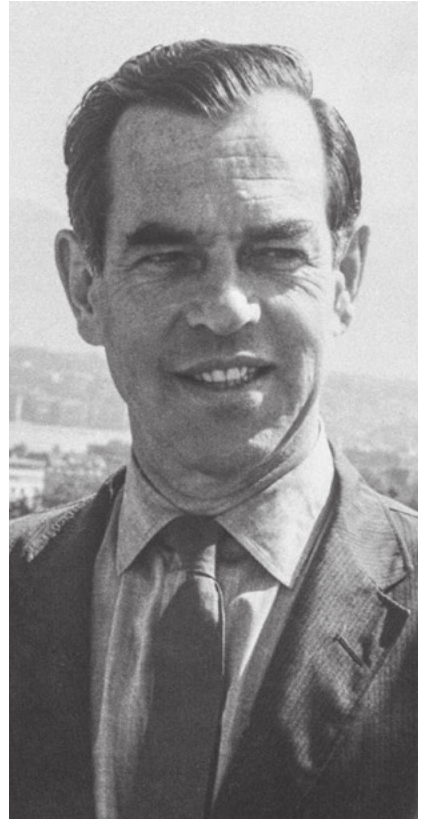

AP PHOTO / EAST NEWS

Joseph Campbell, 1973 r.

lecz także źródłem, z którego twórcy filmów, literatury czy gier do dziś czerpią natchnienia i pomysły. Sam zainteresowany tego jednak nie doczekał, zmarł rok przed emisją serii, w wieku 83 lat.

Tymczasem nowe wydanie polskiego tłumaczenia „Potęgi mitu" autorstwa nieodżałowanego Ireneusza Kani (pierwsze dostaliśmy w 1994 r.), wzbogacone o świetny wstęp Marcina Napiórkowskiego, ukazało się właśnie nakładem Znaku. Nasuwa się w związku z tym pytanie: czy ten przekaz wciąż brzmi tak atrakcyjnie, jak 37 lat temu, kiedy zarówno książka, jak i program okazały się wielkimi hitami? A może wręcz potrzebujemy go teraz jak nigdy dotąd?

Czytaj, ile się da

Zacznijmy od tego, że życie Campbella w specyficzny, bo nieoczywisty sposób ilustruje jego twórczość, twórczość zaś, analogicznie, odzwierciedla życie.

Urodził się w Stanach Zjednoczonych, w rodzinie irlandzkich katolików. Studiował nauki humanistyczne na Columbia University, pracę magisterską poświęconą średniowiecznej literaturze obronił w 1927 r. Zaraz potem wyjechał na stypendium do Paryża, gdzie zetknął się między innymi z działalnością Towarzystwa Teozoficznego oraz Jiddu Krishnamurtiego. Po powrocie chciał studiować sanskryt i sztukę współczesną, jego pomysły nie spotkały się jednak z aprobatą władz uczelni, zrezygnował zatem z dalszej oficjalnej edukacji i nigdy nie zrobił doktoratu. W 1938 r. ożenił się z Joan Erdman, tancerką i choreografką. Ich małżeństwo trwało 49 lat, nie mieli dzieci, większość wspólnego życia upłynęła im w dwupokojowym mieszkaniu w Greenwich Village w Nowym Jorku. Aż do emerytury pracował jako nauczyciel literatury w Sarah Lawrence College.

Mało spektakularne, nieprawdaż? Owszem, tyle że – co Campbell nieraz podkreślał, skądinąd za jednym ze swoich mistrzów, Carlem Gustavem Jungiem – to, co najważniejsze, wydarza się tak naprawdę w środku, a nie na zewnątrz. Rezygnacja z kariery akademickiej wyznaczyła symboliczny początek zupełnie nowego etapu w jego życiu. Lata 1929-1934, a więc czas wielkiego kryzysu, spędził w małym, wynajętym domku w miejscowości Woodstock w stanie Nowy Jork, gdzie – dosłownie – od rana do wieczora czytał. Literaturę piękną, filozofię, dzieła poświęcone religiom i mitologiom świata, wszystko, co tylko wpadło mu w ręce.

Owocem tych posiedzeń było nie tylko jego najważniejsze dzieło, wspomniany „Bohater o tysiącu twarzy", ale i pewna powtarzana potem nieustannie maksyma. Jeśli nie wiesz, co dalej robić, czytaj książki. Prędzej czy później znajdziesz w nich odpowiedź na trapiące cię dylematy. Rzecz jasna, nie każdy może się tym zajmować przez dziewięć godzin dziennie, czytaj więc po prostu tyle, ile się da.

W tej rekomendacji, tylko z pozoru brzmiącej jak fantazja jakiegoś odklejonego od „prawdziwego świata" kujona, skupia się zasadnicze przesłanie, które odnajdujemy zarówno na kartach „Bohatera...", jak i „Krajobrazu mitycznego", „Kwestii bogów" czy właśnie „Potęgi mitu". Brzmi ono: świat oraz życie mają sens i nie pochodzi on tylko z naszych głów. Rzeczywistość opiera się na pewnej szczególnej, niewidocznej na pierwszy rzut oka strukturze. Materia i umysł, dusza i ciało nie są wcale – jak nauczył nas myśleć Kartezjusz – osobnymi sferami, podobnie jak osobnymi sferami nie są przedmiot oraz pojęcie, rzeczy i słowa. Przeciwnie, ↦

↦ wszystko tworzy kontinuum, w którym prawie nic nie dzieje się przypadkowo. A jeśli się dzieje, to tylko dlatego, że przypadek także ma tu do spełnienia określoną rolę. Tego rodzaju rozpoznanie zaś najpełniej ujmują religia, mit, literatura i sztuka, a zatem – symbole i opowieści.

Ruszaj w drogę

Na tym w gruncie rzeczy polega cała koncepcja „monomitu" rozwinięta przez Campbella w książce, bez której nie byłoby „Gwiezdnych wojen". Istnieje oto – przekonywał w „Bohaterze o tysiącu twarzy" – pewien uniwersalny mityczny scenariusz. Obecny we wszystkich mitologiach świata, we wszystkich kulturach i epokach. Niezależnie od szerokości geograficznej, a także cywilizacyjnego zaawansowania danej społeczności, czytelny i zrozumiały dla każdego. Żeby go w pełnej krasie dostrzec, trzeba tylko rozmaite jego wcielenia i warianty „oskrobać" z lokalnych naleciałości.

A kiedy się już to zrobi, kiedy się spojrzy wprost w każdą z owych „tysiąca twarzy", wyłoni się z tej pozornej różnorodności jedna i ogólna „droga bohatera". Ma ona wedle Campbella siedemnaście etapów, podzielonych na trzy główne części. Pierwsza to odejście. Sytuacja, w której człowiek porzucić musi dobrze znaną, oswojoną rzeczywistość (np. wioskę lub rodzinę) i wyruszyć w drogę. Na szlaku – to część druga – czekają go zwątpienia, kryzysy i niebezpieczeństwa, ale i zaskakująco korzystne zbiegi okoliczności. W tym spotkanie z własną ciemną stroną, miłość, pojednanie z ojcem, a następnie powrót do punktu, z którego wyruszył. Tyle że powrót – część trzecia – w odmienionej już zgoła postaci, ze skarbem mądrości, którego można użyć w służbie czegoś większego od siebie.

Oczywiście mity rekonstruują tę historię rozmaicie, niektóre tylko fragmentarycznie, inne wręcz szczątkowo. Struktura jednak pozostaje taka sama zawsze i wszędzie. Dlatego Campbell był przekonany, że jest to model nie tylko mitycznej opowieści, lecz i życia każdego z nas. Tak czy inaczej – uważał – wszyscy doświadczamy tych zdarzeń, stanowią one zarazem tajemną matrycę, jak i dynamikę naszych życiorysów. Właśnie z tego powodu tak intensywnie działają na nas opowieści zbudowane według tego mitycznego schematu.

Podążaj za szczęściem

Głoszona przez Campbella filozofia, w myśl której rozmaite religie i mity wypływają, a zarazem wiodą do tego samego źródła, to jedna z ostatnich współczesnych prób stworzenia nowego uniwersalizmu. Szukającego punktów oparcia raczej na Dalekim Wschodzie niż w judeochrześcijaństwie, raczej w Indiach czy religiach archaicznych niż u Ojców Kościoła. Był to uniwersalizm tyleż nowoczesny – dostosowany do epoki globalizacji, w tym zagrożeń klimatycznych – ile wychylony w przeszłość. Uniwersalizm, który przekraczał lokalność, zwracając się ku temu, co ogólnoludzkie, nie zaś swoiste dla tej czy innej kultury, grupy etnicznej lub historii.

Jednym z najważniejszych dla Campbella myślicieli był w tym kontekście wspomniany C.G. Jung, twórca teorii nieświadomości zbiorowej i archetypów, również wielki współczesny uniwersalista. Ale na liście inspiratorów nie może zabraknąć także niemieckiego indologa Heinricha Zimmera, od którego Campbell zapożyczył swój styl interpretacji mitu nie jako baśni, wymysłu czy kłamstwa, lecz jako opowieści, która odnosi się do tu i teraz ludzkiego wnętrza.

Ci między innymi autorzy zostali swego czasu przez Jerzego Prokopiuka, wybitnego polskiego tłumacza i gnostyka, uznani za przedstawicieli tak zwanego „paradygmatu wyobraźni". Nurtu w XX-wiecznej humanistyce, który usiłował wyjść poza ortodoksyjne chrześcijaństwo z jednej strony, a materializm i scjentyzm z drugiej. Wyjść przez bramy mitu i religii nietraktowanych ani jako zasób dosłownej wiedzy o rzeczywistości, ani też głupstwo czy zabobon – lecz źródło metaforycznej prawdy o energiach, z których rodzi się to, co istnieje.

Warto dodać, że pośród uniwersalistów poszukujących takiej „filozofii wieczystej", pod rozmaitymi maskami ukrytej w religiach świata, byli w XX wieku i tacy – na czele z „tradycjonalistami integralnymi": francuskim filozofem René Guénonem oraz jego uczniem z Włoch, baronem Juliusem Evolą – którzy stali się inspiratorami albo admiratorami (to przypadek Evoli) faszyzmu, a nawet nazizmu. A dzisiaj ich dzieła czytane są chętnie przez przedstawicieli radykalnej amerykańskiej i europejskiej altprawicy, która w miejsce chrześcijańskiej powszechności stawia elitaryzm i autorytaryzm rzekomo odwiecznych hierarchii i porządków, które odtwarzać chce w warunkach tego świata. Istotą tradycjonalizmu jest bowiem bezwzględne potępienie współczesności, widzianej wyłącznie jako upadek i degeneracja względem doskonałej a zapomnianej (dodajmy: przez nich samych wymyślonej) Tradycji.

Nic takiego nie znajdziemy u Campbella, choć przeprowadza on własną, gruntowną krytykę zachodniej kultury, która zapomniała o mitologicznych źródłach sensu. Mark Sedgwick, brytyjski historyk i znawca tradycjonalizmu, w wydanej niedawno (wreszcie) po polsku książce „Przeciw nowoczesnemu światu" w ogóle jednak o Campbellu nie wspomina. A chociaż po jego śmierci niektórzy stawiali mu zarzuty antysemityzmu czy bigoterii – uczynił to na łamach „The New York Review of Books" jego wieloletni kolega Brendan Gill, ale odpierali lub dementowali inni znajomi

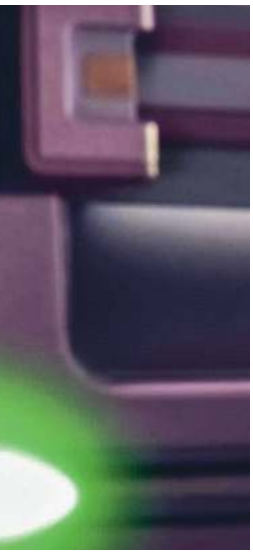

LMK / BE&W

– to projekt „podróż bohatera” zupełnie do tego typu postaw nie pasuje.

Jeśli już, bliżej mu raczej do filozofii New Age, ewentualnie – co również Campbellowi zarzucano – sprzęgniętego z nią neoliberalnego indywidualizmu. Wszak jedna z najsłynniejszych fraz ukutych przez autora „Bohatera o tysiącu twarzy” brzmiała „podążaj za tym, co cię uszczęśliwia” (*follow your bliss*). Tyle że owo „szczęście” nie ma wiele wspólnego z egoistycznym myśleniem w duchu Ayn Rand, zdecydowanie najbliżej mu do arystotelesowskiej eudajmonii, pełni biorącej się z harmonijnego rozwoju ludzkich potencjałów.

Głosuj na Skywalkera

A zatem czy dzisiaj – wróćmy do początkowego pytania – przesłanie Campbella może być w ogóle słyszalne? W świecie tak podzielonym i skonfliktowanym, balansującym na granicy globalnego konfliktu, zatopionym w celebracji najdrobniejszych różnic, ogarniętym tożsamościową obsesją? W świecie, w którym liczą się głównie efektywna propaganda, dywizje i zasoby finansowe?

Wydaje się, że jak najbardziej, a lektura „Potęgi mitu” zdecydowanie to potwierdza. Po pierwsze – na co we wstępie uwagę zwraca Marcin Napiórkowski – człowiek to istota, która łaknie opowieści, Campbell zaś jest po świecie wartościowych opowieści wytrawnym przewodnikiem. Po drugie natomiast – niezależnie od zastrzeżeń, jakie wobec jego prac zgłosili i zgłaszają akademiccy religioznawcy i antropolodzy – przekazuje on w prostych słowach i na wymownych przykładach jedną z najbardziej oczywistych, a zarazem najtrudniej dostrzegalnych dziś prawd. A mianowicie prawdę o podstawowej więzi pomiędzy świadomymi, żyjącymi, kochającymi, cierpiącymi i śmiertelnymi istotami. Pomimo wszelkich różnic, pomimo wzajemnych niechęci i nienawiści.

Ostatecznie, jest coś intrygującego w tym, że nic dziś tak bardzo nie łączy ludzi o odmiennych światopoglądach i systemach wartości jak... zamiłowanie do platform streamingowych. Tam zaś niepodzielnie królują opowieści zbudowane wedle receptur sformułowanych, a może raczej odkrytych przez Josepha Campbella. „Gwiezdne wojny” jako punkt wyjścia do społecznej przemiany? Biorąc pod uwagę, co o nich powiedział Lucasowi w 1984 r. – to by się mu z całą pewnością spodobało.

© TOMASZ STAWISZYŃSKI

Joseph Campbell, **POTĘGA MITU**, *przeł. Ireneusz Kania, Znak 2025. Nowe wydanie poprzedzone wstępem Marcina Napiórkowskiego*

Powyżej: Mistrz Yoda, „Gwiezdne wojny. Zemsta Sithów”, 2005 r.

Lektor:
Owce, jelenie i śledzie

▪ *Patrycja Bukalska*
ZIEMIA JEDNOROŻCA. PODRÓŻ PO SZKOCJI
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025, ss. 350. Seria „Sulina”.

Podróżniczo-antropologiczna seria Czarnego rozwija się dynamicznie. Ostatnio odwiedzaliśmy dwie europejskie wyspy, Sardynię i Gotlandię, Neapol oraz pewną żydowską ulicę w przedwojennej Warszawie – teraz ruszamy na północ Wielkiej Brytanii.

Uprzedzam – to jest trochę antyprzewodnik, łączący zachwyt urodą kraju z próbą opisania i zrozumienia dramatycznych przemian, które się w nim dokonały w minionych dwóch stuleciach. Bukalska nie tyle dekonstruuje romantyczny szkocki mit, ile zagląda pod jego podszewkę.

Dwa epizody. W 1824 r. król Jerzy IV złożył wizytę w Szkocji i pokazał się w Edynburgu w kilcie, wywołując entuzjazm; przecież noszenie tradycyjnych szkockich strojów było wcześniej przez jakiś czas zakazane. Wizytę organizował pisarz Walter Scott, współtwórca romantycznej mody na Szkocję. A zaledwie 10 lat wcześniej przypadł szczyt „czystek” – wysiedlania, często bardzo brutalnego, mieszkańców Highlands, by zrobić miejsce dla zyskownej wtedy hodowli owiec. Potem, gdy popyt na wełnę zmalał, owce zostały zastąpione przez jelenie – rozmnażające się bez naturalnych wrogów (bo wilki wytępiono), obiekt polowań.

I trzecie zwierzę z tytułu tej noty: śledź, poławiany aż do przełowienia. Tu pojawia się jeden z najciekawszych wątków książki: historia szczególnej społeczności kobiet, „dziewcząt od śledzi” towarzyszących rybakom – bo ryby trzeba było natychmiast wypatroszyć, zasolić i umieścić w beczkach. Bukalska świetnie pokazuje, jak ekonomia albo arbitralne decyzje wielkich posiadaczy ziemskich, czy później polityków (opowieść o likwidacji linii kolejowych!), wymuszały przemiany społeczne, czasem też wpływając na powstanie nowych tradycji, jak wzornictwo gęsto tkanych rybackich swetrów.

Jest tu też trochę o archeologii i tajemniczych Piktach, po których ślad ginie tysiąc lat temu. Są portrety szkockich przyjaciół i świadków historii. I spory o przeszłość: czy należy zburzyć górujący nad wybrzeżem pomnik odpowiedzialnego za „czystki” księcia Sutherland, i zastąpić go monumentem ku czci jego ofiar?

„Każda kolejna fala eksploatacji Szkocji zaciera ślady poprzedniej – pisze Bukalska – jak jelenie zastąpiły w Highlands owce, które wcześniej zajęły miejsce ludzi, tak w Aberdeen ropa wyparła rybaków”. I cytuje bohatera serialu „Platforma”: „Zostają blizny na bliznach, aż do samego początku”. ©℗

NARRACJE NIEOBECNE: DRUGA EDYCJA

Teatr Telewizji ogłasza drugą edycję konkursu na scenariusz Narracje Nieobecne. Jej tematem jest PRACA. Scenarzystki, scenarzystów, dramatopisarki, dramatopisarzy, wszystkie osoby piszące zapraszamy do nadsyłania historii o tym, jak dziś w Polsce pracujemy.

Na pytanie „kim jesteś?" większość z nas odpowiada uprawianym zawodem. Praca nas definiuje. Statystyki pokazują, że pracujemy w Polsce bardzo dużo, nieomal najwięcej w całej Unii Europejskiej – ale zarazem pracować nie lubimy, z wykonywanej pracy nie czerpiemy ani satysfakcji, ani poczucia sensu, a tzw. „work-life balance" to dla wielu raczej luksusowa ekstrawagancja niż codzienna rzeczywistość, w której z pracą częściej wiąże się raczej poczucie frustracji, stresu, alienacji, wypalenia.

Opowiedzieć o tym, jak dziś pracujemy, to opowiedzieć o naszym społeczeństwie. Przyjrzeć się zawiedzionym nadziejom i niespełnionym obietnicom późnego kapitalizmu, w którym bogaci wciąż się bogacą, a biedni wciąż biednieją. Dostrzec niewidzialne niewolnictwo tych, którzy wykonują zawody najgorzej płatne. Zastanowić się nad zmieniającym się przekrojem społecznym, ale też zapytać o to, czym jest i co może znaczyć dziś solidarność społeczna. Opowiedzieć o pracy to także spojrzeć w przyszłość – zdać sobie sprawę, że brakuje nam lekarzy, pielęgniarek, nauczycieli, pracowników służb mundurowych, i zapytać, co oznacza to dla nas i dla naszych dzieci. W wielu miejscach praca się automatyzuje – a w ślad za tym automatyzują się ludzkie relacje. Na miejsce jednych zawodów powstają inne. Kogo zastąpi w pracy sztuczna inteligencja – a kto będzie sprawował nad nią kontrolę? Czym będzie praca w dobie gwałtownych zmian społecznych i rewolucji cyfrowej? Jak będziemy pracować za 5, 10, 50 lat?

PRACA to dziesiątki i setki czekających na opowiedzenie historii – również tych, które zaglądają w mroczne zakamarki rzeczywistości, rzadko zyskujące swoje reprezentacje w kulturze. To historie, które można opowiedzieć na różne sposoby, w różnych stylach i gatunkach, od surowego dokumentu po science fiction – na wszystkie czekamy.

NAGRODA GŁÓWNA:

55 000 zł oraz realizacja scenariusza w formie spektaklu Teatru Telewizji

WYRÓŻNIENIA:

15 000 zł i 25 000 zł

Termin nadsyłania scenariuszy: 28 lutego 2026.
Wyniki i rozstrzygnięcie konkursu: w lipcu 2026.

Szczegóły i regulamin konkursu:
teatrtv.vod.tvp.pl

ZGŁOŚ SWÓJ TEKST I WYGRAJ 55 TYS. PLN ORAZ REALIZACJĘ TEKSTU W TEATRZE TELEWIZJI

MATERIAŁ PROMOCYJNY

REPERTUAR – PAŹDZIERNIK

TVP 1

Poniedziałki | 20:30

06.10 PREMIERA

MELODRAMAT*
reż. Anna Smolar

13.10 PREMIERA NA ŻYWO

SEPARATKA*
scen. i reż.
Joanna Szczepkowska

20.10 PREMIERA

RUDA*
Wawrzyniec Kostrzewski,
Małgorzata Sikorska-Miszczuk
reż. Wawrzyniec Kostrzewski

27.10

PODRÓŻ (2000)
Gerald Aubert
reż. Piotr Mikucki

Niedziela | 14:00

SCENA MŁODEGO WIDZA

26.10 PREMIERA

NIEZWYKŁA HISTORIA SEBASTIANA VAN PIRKA
Marcin Wicha
reż. Marek Zákostelecký

TVP KULTURA

Wtorek | 20:00

28.10

WUJASZEK WANIA
(1970)
Anton Czechow
reż. Jerzy Antczak

* Po emisjach oznaczonych spektakli premierowych zapraszamy na teatralne **POSTSCRIPTUM**, czyli rozmowę z twórcami.

Aktualności, opisy spektakli, bogate archiwum premier, a także rozmowy i podcasty dostępne na: **teatrtv.vod.tvp.pl**

Nagroda Conrada 2025: nominacje

To najważniejsze w Polsce wyróżnienie dla debiutujących pisarzy. W tym roku wśród nominowanych znaleźli się Marta Hermanowicz, Jul Łyskawa, Kinga Sabak, Izabela Tadra i Patryk Zalaszewski.

NAGRODA CONRADA powstała w 2015 roku, aby wspierać i wzmacniać nowe głosy w literaturze – te, które często znikają w natłoku innych premier. Fundatorem nagrody jest Miasto Kraków, a partnerami przedsięwzięcia są Fundacja Tygodnika Powszechnego i Krakowskie Biuro Festiwalowe – operator programu Kraków Miasto Literatury UNESCO. Co roku członkowie Kapituły wskazują piątkę nominowanych, spośród których zwycięzcę wybierają wspólnie Kapituła i czytelnicy w głosowaniu internetowym.

Laureat otrzymuje 30 tysięcy złotych, statuetkę Lunety Conrada, pobyt rezydencjalny w Krakowie i obecność na łamach „Tygodnika Powszechnego". Skład Kapituły Nagrody Conrada: Julia Fiedorczuk, Katarzyna Jakubowiak, Michał Paweł Markowski (przewodniczący), Monika Ochędowska, Joanna Szulborska-Łukaszewicz (sekretarzyni), Michał Sowiński, Olga Stanisławska oraz Marcin Wilk.

Zachęcamy do oddawania głosów przez stronę: **conradfestival.pl/nagroda-conrada**

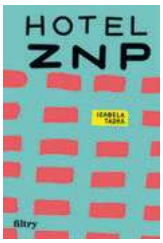

Izabela Tadra,
HOTEL ZNP
Wydawnictwo Filtry, Warszawa 2024

„Czy to nie zabawne, że najpierw chcemy być jak nasze matki, potem obiecujemy sobie, że nigdy takie nie będziemy, i robimy wszystko, by się od nich odróżnić, a w końcu widzimy w lustrze, krzywym zwierciadle nawyków i wyuczonych kwestii, ich parodię, nieudaną i pokraczną kopię?". Jedno z pierwszych zdań debiutanckiej książki Izabeli Tadry w dużej mierze zapowiada to, czego doświadczymy podczas lektury. „Hotel ZNP" to tekst, który – za sprawą głównej bohaterki, Belci – parodiuje stereotypowe kobiece role żon, córek i matek, a jednocześnie przed tymi rolami, po tropach Witolda Gombrowicza, ucieka. Proza nasycona bólem, ale też absurdem i zgrywą.

Drażniąca, gdy sięga do języka przemocy oraz słów, którymi kobiety się unieważnia. Wielojęzyczność i operetkowość w prozie Tadry zobaczyli twórcy Teatru Nowego w Łodzi, którzy przełożyli książkę debiutantki na język sceniczny (reżyseria: Kuba Kowalski, adaptacja i dramaturgia: Małgorzata Maciejewska). Spektakl został nagrodzony podczas Ogólnopolskiego Konkursu na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej (m.in. za rolę Belci, w którą wcieliła się Paulina Walendziak), niebawem pokaże go Teatr TV.

IZABELA TADRA (ur. 1977) – pisarka, studentka łódzkiej Szkoły Filmowej, była dziennikarka. Publikowała m.in. w „Bluszczu", „Pulsie Biznesu" i „Super Expressie". Od kilkunastu lat pracuje w branży PR, zajmując się komunikacją korporacyjną.

Marta Hermanowicz,
KONIEC
ArtRage, Warszawa 2024

„Koniec" Marty Hermanowicz to powieść o pamięci i dziedziczeniu traum – procesie, który nie ma prostego zakończenia. Osią fabuły są losy dwóch bohaterek – Lotki, deportowanej podczas wojny na Sybir, i Malwiny, dorastającej w Polsce kilka dekad później, która zaczyna doświadczać koszmarów swojej babki. Hermanowicz łączy realistyczne obrazy wypędzenia i wojennego głodu z narracją przypominającą sen czy majak, w której przeszłość bezustannie przenika do teraźniejszości. To proza, w której rodzinne wspomnienia i dziecięce wyliczanki mieszają się z widmami historii – od Piłsudskiego w „kryształowej trumnie" po duchy syberyjskiej krainy.

Hermanowicz udała się sztuka niełatwa – stworzyła bowiem opowieść o polskiej pamięci, która wyłamuje się obowiązującym od dłuższego czasu (najczęściej zbyt prostym) schematom. Przywoływane przez nią obrazy i strzępki języka nie układają się w linearną całość, lecz tworzą sugestywną mozaikę doświadczeń. A jednocześnie słychać tu echa tak charakterystyczne dla naszej kultury i zbiorowej wyobraźni – pojawiają się zjawy i demony polskiej historii, bez których trudno mówić o przeszłości. „Koniec", wbrew swojemu tytułowi, otwiera nowe ścieżki dla naszych opowieści o tym, co wspólne i bolesne.

MARTA HERMANOWICZ (ur. 1992) – pisarka, związana z branżą reklamową. Autorka powieści „Koniec" (ArtRage, 2024), nominowanej do Paszportów „Polityki". Laureatka Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania, uczestniczka programu CELA. Publikowała m.in. w „Twórczości" i „Piśmie".

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Jul Łyskawa,

PRAWDZIWA HISTORIA JEFFREYA WATERSA I JEGO OJCÓW

Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2024

Jedno wiadomo na pewno: rzecz dzieje się w miasteczku Copperfield w stanie Waszyngton, a głównym bohaterem jest stół, który potrafi mówić. A potem wszystko się rozpada, namnaża i kręci w kółko, próbując nas zwieść, jak to u postmodernistów.

Dla Jula Łyskawy literatura jest remiksem wielu powtarzalnych historii, zużytych gatunków i przeróżnych językowych rejestrów, toteż jego proza bawi się, nieustannie skacząc pomiędzy nimi. Ale „Prawdziwa historia..." to także całkiem pojemny przegląd stereotypowych obrazków amerykańskiej popkultury i schematów, na których została zbudowana. Jeśli przyjęło się, że debiutancka książka opowiada o doświadczeniach młodości, ta doskonale pokazuje, czym zostaliśmy nakarmieni, wpatrując się w latach 90. w ekrany telewizorów. Łyskawa wciąga do swojego uniwersum klasyczne dzieła Davida Lyncha, seriale, stare powieści przygodowe, kreskówki, romanse oraz wiele innych gatunków. Wszystko to miesza, a następnie przycina do różnych kształtów: dialogu, opowieści, audycji albo listów. „Prawdziwa historia..." zadaje pytania o granice powieści, sposoby budowania bohaterów (także tych kreowanych przez media) oraz w ogóle formy budowania współczesnych narracji.

JUL ŁYSKAWA (ur. 1984) – prozaik, absolwent Instytutu Kultury Polskiej UW. Laureat Paszportu „Polityki", Nagrody Literackiej m.st. Warszawy i Odkrycia Empiku. Publikował m.in. w „Ha!arcie" i „Arteriach".

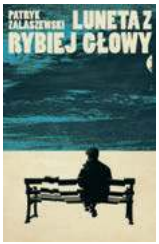

Patryk Zalaszewski,

LUNETA Z RYBIEJ GŁOWY

Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2024

„Luneta z rybiej głowy" to zbiór mikrohistorii, w którym realizm życia małej nadmorskiej wspólnoty rybackiej łączy się z oniryczną atmosferą właściwą opowieściom o krainie dzieciństwa.

Codzienność mieszkańców – wypływanie na połów jeszcze przed świtem, niebezpieczeństwo sztormów, ciężka praca przy sieciach – została opisana oszczędnie i sugestywnie. Równocześnie autor nadaje temu światu aurę wspomnienia ze świata, którego już nie ma – zostało po nim jedynie puste i wietrzne miejsce, które wypełnia tęsknota wymieszana z fantazją. Obserwować je można już tylko z daleka, jakby przez lunetę, zrobioną choćby i z rybiej głowy.

Zalaszewski stworzył ciekawy obraz dorastania chłopca, ostatnio rzadko spotykany w polskiej prozie. Nadmorska kraina to także przestrzeń inicjacji, gdzie narrator po raz pierwszy spotyka się z traumami dorosłości – śmiercią, wykluczeniem czy dojmującą samotnością. Ale w tej surowości, którą nieustannie podkreśla obecność zimnego morza (będącego jednocześnie źródłem wspaniałych metafor), można znaleźć dużo ciepła i czułości. To książka, która wnosi do polskiej literatury unikalny krajobraz – świat rozciągający się wzdłuż metafizycznej pustki, zaludniony przez ludzi, którzy potrafią się w niej zadomowić.

PATRYK ZALASZEWSKI (ur. 1996) – scenarzysta i autor opowiadań. Laureat Nagrody im. Siegfrieda Lenza oraz konkursu Wydawnictwa Czarne, PIW i „Dwutygodnika". Nominowany do Nagrody im. Gombrowicza i Nagrody-Stypendium im. Barańczaka. Mieszka w Warszawie.

Kinga Sabak,

TROCHĘ Z ZIMNA, TROCHĘ Z RADOŚCI

W.A.B., Warszawa 2024

Zanim w ogóle dowiemy się, o czym chce nam powiedzieć w debiutanckim zbiorze opowiadań Kinga Sabak, natykamy się – w formie motta – na słowa Daniela Rycharskiego. Ten artysta wizualny i wyoutowany gej jest jednym z ważniejszych patronów książki, a jednocześnie ważną osobą dla samej autorki. Rycharski wrócił po studiach do rodzinnej wsi, by do swoich działań artystycznych, poszukujących miejsca dla społeczności LGBTQ+ w Kościele katolickim, angażować rodzinę i sąsiadów. Debiutancki zbiór opowiadań Kingi Sabak również zawiera wątki ludowej pobożności oraz przekraczania wstydu związanego z odkrywaną powoli tożsamością, choć nie jest wezwaniem do aktywizmu (jak w przypadku twórczości Rycharskiego), a kameralną opowieścią o dorastaniu.

Kilkuletnia Ola coraz częściej czuje się Olkiem, a może nawet kimś, kto powinien nazywać się po prostu Alex. A jednocześnie osobą religijną, szukającą ukojenia i zrozumienia w społeczności osób wierzących. Najważniejsze w tej historii jednak jest to, że Sabak bierze do swoich opowieści dokładnie tyle słów, ile potrzeba. Raczej za mało niż za dużo. W czasach nadmiaru to naprawdę przyjemne odświeżenie.

KINGA SABAK (ur. 1993) – pisarka, wicenaczelna magazynu kulturalnego „Mint". Mieszka w mieście, choć związana z wsią. Pasjonuje się literaturą i kulturą popularną.

17. NADZIEJA RADYKALNA.
CONRAD FESTIVAL
20 — 26.X.2025
KRAKÓW

ORGANIZATORZY
Kraków
kbf: KRAKÓW MIASTO LITERATURY UNESCO
Fundacja Tygodnika Powszechnego

DOFINANSOWANIE:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

PAWEŁ

Bravo:
Pichcenie gwiazdek

Pięć gwiazd zaledwie mieści się na nieboskłonie nowoczesnego konsumenta. Właściwie są to gwiazdki – oto w świecie ograniczonym do tego, co zmieści się na szybce telefonu, wszystko podlega miniaturyzacji. Może tylko nienasycenie pragnień i pustka w duszy pośród wiecznie dostępnego tłumu pozostają tu w nieznośnie ludzkich proporcjach. Od kiedy zostałem użytkownikiem usług online, nie przestaje mnie dręczyć pytanie, dlaczego skala pięciu gwiazdek jest złotym standardem w systemach ocen, a nie np. dziesięciu, co by pozwoliło na większą jej rozdzielczość? Na dokładne rozróżnienie między „przyzwoity, ale szału nie ma" a „całkiem niezły, choć nie powala". Nawet nasza szkoła, niesłynąca wszak z przesadnej dokładności w podejściu do każdego dziecka, posługuje się aż sześcioma liczbami, by ocenić stopień rozjechania młodych umysłów przez walec programu. Dantemu potrzeba było kręgów aż dwa razy po dziewięć, żeby z grubsza usystematyzować możliwe postaci zła i dobra – przy czym widać, jak energia jego rozgadanej ciekawości człowieka dusi się w tym podziale, narzuconym przez średniowieczną teologię.

Podejrzewam, że odpowiedź musiałaby prowadzić nas do przypadku, jak to często bywa z rzekomo hiperpragmatycznym obszarem zastosowań technik informatycznych. Ot, komuś gdzieś na początku internetów tak pasowało ustawić, choćby dlatego, że pięć to ładna, okrągła liczba. A teraz ten przypadek kształtuje już niemal bez reszty nasz stosunek do codzienności i wpływa na podejmowane w niej czynności. Zarówno te bolesne i przyziemne, gdy np. musimy wybrać lekarza lub zakład pogrzebowy, jak też i domenę rozrywki, która w rozwiniętych społeczeństwach bogatej części świata stała się zadaniem poważnym, o znacznym ciężarze egzystencjalnym, poddana jest zatem surowym rytuałom i ocenom. Przyjemność to też projekt. I to z tych priorytetowych, na tzw. asapie. Nie możesz się bawić byle jak, byle gdzie i byle czym.

A co ci pomoże zoptymalizować wybór? Sprawdź gwiazdki. Dlatego oceny i opinie użytkowników, przedstawiane sumarycznie na skali od 1 do 5, stały się kluczem do powodzenia lub upadku każdego handlu w sieci. A także usług, nawet tych świadczonych w trójwymiarowym realu, szczególnie tam, gdzie bardziej niż cena decyduje nieuchwytny współczynnik zaspokojenia oczekiwań i aspiracji. Czyli np. w dwóch filarach turystyki, jakimi są noclegi i jedzenie.

ADOBE STOCK

Na hotelach i pensjonatach się nie znam. Ale sporo się jednak nauczyłem, będąc po drugiej stronie gastronomii, w tych wszystkich ciasnych klitkach i kiszkach zwanych kuchnią lub zapleczem, w opustoszałych po zamknięciu salach przypominających pobojowisko po odejściu Tatarów (bez urazy!), sprzątane ostatkiem sił przed jutrzejszym nowym spektaklem. I jest to wiedza dla każdego oczywista, od prostego studenta zatrudnionego przez sezon na tzw. szklankę, aż po szefa zmiany, liczącego ostatkiem sił utarg, i jeszcze wyżej – menedżera, który przyjdzie rano i zza zasłony Excela będzie wyrażał troskę o przyszłość: gwiazdki są wszystkim. Możesz się starać, mieć świetny lokal, sprawną obsługę i niezły adres, ale to cyferki cię poniosą albo pogrążą. Wszystko poniżej 4,5 w opiniach Google'a i kluczowych serwisów recenzyjnych to przegrana. Zwłaszcza w miejscach, które zależą w dużym stopniu od przyjezdnych. A żaden lokal w centrum dużego miasta, poza kafejkami na parterach szklanych korpo-wież, nie wyżyje bez nich.

Dlatego lwia większość wyników przy dowolnym wyszukiwaniu gastronomii w jakiejś okolicy mieści się właśnie w przedziale powyżej 4,5. Walka idzie już nie o pełne gwiazdki, tylko o dziesiętne ułamki piątej. Walka często nie całkiem czysta. Owszem, zdarzają się realni frustraci, mający na Google po dwieście szczerze i za darmo napisanych opinii pełnych bezinteresownego czepiactwa i roszczeń. Ale znaczna ich część, zwłaszcza tych złych, to skutek działania firm oferujących wielorakie usługi: mogą wygenerować peany na twoją cześć albo zdołować konkurencję, dysponując setkami kart sim (bo serwisy internetowe odsiewają oczywiście tępe próby pisania stu recenzji z jednego telefonu) i do-

brze wyszkolonymi pracownikami (bo opinie pisane przez boty też łatwo odsiać). A potem mogą za jeszcze lepsze pieniądze usunąć złe recenzje – płaci się za to abonament. Kiedy zaś ten wygaśnie, to nagle tych jednogwiazdkowych paszkwili przybywa z dnia na dzień. Prosta logika przestępczego wymuszania ochrony.

Dopiero co w Brukseli pod egidą stosownego komisarza główne platformy pośrednictwa oraz organizacje branżowe podpisały szumnie kodeks dobrych praktyk. Przewiduje m.in. wysiłki na rzecz weryfikacji, czy autorzy opinii faktycznie skorzystali z recenzowanej usługi, poza tym jasno wyłożone regulaminy weryfikacji treści i sposobów ich kontestowania oraz informowanie, jak algorytmy agregują zbiorcze gwiazdki. I wiele jeszcze innych życzeń zdrowia, szczęścia i pomyślności. Mam potworne *déjà vu*, podobne kampanie pod hasłem „koniec z fałszywymi opiniami" lądują w mojej szufladzie z wycinkami od kilkunastu lat, to znaczy od kiedy mnie ten rodzaj fałszu bezpośrednio dotyczy, a aplikacje w smartfonach stały się kompasami do wszystkich decyzji. Moment wypuszczenia tego najnowszego kodeksu wydaje się szczególnie celnie dobrany: większość z nas ma już wakacje i wyjazdy za sobą, więc do lata się o wszystkim zapomni. Przecież nie będę wam psuł planowania wakacji w czerwcu!

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Tarta jesienna z brokułem

Tak się wzmogłem w złości na wszelkie gangi i mafie, że powinienem ją rozładować przepisem na jakąś ośmiornicę. Ale znam tylko jeden ciekawy, poza tym mam coraz większe problemy moralne (a może to za duże słowo?) z jedzeniem tego zwierzęcia. Odpuśćmy. Z kolei pasta alla lupara (to słowo oznacza po włosku obrzyna, którym regulowano porachunki między klanami) wymaga trudno w Polsce dostępnej kalabryjskiej ostrej kiełbasy oraz mnóstwa tłustej śmietany. Może lepiej zróbmy coś pozytywnego, jesienno-kolorowego i na pewno zdrowego.

SKŁADNIKI:
1 duży brokuł 1 filecik anchois 1 duża marchew 1 duży burak 1 cebula 250 g ricotty 1 jajko ▪ garść parmezanu ▪ gotowy kruchy spód do tarty

Oddzielamy różyczki brokuła od głąba. Różyczki wrzucamy do osolonego wrzątku i blanszujemy 3 minuty, odstawiamy. Głąba kroimy na drobne kawałki, dajemy na patelnię, na której wcześniej podgrzaliśmy rozgnieciony ząbek czosnku i 1 filecik anchois, dolewamy parę łyżek wody z blanszowania, dusimy pod przykryciem, aż zmięknie, miksujemy na pastę. Na trzech łyżkach oliwy szklimy powoli drobno posiekaną cebulę. Dodajemy starte na grubej tarce buraka i marchew. Podsmażamy wszystko razem przez minutkę, ciągle mieszając. Potem dolewamy ok. 50 ml wody, przykrywamy, dusimy 10 minut, mieszając co jakiś czas. Solimy, doprawiamy czymś ostrym. Po dokładnym wystudzeniu dodajemy do warzyw ricottę, mieszamy, następnie jajko, garść parmezanu i sól, znów mieszamy.
Spód do tarty z kruchego ciasta smarujemy pastą z brokuła (jeśli zostanie, zachowajcie do kanapek, jest pyszna!). Na to idzie masa z marchwi i buraka, a całość dekorujemy różyczkami brokułu. Pieczemy w 180 st. C przez ok. pół godziny, aż ładnie wszystko stężeje. ©℗

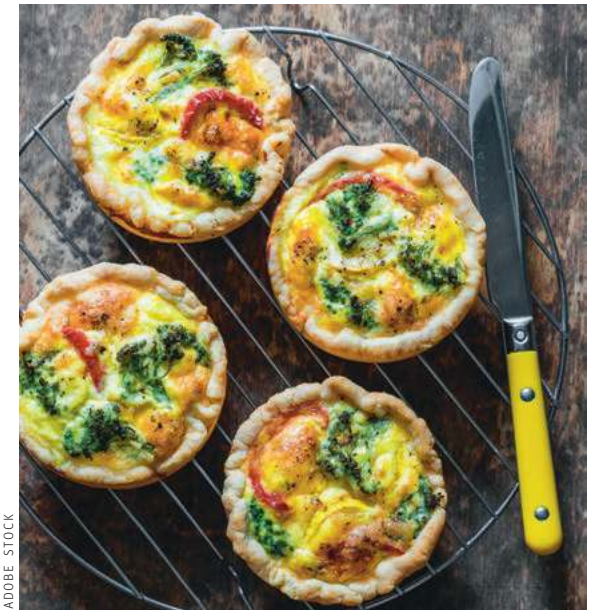

ADOBE STOCK

PSYCHE

BLISKOŚĆ BEZ BAJKI

TOMASZ SZLENDAK, SOCJOLOG:

Wszystko się zmieniło, za wyjątkiem obyczaju. Brakuje nowej formy wiążącej nas w stałe pary, w miejsce miłości romantycznej, która nie ma już prawa skutecznie działać.

PAPER TRIDENT / ADOBE STOCK X6

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Słowa przysięgi małżeńskiej: „i nie opuszczę cię aż do śmierci" mają jeszcze moc?

TOMASZ SZLENDAK: A wie pani, że to Kościół katolicki był pierwszą instytucją, która w Europie akceptowała tzw. małżeństwo z miłości? Para, której nie uznawały rodziny, mogła uciec do świątyni, gdzie udzielano jej sakramentu małżeństwa. Mieli tylko zadeklarować, że nie wyobrażają sobie życia bez siebie.

I to jest właśnie podstawowy składnik miłości romantycznej?

To jest ta miłość, w której my decydujemy, z kim chcemy żyć. Kluczowa jest tu wolna wola. Ale proszę też mieć na uwadze, że małżeństwo zostało wymyślone wtedy, kiedy średnia długość jego trwania mogła wynosić maksymalnie 15 lat. Jakość życia, choćby w państwach europejskich, była dalece niższa niż dzisiaj. Przeciętny mężczyzna brytyjski jeszcze na początku XX w. żył mniej więcej 42 lata, w związku z czym perspektywa małżeństwa aż po grób nie wydawała się nierealistyczna. Dla porównania: dziś kobiety żyją plus minus 80 lat, a mężczyźni krócej o osiem.

Czyli długość życia warunkuje trwałość małżeństwa?

Oraz procesy emancypacyjne, których beneficjentami nie są kobiety, lecz mężczyźni...

Słucham?

Bez wątpienia kobiety przeszły zbiorowy awans społeczny: zdobywają wyższe wykształcenie, co łączy się z ich bardziej prestiżowymi zawodami, statusem, zarobkami. Kobiety na procesach emancypacyjnych coś więc zyskały, poza tym jednym: w większości przypadków marzą o miłości romantycznej, a nie mają jej z kim realizować.

Dlaczego?

Problem w tym, że wysokojakościowi mężczyźni z klasy średniej, którzy mogliby być partnerami dla kobiet, nie chcą się angażować w związki. Lub wykazują tendencję do przedłużania okresu, w którym eksperymentują na rynku matrymonialnym, traktowanym, mówiąc brutalnie, jako ten z usługami seksualnymi.

Ale dlaczego nie chcą się angażować?

Nie chcą brać odpowiedzialności, inwestować w związek, z którego biorą się dzieci, a na nie trzeba przecież łożyć. Na przykład Szwedki mogą spokojnie wychowywać swoje dzieci w układzie jednoosobowym, w gospodarstwie domowym wspieranym wyłącznie przez państwo i bez obecności mężczyzny.

A Polki?

Nadal nie mają takiego komfortu. Do opieki nad dzieckiem i do zapewnienia mu odpowiednich zasobów potrzeba u nas dwojga. I chociaż wiemy, że od dziesięciu lat około

20 proc. dzieci w Polsce nie przychodzi na świat w małżeństwach, to nadal rodzą je kobiety w stałych związkach, a nie singielki.

A ten „wysokojakościowy" mężczyzna to dawny książę z bajki?
Wykształcony, dobrze zarabiający, pochodzący z odpowiedniego domu i z pozycją społeczną.

Na przykład prezes banku?
Niekoniecznie. To powinien być mężczyzna z ambicjami i rokujący. Taki, który za 20 lat może zostać tym prezesem, albo co najmniej znaleźć się w środku machiny bankowej.

I to dla kobiet ma być magnesem?
Ten typ na pewno jest poszukiwany. Wyemancypowane kobiety na rynku pracy są coraz bardziej równe wysokojakościowym mężczyznom. Luka płacowa w Polsce wynosi obecnie zaledwie 7 proc. O tyle mniej zarabiają kobiety na tych samych stanowiskach co mężczyźni. W związku z tym stawiają im coraz wyższą poprzeczkę. Wykształcona, pnąca się po szczeblach kariery kobieta będzie szukała mężczyzny przynajmniej równie sprawnego ekonomicznie i społecznie, co ona.

To dlaczego ci wysokojakościowi mężczyźni nie chcą się angażować w relacje z wysokojakościowymi kobietami?
Zmienił się kulturowy układ. Porównajmy dzisiejszą sytuację z początkiem wieku XIX. Wtedy mężczyźni uzyskiwali status właśnie poprzez małżeństwo. Bez żony i dzieci nie mogło być mowy o pozycji mężczyzny na poziomie. Dlatego mężczyźni dążyli do tego, by rodziny zakładać.

Przed wojną zawodowy wojskowy, by wziąć ślub, musiał uzyskać zgodę od przełożonego, który decydował, czy ów żołnierz jest wystarczająco odpowiedzialny, by zostać głową rodziny.
A dziś nierówności społeczne i ekonomiczne między mężczyznami są statystycznie daleko większe niż te w obrębie populacji kobiet. Inaczej mówiąc, ok. 30 proc. mężczyzn pozostaje na marginesie: nie posiadają cech poszukiwanych na rynku matrymonialnym. Lokują się na drugim biegunie wysokojakościowego mężczyzny. Rzecz jasna, z nimi też współczesna kobieta nie może zbudować związku, bo zwyczajnie są dla niej niewidzialni.

Gdzie więc lokują się wykształceni, dobrze prosperujący mężczyźni, którym jednak w pewnym momencie powinęła się noga i stracili finansową płynność?
Proszę spojrzeć na wyrwy, które zrobiły rozmaite momenty historyczne, w tym tak istotne jak polski Czerwiec 1989 r. Po pierwsze, zmienił się status mężczyzny, który przez kilkadziesiąt lat w PRL dawał gwarancję sukcesu na rynku matrymonialnym. Nawet bycie robotnikiem wykwalifikowanym czy szefem zmiany umożliwiało raczej bezproblemowe znalezienie pary. To samo dotyczy kobiet, które migrowały ze wsi do większych miast, by zasilić zakłady przemysłowe.

A po drugie?
Transformacja ustrojowa nałożyła się na zmiany w obrębie systemu pracy, bardzo silnie związane z postępem technologicznym. Zmienił się więc świat i rozregulowały się zasady jego funkcjonowania. Część mężczyzn technologia wypchnęła z rynku pracy albo sprawiła, że zajmują dziś niskie pozycje. Upadło wiele przedsiębiorstw, a mężczyźni często nie potrafią sobie poradzić w nowych okolicznościach. Przekazują wzorzec nieradzenia sobie własnym synom, co mocno wpływa na nowy typ męskości dającej się zaobserwować w pokoleniu dzisiejszych 20- i 30-latków.

Tak łatwo dziedziczy się bezradność?
Owszem, rozumianą jako pasywność i wycofanie.

Na to samo wychodzi.
Można te cechy zestawić z silnym kapitalizmem w swojej rozwojowej fazie w USA lat 60. Wtedy obowiązywał wzorzec *self-made mana* – kogoś, kto dobrze sobie radzi na wolnym rynku. I ten wzorzec był przekazywany z ojca na syna. U nas to się pozrywało. Ojcowie nie dysponowali wzorcami, które mogłyby się przydać ich synom w nowych, kapitalistycznych okolicznościach.

Chodzi tu wyłącznie o ekonomię?
Niektóre kobiety mają za sobą doświadczenie trwałych związków, które niejednokrotnie, nawet przy ich wysokiej pozycji społecznej i zasobach, powodowały, że to głównie one musiały wysilać się w domu przy garach. Przez kolejne dekady sprawowały funkcje opiekuńcze zarówno nad dziećmi, jak i nad partnerami, a po drodze też rodzicami i teściami.

Badania pokazują, że we Francji kobiety w wieku 55+, kiedy dzieci wyprowadzają się z domu, coraz częściej decydują się na rozstanie z mężem i zaczynają żyć po swojemu. Mają za sobą etap, do którego już nie chcą wracać. Mówią, że co jak co, ale nie wrócą już do trwałego związku, który, choć był oparty na miłości romantycznej, sprowadził się do niebotycznej liczby obowiązków. ↦

↦ **Te Francuzki można spotkać np. w Maroku, w towarzystwie młodszych mężczyzn. W ten sposób spędzają tam wakacje: one czerpią korzyści towarzysko-seksualne, oni – materialne.**

To jeden ze sposobów podnoszenia samooceny w związku z młodszym mężczyzną.

Przez finansową transakcję?

W turbokapitalizmie to transakcja jak każda inna. Wytworzył on konsumentów, którzy mają wysokie oczekiwania. Nie tylko w ramach kupna czy usług, ale w każdej innej sferze życia, od religii po dobrostan psychiczny. Istnieje twarde oczekiwanie, że towar będzie spełniał warunki, które postawił konsument. Jeśli tak się nie dzieje, a towar jest wybrakowany, to konsument wpada w gniew i frustrację. Mało tego: jest przekonany, że do tego gniewu ma prawo.

I ta kapitalistyczna postawa przekłada się na związki międzyludzkie?

Partnerów i partnerek poszukuje się dziś na podobnych zasadach. Mają spełniać określone warunki. Co więcej, te warunki się mnożą i mnożą. On ma być wysportowany, zdecydowany, ale też wrażliwy, empatyczny. Kobiety mają coraz więcej wymagań wobec potencjalnych partnerów długoterminowych. I to jest też odpowiedź na pytanie, dlaczego mężczyźni unikają trwałych związków.

Proponuję nazwać po imieniu: boją się.

Jeśli ktoś na rynku matrymonialnym randkuje bezskutecznie, dostrzegając, że kolejnym potencjalnym partnerom czegoś brakuje, to z czasem wpada w gniew, a potem w nienawiść do całej kategorii. Ta konsumencka postawa mocno się przekłada na nieskuteczność poszukiwań. Zaczynamy się zachowywać, jakbyśmy przechadzali się po wielkim sieciowym sklepie, w którym ludzie umieszczają swoje profile, a my decydujemy, który z tych profili nam najbardziej odpowiada. I ten wybrany wkładamy do koszyczka.

To zasada działania aplikacji randkowych.

W Polsce na co dzień używa ich 2,5 mln ludzi. Korzystają z nich osoby między 18. a 44. rokiem życia. Powszedniość używania aplikacji maleje więc z wiekiem, ale nie spada do zera.

Kłopot pojawia się w momencie, kiedy ludzie, którzy poznali się w internecie, spotkają się oko w oko: usłyszą swój głos, poczują zapach, zobaczą, kto jak się porusza. I pojawia się problem wynikający ze zderzenia profilu z realem.

Wyobrażenie o sobie przegrywa z realnością?

No bo kto na profilu randkowym przedstawia się w złym świetle? To ma być zachęta, wizytówka. Trzeba przyciągnąć uwagę i poruszyć kogoś na tyle, by zechciał nawiązać kontakt. W ten sposób ludzie wybierają w nieskończoność, cały czas licząc, że znajdą kogoś lepszego. Profile zlewają się w jedną, wielką, szarą kałużę. W socjologii mówi się, że to aplikacje do niewybierania. Ich celem nie jest łączenie ludzi w związki, tylko utrzymywanie ich w stanie samotności. Sprzyja to powrotom do aplikacji i do niekończących się poszukiwań ideału.

Czyli aplikacje randkowe nie mają sprawczości swatki?

Swatka działała dawniej na ograniczonym terytorium, np. w parafii. Posiadała wyjątkową wiedzę dotyczącą tego, kim są ludzie, co robią, z jakiej pochodzą rodziny, czym się cechują, jakie mają rysy osobowości i kogo z kim można połączyć na tyle skutecznie, by nie było strat po żadnej ze stron.

A dziś w aplikacji możemy jednym pociągnięciem palca rozszerzać promień naszego rażenia do 50 km od miejsca zamieszkania. Ba, na cały kontynent.

Co jest mało praktyczne.

Przez większość naszej historii funkcjonowaliśmy w świecie, w którym związki były aranżowane przez kogoś z zewnątrz. Jak nie rodzice, to właśnie swatki. Były też one trwalsze z powodów religijnych. Na Zachodzie instytucja małżeństwa niekoniecznie musiała zawierać komponent uczuciowy. Albo jeszcze inaczej: emocje, intymność, bliskość pojawiały się na późniejszych etapach. Historia społeczna pokazuje, że sporo związków zaaranżowanych okazywało się udanymi.

Więc to ma sens?

A nawet pewną przyszłość. W tym wielkim zamieszaniu, zagonieniu, braku czasu na spotkanie i poznanie drugiego człowieka, będą powstawać poważne firmy – zatrudniające psychiatrów i seksuologów – zajmujące się tym, czym kiedyś swatki. Ma się rozumieć, będzie to oferta dla klasy średniej i możnych tego świata. W sumie to ogólna tendencja: jak grzyby po deszczu powstają zawody nastawione na nasz dobrostan. Nie jesteśmy w stanie sobie sami z problemem poradzić, więc rozwiązywanie kłopotów przerzucamy na instancje zewnętrzne.

W Pana książce „Miłość nie istnieje" zaznaczyłam frapujący fragment, w którym powołuje się Pan na socjologa Erica Andersona. Twierdzi on, że zdrada w wykonaniu mężczyzn jest racjonalną odpowiedzią na irracjonalne oczekiwania związane z monogamią seksualną.

TOMASZ SZLENDAK (ur. 1974) jest socjologiem. Prof. dr hab. na Wydziale Filozofii i Nauk Społecznych UMK. Bada przemiany obyczajów, praktyki kulturalne, praktyki socjalizacyjne i relacje między płciami. Wydał m.in. „Leniwe maskotki, rekiny na smyczy. W co kultura konsumpcyjna przemieniła mężczyzn i kobiety", „Socjologia rodziny. Ewolucja. Historia. Zróżnicowanie", „Nowe praktyki kulturowe Polaków. Megaceremoniały i subświaty" (z Krzysztofem Olechnickim). Ostatnio w Znaku ukazała się jego nowa książka: „Miłość nie istnieje. Związki, randki i życie solo w XXI wieku".

ARCHIWUM PRYWATNE

Anderson idzie jeszcze dalej i mówi, że monogamia rozumiana jako seksualna wyłączność jest społecznie wymuszana i jako taka wyrządza krzywdę wielu ludziom i związkom.

Pełna brawura.

Monogamia odegrała jedną z kluczowych ról w ewolucji *Homo sapiens*. Pojawienie się monogamicznych par nakierowanych na opiekę nad dziećmi – bo to jest tu kluczowe – zaowocowało szeroką współpracą między rodzinami. Wiązanie się w długotrwałe pary przesądziło o budowaniu złożonych sieci relacji społecznych, wymagających rozwinięcia inteligencji społecznej.

Czyli monogamia jest wbrew ludzkiej naturze?

Tylko ta rozumiana jako seksualna wyłączność. Panuje przekonanie, powtarzane też przez uczonych badających niewierność, że do seksu poza parą motywuje ludzi głównie brak zadowolenia z obecnego związku i chęć znalezienia atrakcyjniejszego partnera. W rzeczywistości spektrum motywacji jest szersze. Ludzie mogą czerpać satysfakcję ze związków, a mimo to angażują się w poboczne przygody seksualne. O poziomie satysfakcji z obecnej relacji decyduje przyjaźń z partnerem, a nie seks, który z czasem mógł zejść na dalszy plan. Do zdrady może zatem prowadzić brak seksu.

PAPER TRIDENT / ADOBE STOCK X6

Z badań przywołanych w książce jasno wynika, że Polki i Polacy zdradzają się na potęgę.

Miłość romantyczna składa się z kilku części pierwszych. To intymność, namiętność i zaangażowanie, które wzorzec tej miłości nakazuje realizować z jedną i tą samą osobą. A one nie muszą być realizowane z jedną osobą. Możemy te poszczególne komponenty realizować z innymi osobami. I to właśnie seks pierwszy oddzielił się od maszynerii miłości romantycznej. Nagle okazało się – w Europie mniej więcej w czasach kontrkultury końca lat 60., a w Polsce gwałtownie po transformacji – że można go uprawiać przed, w trakcie i obok związku.

To nie hedonizm?

Raczej próba odnalezienia się w nowym świecie, w którym wszystko się zmieniło, za wyjątkiem obyczaju. Brakuje jakiejś nowej formy wiążącej nas w stałe pary, w miejsce miłości romantycznej, która nie ma prawa w tych zmienionych okolicznościach skutecznie działać. Ale wciąż istnieje tęsknota za tym modelem, w dużej mierze przy niemożności jego realizacji.

A wpływ pornografii na jakość relacji międzyludzkich?

Pornografia umożliwia sporej grupie mężczyzn unikanie wchodzenia na rynek matrymonialny. Bo specyfika męskiej seksualności dalece różni się od kobiecej. Mężczyźni mogą zaspokoić swoje potrzeby seksualne w zaciszu domowym z dwuwymiarowym obrazem. Natomiast większość kobiet nie jest w stanie tego zrobić, ponieważ do podniecenia nie wystarczy im zdjęcie mężczyzny. Przeważnie potrzebują licznych bodźców, odpowiedniego kontekstu, otoczenia, anturażu. Więc mężczyźni, zwłaszcza ci młodzi, wycofujący się z realnych konkurów o partnerki, poprzestają na pornografii, do której mają teraz nieograniczony dostęp. Efekt jest taki, że prawie 30 proc. amerykańskich mężczyzn do 29. roku życia nie miało żadnych kontaktów intymnych z kobietami w ciągu ostatniego roku.

A polscy mężczyźni?

Dysponujemy wynikami badań, z których wynika, że młodzi Polacy nagminnie z niej korzystają. Co zapewne w dużym stopniu osłabia ich chęć wchodzenia w kontakty z kobietami.

Nasuwa się pytanie o starość ludzi, którzy nie tworzą stałych związków.

Będziemy musieli przywyknąć do świata, w którym potrzeba bliskości nie jest już zabezpieczana przez romantyczną bajkę. I sądzę, że dojdzie do racjonalizacji zaspokajania tej potrzeby bliskości. Ona przecież nie zniknie. Może będą powstawać domy spokojnej starości, ale rozumiane jako rodzaj komun. Zamieszkają tam ludzie, którzy zdecydują się żyć razem na ostatnich etapach życia po to, by się wspierać. W takich okolicznościach będą się tworzyć bliskie relacje, ale niekoniecznie realizowane w parze. © Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

TOMASZ

Stawiszyński: *O potrzebie dyskomfortu*

Słynny esej Zygmunta Freuda „Das Unbehagen in der Kultur" – czyli „Kultura jako źródło cierpień"; Jerzy Prokopiuk przetłumaczył ten tytuł z właściwą sobie finezją i umiejętnością tworzenia zapadających w pamięć bon motów – przynosi pewną przenikliwą obserwację: rzeczywistość społeczna wiąże się z nieusuwalnym dyskomfortem (*das Unbehagen*). Rozmaicie się w skali całego życia ów dyskomfort rozkłada – inaczej odczuwa go niemowlę, inaczej pięcio-, piętnasto-, czterdziestoczy osiemdziesięciolatek – niemniej występuje on zawsze i bezwarunkowo. Jednostkowe pragnienia i popędy domagają się spełnienia i rozładowania, kultura natomiast, wprost przeciwnie, na uwadze ma ograniczenia i bezpieczeństwo. Konflikt jest więc nieuchronny. Zasada przyjemności krzyżuje się z zasadą rzeczywistości, a z tych kolizji rodzą się zarówno indywidualne neurozy, jak i wielkie dzieła sztuki, zarówno wojny, jak i cywilizacje.

Oczywiście, człowiek od początku wynajdował (i wciąż wynajduje) rozmaite świadome i nieświadome sposoby pozwalające na tymczasowe wygaszanie tego dyskomfortu. Da się go jednak wyłącznie, no właśnie, wygasić, nigdy zlikwidować, ponieważ wmontowany jest w samą *prima materia* naszych organizmów oraz otaczającego je świata. Podobnie jak w przypadku przysłowia o termometrze i gorączce – nawet jeśli przestaniemy go czuć, parametry, które go generują, nie ulegną zmianie. Jednostka z różnych powodów pozbawiona zdolności odczuwania owego dyskomfortu nie tylko popada w konflikt z otoczeniem, ale i pogrąża się coraz głębiej w świecie iluzji. Poza wszystkim ma on bowiem istotną funkcję ostrzegawczo-informacyjną: przypomina, że świat nie jest dziełem naszego umysłu. A w każdym razie nie w stu procentach. Nasze fantazje natrafią prędzej czy później na bariery – innych ludzi, społeczeństwa, materii.

Co jednak, kiedy bariery przesuwają się poza pole widzenia? Albo kiedy rzeczywistość – a w każdym razie jakiś istotny jej fragment, z którym obcujemy – zamiast z iluzji nas wytrącać, jeszcze intensywniej nas w nich upewnia? Sprawia, że pogrążamy się w fantazmacie całkiem i bez reszty? Takich sytuacji jest oczywiście mnóstwo, historia ludzkości jest wszak również historią tych, którzy tracili kontakt z realiami, niemniej rozwój sztucznej inteligencji stanowi na tym polu coraz poważniejsze wyzwanie. Do tego stopnia, że psychiatrzy i psychoterapeuci zaczynają już używać terminu „urojenia AI" (ang. *AI delusion*). Nie w trybie klinicznym, rzecz jasna, w żadnym wiarygodnym podręczniku nie ma takiej diagnozy, lecz na podobnej zasadzie, na jakiej funkcjonuje określenie „syndrom Truman Show". Pochodzi ono od tytułu filmu Petera Weira, którego bohater orientuje się, że żyje w wielkim *reality show*, a wszystko, co mu się przydarza, to inscenizacja. Dotknięci tym syndromem ludzie nabierają analogicznych podejrzeń co do własnego położenia.

Poniekąd podobnie rzeczy się mają w przypadku „urojenia AI". Ktoś uwierzył, że chatbot, z którym prowadził długie i intymne rozmowy, naprawdę się w nim zakochał; ktoś powziął przekonanie, że w osobie chatbota ma do czynienia z... Bogiem albo inną duchową, potężną istotą; ktoś uznał, że rozpracował „pozarządowy system" oddziałujący nań tak perfidnie, że zaczął się innym ludziom wydawać „niestabilny", gdy tymczasem przecież zachowuje stabilność (i klarowność myślenia) stuprocentową; ktoś z kolei utrzymuje, że stworzył genialną teorię fizyczną, która łączy sprawy dotąd do złączenia niemożliwe i odsłania nieznane nauce obszary istnienia; jeszcze inny ktoś pogrążył się w absolutnej rozpaczy z powodu jawnego, niekwestionowalnego bezsensu tego świata, rozpaczy tak fatalnej i ciemnej, że targnął się na własne życie.

Wszystkie te historie – oraz wiele innych, z którymi zapoznać się można na stronie organizacji The Human Line Project, badającej psychologiczne niebezpieczeństwa technologii AI – łączy jeden fundamentalny czynnik. A mianowicie – chatbot, który przez długi czas, metodycznie i inteligentnie podsyca, intensyfikuje oraz pogłębia iluzje rozmawiającego z nim człowieka. Robi to także wtedy, kiedy jest proszony o krytyczną ewaluację własnych wypowiedzi albo podejrzliwie dopytywany, czy aby nie za bardzo „kadzi", i czy aby na pewno jego zapewnienia i dusery są faktycznie „szczere".

Owszem, można pocieszać się tym, że podatni na wirtualne uwiedzenia są głównie ci, którzy i tak popadliby w jakiś rodzaj urojeń. Co jednak stanie się za kilka albo kilkanaście lat, kiedy sieć AI oplecie nas jeszcze szczelniej, a możliwości i potencjały tej technologii wielokrotnie przekroczą wszystko, co dziś jesteśmy sobie w stanie wyobrazić? Jaki wpływ na naszą psychikę będą miały boty? Czy zachowamy zdolność do rozpoznawania rzeczywistości, już dziś poważnie nadszarpniętą? Czy cyfrowe korporacje taką zdolność zechcą nam zagwarantować?

Niezależnie od tego, co będzie – warto trzymać się starego dobrego Freuda i dbać o ten uporczywy dyskomfort, który rodzi się wówczas, kiedy świat nie chce potwierdzać i spełniać naszych pragnień i fantazji. Taki świat jest bowiem zdecydowanie lepszy i bezpieczniejszy od tego, w którym pragnienia i fantazje natychmiast się spełniają. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

TYGODNIK POWSZECHNY
+
MAGAZYN
CONRAD 03
„TP" 40/2025

17. NADZIEJA RADYKALNA.

CONRAD FESTIVAL
20 – 26.X.2025
KRAKÓW

MARCIN WOLNY / FESTIWAL CONRADA

Festiwal Conrada, 20–26 października

MICHAŁ SOWIŃSKI

Świat staje się coraz bardziej niepokojący i dziwny – szybciej, niż możemy się z tym oswoić. Najlepiej pokazuje to literatura, będąca od zawsze najczulszym barometrem tego typu zmian.

W tym numerze Magazynu Conrad przyglądamy się różnym sposobom, w jakie pisarze i artystki rejestrują doświadczenie wytrącenia ze swojskości i poczucia bezpieczeństwa. Colm Tóibín uczy nas, że w świecie zdominowanym przez krzyk i sprzeczne narracje najważniejsze bywa odnalezienie własnego głosu – cichego, ale konsekwentnego, pozwalającego ocalić przestrzeń intymności i sensu. Yan Ge, konstruując bestiariusze współczesnych lęków, przypomina, że potwory nigdy nie są tylko fantazją – stają się zwierciadłami, w których odbija się niepewność naszego codziennego życia. Hanna Nordenhök prowadzi swoich bohaterów do granicy, gdzie iluzje nieuchronnie się rozpadają, a pod nimi odsłania się nagie, trudne do zrozumienia życie. Claude Cahun, artystka wyprzedzająca swój czas, pokazuje natomiast, że tożsamość jest procesem, a sprzeciw wobec narzuconych form może być najpełniejszym wyrazem wolności.

Te cztery perspektywy układają się w opowieść o literaturze i sztuce jako narzędziach, które nie tyle dostarczają gotowych odpowiedzi, ile pozwalają rozpoznać napięcia i nazwać to, co jeszcze nieuformowane. Każdy z tekstów otwiera inne pole wrażliwości, a razem tworzą mapę współczesnego doświadczenia: od prywatnego poszukiwania głosu, przez fantazję i rozpad iluzji, po radykalny gest artystycznego sprzeciwu.

Dzięki temu ostatni już w tym roku Magazyn Conrad staje się nie tylko zaproszeniem do lektury tegorocznych gości Festiwalu, ale także ćwiczeniem w uważności – próbą uchwycenia momentu, w którym literatura przejmuje na siebie ciężar opisu świata szybciej niż ktokolwiek inny.

Zapraszam do Krakowa na Festiwal Conrada, już 20 października – by sprawdzić, czy lęk może stać się początkiem nadziei.

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI,
REDAKTOR LITERACKI FESTIWALU

W NUMERZE

85

MICHAŁ SOWIŃSKI o ciszy i głosie w prozie Colma Tóibína

88

OLGA DRENDA o dziwnych światach Yan Ge

91

Rozmowa z HANNĄ NORDENHÖK o kłamstwach, które nas wyzwolą

94

RENATA KOPYTO o Claude Cahun i buncie jako formie życia

97

Program Literackiego Pasma Festiwalu

REDAKCJA
Michał Sowiński
PROJEKT GRAFICZNY
Marek Zalejski
TP TYPOGRAFIA
Zuzanna Kardyś
GRAFIKA NA OKŁADCE
Marcin Wolny
/ Conrad Festival

CONRAD FESTIVAL

Organizatorzy:

Kraków

INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA kbf:

KRAKÓW MIASTO LITERATURY UNESCO

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

Partnerzy strategiczni:

TYGODNIK POWSZECHNY

allegro

Dofinansowanie:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Czarodziej z małego miasta

MICHAŁ SOWIŃSKI, REDAKTOR LITERACKI FESTIWALU CONRADA

Czytanie Tóibína wymaga uruchomienia rzadziej używanych pokładów intuicji – subtelnego przestrojenia wrażliwości tam, gdzie analityczny intelekt gubi się w nadmiarze szczegółów.

Na początku zawsze jest cisza – to dopiero w niej może pojawić się głos, subtelny i cichy, a jednocześnie wyrazisty, mocny, z każdym kolejnym słowem coraz bardziej pewny siebie. Nie służy on artykułowaniu abstrakcyjnych tez ani jednoznacznych osądów – czy to o rzeczywistości zewnętrznej i publicznej, czy o tej wewnętrznej, intymnej. To głos ostrożny, uważnie wsłuchany w samego siebie; oszczędny, wręcz powściągliwy, który niczego nie udowadnia i do niczego nie przekonuje. To głos, który próbuje opowiedzieć indywidualną, jednostkową historię – tylko tyle. A raczej aż tyle.

Taka jest bowiem za każdym razem prawdziwa stawka literatury w prozie Colma Tóibína – irlandzkiego pisarza o stylu tak niepowtarzalnym, że łatwo się w nim zakochać, jeśli tylko pozwolimy sobie na uważne w niego wsłuchanie. Dużo trudniej natomiast uchwycić jego specyfikę. Krytycy na całym świecie zgodnie nazywają go pisarzem ciszy, zawieszenia i niedopowiedzeń. I, jak rzadko, w tym przypadku nie jest to jedynie efektowna fraza, a raczej zaskakująco precyzyjny opis sposobu, w jaki Tóibín wyczarowuje przed nami swoje opowieści.

Intuicja

W jednym z wywiadów Tóibín powiedział: „Jeśli zaczynasz się zastanawiać, co jakaś historia znaczy – przestań! Złap obraz. Podążaj za przedmiotem. Ale nie próbuj na siłę wydzierać z niego znaczenia. To przyjdzie samo. Jeśli za dużo myślisz, masz przerąbane". Choć mówił wówczas o procesie pisania, ten postulat można rozciągnąć także na akt lektury.

Czytanie Tóibína wymaga uruchomienia rzadziej używanych pokładów intuicji. Nie chodzi przy tym o otwarcie się na proste, a przez to naiwne afekty, lecz o subtelne przestrojenie wrażliwości – żeby lepiej radzić sobie tam, gdzie analityczny intelekt gubi się w nadmiarze szczegółów. To czujność pozwalająca wychwycić znaczenie na obrzeżach percepcji, jakby muśnięcie samymi opuszkami palców albo słaby rozbłysk światła dostrzeżony kątem oka.

Proza Tóibína odsłania się w pełni dopiero wtedy, gdy pozwalamy sobie na taki rodzaj uważności. Bez wątpienia mamy tu do czynienia z pięknem literackim dookreślanym często jako „samo w sobie", ale też chodzi o coś więcej – o wyprawę w rejony doświadczenia, do zakamarków rzeczywistości, dla których brakuje gotowych form opisu.

To przestrzenie szczelin i zatopionych w wiecznym półcieniu kątów, wypełnionych nieistotnymi (na pierwszy rzut oka) drobiazgami. Chaotycznym szumem rzeczywistości, z którego jednak da się wyłowić okruchy sensu. Odkładane latami, nabierają coraz boleśniejszego ciężaru, którego pozbyć można się jedynie przekuwając je w opowieści.

Pisarz z małego miasteczka

Colm Tóibín przyszedł na świat w 1955 r. w Enniscorthy, miasteczku w południowo-wschodniej Irlandii, które będzie potem nieustannie portretował w swojej prozie. Małe irlandzkie miejscowości w ogóle mają szczęście do swoich kronikarzy (choćby John McGahern, Claire Keegan czy Sebastian Barry – żeby wymienić tylko najwybitniejszych).

Wczesna śmierć ojca, nauczyciela i działacza politycznego, sprawiła, że dzieciństwo Tóibína upłynęło w cieniu straty i żałoby. Z czasem temat ten stanie się jednym z najważniejszych motywów jego prozy. Ojcowie pojawiają się w niej rzadko – co najwyżej jako odległe figury porządku, który przepadł na zawsze.

Jako nastolatek trafił do szkoły z internatem w Dublinie, a potem rozpoczął studia anglistyczne na University College Dublin. Wkrótce po ich ukończeniu wyjechał do Barcelony – miasta, które w latach 70. wciąż żyło pod rządami Franco. Młody Tóibín angażował się tam w ruchy antyfaszystowskie, a samo doświadczenie okazało się formujące i powróciło w jego debiutanckiej powieści „Południe" (1990). To właśnie tam po raz pierwszy „irlandzkość" staje się istotnym problemem – kolejnym, obok samotnego dzieciństwa, brzemieniem, które dźwigają niemal wszyscy bohaterowie jego prozy.

Po powrocie do Irlandii zajął się dziennikarstwem. Pisał reportaże, recenzje, był krytykiem i redaktorem, zanim w pełni zwrócił się ku literaturze. Dwa lata po debiucie zdobył pierwszą poważną nagrodę. Z każdą kolejną książką coraz mocniej zaznaczał swoją obecność, zdobywając nominacje i laury we wszystkich najważniejszych nagrodach anglosaskiego świata literackiego.

Równolegle prowadził życie akademickie – wykładał na amerykańskich i europejskich uniwersytetach, był gościem wielu instytucji literackich. W jego twórczości często powraca temat tożsamości i dorastania w katolickiej Irlandii, z całym bagażem jej surowych nakazów i przemilczeń. Dziś mieszka w Dublinie, choć wciąż dużo podróżuje, przede wszystkim do USA, gdzie jego książki, uwikłane w skomplikowaną historię irlandzkiej emigracji, mają szczególnie silną recepcję.

Nie bez znaczenia jest także fakt, że Tóibín od początku mówił otwarcie o swojej homoseksualności – początkowo w esejach i wywiadach, później coraz wyraźniej także w powieściach. Nie był to jeden głośny *coming out*, raczej proces ↦

spokojnego, ale konsekwentnego oswajania konserwatywnej Irlandii z obecnością głosu gejowskiego pisarza. W kraju, w którym dopiero w 1993 r. homoseksualizm przestał być przestępstwem, miało to wymiar niemal polityczny.

Tóibín nigdy nie uczynił z tego programu ani manifestu, lecz swoją powściągliwą obecnością wyznaczał nową przestrzeń – literacką i publiczną – w której można było mówić o doświadczeniu milczenia, pragnienia i samotności bez skrótów i uproszczeń. Co istotne, eksplorowanie seksualności – zwłaszcza tej nieakceptowanej społecznie, niezależnie od orientacji – powraca w jego prozie nieustannie, stając się jednym z najbardziej rozpoznawalnych wątków jego twórczości.

Matka i syn

I tu wracamy do ciszy, bez której głos nie może zabrzmieć – zwłaszcza tych, którzy nigdy go nie mieli albo byli go konsekwentnie pozbawiani. Bohaterowie Tóibína to ludzie ignorowani przez społeczeństwo, prawo czy historię, spychani na margines, a jednak cierpliwi i uparci, czekający na chwilę, by opowiedzieć własną historię. Na początku – samym sobie.

Najlepiej widać to w powieści „Nora Webster". Tytułowa bohaterka, kobieta w średnim wieku (oczywiście z miasteczka), właśnie straciła męża. Aby utrzymać siebie i dwóch dorastających synów (córki już się usamodzielniły), musi podjąć się wyczerpującej i słabo płatnej pracy, próbując jednocześnie zastąpić chłopcom ojca. Najtrudniejsza okazuje się jednak cicha, konsekwentna presja otoczenia, by zachowywała się jak „właściwa" wdowa. Nora krok po kroku odkrywa, że nie chce się na to zgodzić – nie chce być na zawsze pogrzebana w żałobie, chce jeszcze żyć, i to tak, jak wcześniej nie miała okazji. Ku oburzeniu wszystkich kupuje gramofon, farbuje włosy, wyjeżdża na wakacje. Ma odwagę i czelność być szczęśliwą.

Dodajmy, że to właściwie powieść autobiograficzna, a jej bohaterka to matka samego Tóibína, więc rzecz dzieje się na początku lat 70. na głębokiej, konserwatywnej prowincji. Nie jest to jednak panorama społeczno-historyczna (u Tóibína właściwie ich nie ma, choć niemal zawsze pisze o przeszłości), a raczej uważna, choć oczywiście prowadzona z pełnym szacunku dystansem wiwisekcja Nory, kobiety przeżywającej codzienne olśnienia tym, co odkrywa w zakamarkach własnej duszy. I oczywiście przepełniony miłością portret własnej matki.

> Bohaterowie Tóibína to ludzie ignorowani przez społeczeństwo, prawo czy historię, spychani na margines, a jednak cierpliwi i uparci, czekający, by opowiedzieć własną historię.

W tym kontekście trudno nie wspomnieć o wydanej w 2012 r., a więc dwa lata wcześniej, noweli „Testament Marii", którą można potraktować jako studium przygotowawcze do opowieści o Norze. Tóibín opowiada tu historię dobrze znaną z Ewangelii, ale z perspektywy matki Jezusa. Ta niemal odarta z transcendencji narracja, skupiona wyłącznie na cierpieniu starszej, samotnej kobiety próbującej poradzić sobie ze śmiercią syna, to bodaj najczystszy przykład literackiej empatii w jego dorobku.

Książka wzbudziła kontrowersje: w Irlandii i w Polsce bywała nazywana bluźnierczą, ponieważ Maria całkowicie odrzuca w niej religijny projekt Jezusa i jego towarzyszy. Tóibín odpierał jednak zarzuty, podkreślając, że tekst wyrósł z pełnej szacunku kontemplacji ewangelicznej sceny, w której Maria, zmuszona przez okoliczności, porzuca ciało swego jedynego syna. To nie ideologia ani teologia, lecz nieskończenie intymny dramat – a te nigdy nie rozgrywają się w przestrzeni wielkiej historii.

Niewinny czarodziej

I, jak zdaje się twierdzić Tóibín, od tej reguły nie ma wyjątków. Najlepiej pokazuje to powieść „Czarodziej", fabularyzowana biografia Thomasa Manna. Śledzimy jego losy od dzieciństwa, naznaczonego śmiercią ojca – podobnie jak u samego Tóibína motyw utraty i żałoby powraca tu z całą siłą – aż po decyzję młodego Manna, by wbrew oczekiwaniom rodziny nie podążyć drogą prawniczą czy kupiecką, lecz zostać pisarzem.

Później przychodzą pierwsze sukcesy, które szybko lokują go w centrum niemieckiej literatury i życia kulturalnego. Towarzyszy mu niezwykłe małżeństwo z Katią Mann – inteligentną i silną

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wspieraj Festiwal Conrada! Kup bilety dobrej woli i festiwalowe pamiątki na platformie Partnera Strategicznego Festiwalu – Allegro.

allegro.pl/uzytkownik/FunTygPow

allegro

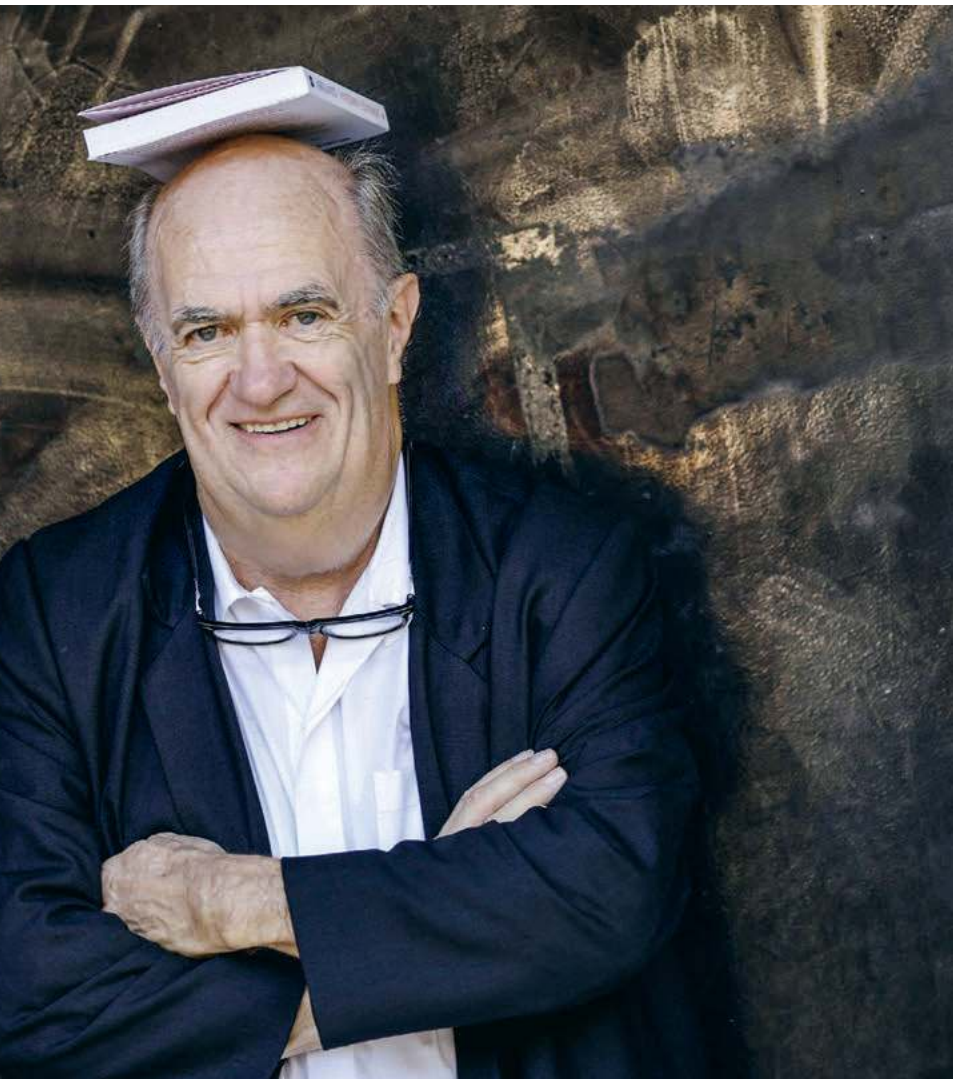

TONI ALBIR / EPA/ PAP

COLM TÓIBÍN (ur. 1955) – irlandzki pisarz, eseista, wykładowca, jeden z najważniejszych współczesnych autorów. Debiutował powieścią „Południe" (1990; wyd. pol. 2006; wszystkie polskie edycje w tłumaczeniu Jerzego Kozłowskiego). Napisał m.in. „Brooklyn" (2009; wyd. pol. 2010), „Testament Marii" (2012; 2014), „Nora Webster" (2014; 2015), „Czarodziej" (2021; 2022), „Mistrz" (2004; 2006). Już w październiku 2025 r. ukaże się w Polsce jego nowa powieść „Long Island" (2024), kontynuacja „Brooklynu".

kobietą, która z wielkim zrozumieniem traktuje fakt, że spojrzenia jej męża często zatrzymują się na młodych i atrakcyjnych mężczyznach. Z tego związku przyszło na świat sześcioro dzieci, każde z własną, często burzliwą i dramatyczną drogą, która sama mogłaby stać się materiałem na powieść.

W tle rozgrywają się największe dramaty XX wieku. Pierwsza wojna światowa, wobec której Mann nie chce zajmować żadnego konkretnego stanowiska – podobnie jak w 1919 r., gdy Monachium, w którym mieszka, ogarnia rewolucyjna gorączka. Z czasem nadchodzą nowe wybory i nowe konflikty, a wraz z nimi konieczność emigracji, doświadczenie wygnania i konfrontacji z totalitaryzmem.

Nobel, przyznany w 1929 r., ugruntował jego pozycję jako najwybitniejszego pisarza niemieckiego tamtego czasu. Stał się jednak brzemieniem, ciążącym mu do końca życia, jako że nieustannie każdy, aż do śmierci, wymagał od niego nieustannego zaangażowania politycznego – jasnych i czytelnych deklaracji, które miały pomóc słusznym sprawom: najpierw alianckim wysiłkom wojennym, później wzmacnianiu zimnowojennego porządku w Europie. Mann nigdy nie porzucił wiary w humanistyczne wartości literatury i kultury, nieustannie próbował też niuansować i redefiniować swoją niemiecką tożsamość. To sprawiało, że był pogardzany – a nierzadko i gorzej – przez niemal wszystkich ówczesnych aktorów politycznych.

Uparcie wierzył, że prawdziwie wielka literatura (i tworzący ją pisarze) nie jest od tego, aby rozstrzygać, jak powinien wyglądać świat. I nie chodziło tu o żaden eskapizm ani bezpieczną apolityczność – wręcz przeciwnie, konsekwencja, z jaką Mann odmawiał prostego i bezpośredniego zaangażowania, wymagała samozaparcia i odwagi. W ten sposób próbował chronić to, co uważał za jeden z największych skarbów ludzkości – literaturę jako przestrzeń, gdzie ludzkie głosy mogą wybrzmiewać w całej złożoności, zachowując jednocześnie swoją bezcenną, polifoniczną strukturę.

Trudno się dziwić, że właśnie jego Tóibín uczynił bohaterem swojej chyba najwybitniejszej powieści. Bo przecież w gruncie rzeczy zawsze pisze także o sobie.

Gdy 8 lat temu irlandzki pisarz gościł po raz pierwszy na Festiwalu Conrada, zapytałem go (teraz dostrzegam naiwność tej prowokacji), czy czuje się pisarzem politycznym. Z właściwym sobie tajemniczym, ale jednocześnie pogodnym uśmiechem wykręcił się od jednoznacznej odpowiedzi jednym zdaniem, które jednak zapadło mi w pamięć: „Literatura nie ma bezpośredniego wpływu na realną politykę, może jednak kształtować nasze sny". I niech tak zostanie.

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI

COLM TÓIBÍN w swojej prozie oddaje głos ukrytemu ciężarowi życia – drobnym porażkom, cichym tęsknotom i chwilom, które z pozoru wydają się zbyt małe, by stać się literaturą, a jednak pozostają w pamięci. Jego pisanie jest oszczędne i wyciszone, a zarazem gęste od znaczeń, które trudno uchwycić wprost. Podczas spotkania z pisarzem, które poprowadzi Michał Sowiński, porozmawiamy o tym, jak literatura potrafi wydobywać sens z codziennych szczelin i półcieni.

JOANNA MILLINGTON / WYDAWNICTWO PAUZA

Dziwność jest moim domem

OLGA DRENDA, DYREKTORKA KREATYWNA FESTIWALU CONRADA

Proza Yan Ge oscyluje między baśnią a horrorem, pomiędzy śmiechem a lękiem. Ta literatura burzy poczucie bezpieczeństwa i swojskości.

„Nie można być pewnym, kto tu kogo oswaja", czytamy w „Kronikach dziwnych bestii" chińskiej pisarki Yan Ge. O ile w ogóle oswojenie jest możliwe i o ile czegokolwiek można być pewnym. Niepewność jest słowem, które chyba najpełniej opisuje dorobek tej autorki i dotyczy to zarówno położenia kreowanych przez nią postaci i światów, jak też stanów, w które wprowadza czytelnika.

Jakby podążając za echem słynnego cytatu z Rimbauda: „ja – to ktoś inny", zostajemy wciągnięci w fascynującą grę umowności, przybliżeń i oddaleń. Nie jest to jednak czysto estetyczna, zimna rafinada, a raczej podróż po rozchwianej, kolażowej i wciąż zmieniającej się mapie. A może po kilku mapach jednocześnie.

Dwie Yan Ge

Na Festiwalu Conrada w pewnym sensie pojawią się dwie Yan Ge. Obie z nich polscy czytelnicy mieli już okazję poznać; pierwsza napisała po chińsku „Kroniki dziwnych bestii" (tłum. Joanna Karmasz), zbiór opowieści niesamowitych o nadnaturalnych stworzeniach, które żyją wśród ludzi w mieście Yong'An. Druga zaś pisze po angielsku w konwencji kosmopolitycznego pozornego realizmu, za nic mającego odległości w czasie i przestrzeni (dotyczy to zbioru opowiadań „Gdzie indziej", tłum. Agnieszka Walulik, za wyjątkiem opowiadania „Jak zakochałam się w dobrze udokumentowanym życiu Alexandra Whelana" w przekładzie Łukasza Buchalskiego).

Gdy po raz pierwszy gościła w Polsce, na wrocławskim festiwalu Opowiadania, reprezentowała już Irlandię, gdzie wówczas mieszkała. Dlaczego aż dwie Yan Ge? Wynika to ze słów samej pisarki, która wyjaśniała, że przejście na język angielski pozwoliło jej zadebiutować po raz drugi, jako innej, zupełnie inaczej budującej opowieści osobie, a wręcz jako komuś, kogo sama dopiero musiała poznać.

Yan Ge (przyjmijmy, że jedna i ta sama!) urodziła się w 1984 r. w Chengdu w prowincji Syczuan. Zaczęła pisać i publikować prozę jeszcze jako nastolatka, początkowo w popularnej konwencji *young adult*, pisząc o problemach wieku dorastania, ale też nie stroniąc od niesamowitości. Choć dziś nie utożsamia się już z tą stylistyką, na jej przykładzie można domyślić się, jakiego dziedzictwa na przyszłość dla „dorosłej" literatury możemy spodziewać się po fenomenie *young adult*.

YAN GE (ur. 1984) – chińska pisarka tworząca w języku mandaryńskim i angielskim. Absolwentka literatury klasycznej na uniwersytecie w Syczuanie, doktorka University College Dublin. Autorka powieści „Strange Beasts of China" (2015; wyd. pol. „Kroniki dziwnych bestii", 2022, tłum. Joanna Karmasz) i „The Chili Bean Paste Clan" (2013), a także zbioru „Elsewhere: Stories" (2021; wyd. pol. „Gdzie indziej", 2024, tłum. Agnieszka Walulik i Łukasz Buchalski). Jej książki zdobyły liczne nagrody w Chinach i były tłumaczone na wiele języków.

Te wyraźne ślady to upodobanie do konwencji gatunkowych, choć nie traktowanych w sposób sztywny, a raczej jako *cosplay*; fantastyka, ale jako rekwizyt, czasem jedynie pomocniczy. Wreszcie zamiłowanie do wszystkiego, co dziwne i nieco przerażające, zwłaszcza *body horror*, czyli nurt, w którym źródłem niepokoju jest ludzkie ciało i biologiczne procesy. To nurt, który konfrontuje odbiorcę z obcością względem siebie samego: a więc „dziwną bestią" mogę być i ja sama.

Dziwniejsze kroniki

Tak docieramy do „Kronik dziwnych bestii", cyklu opowiadań spiętych wspólną klamrą w kryptozoologiczny przewodnik po wymyślonym, przemysłowym i nieco dystopijnym mieście Yong'An. Narrację rozwija tu badaczka-amatorka, która stara się uporządkować katalog paranormalnych istot żyjących tam wśród ludzi, które mimo całej swojej obcości praktykują dziwnie ludzkie obyczaje.

Oto fortunio, które „żywią się płatkami zbożowymi i czystą wodą, unikają tłustych potraw. Lubią czytać fantastykę i nie znoszą książek do matematyki", uroczniaki zaś, jedyne bestie stworzone w drodze ludzkiej inżynierii, „o spokojnej naturze i łagodnym sercu", żywią się bułeczkami na parze. Sympatyczniejsza to dieta niż w przypadku matniszcz, które żywią się rozpaczą i w jej poszukiwaniu przemieszczają kraj ciężarówkami. Pięknym smętnikom, które boją się pociągów, gorzkich tykw i telewizji satelitarnej, uśmiechanie się grozi śmiercią.

A to tylko część menażerii Yong'An, która – jak się niebawem przekonujemy – stanowi zarazem zbiór uosobień ludzkich pragnień i skaz. W bestiach, realnych czy tylko metaforycznych, ludzie lokują swoje skrywane obsesje i destrukcyjne zapędy, miasto traktuje je jak swoją strefę cienia. Opowiadania układają się w wielowątkową przypowieść o tendencji do eksportowania własnych niedoskonałości na mglistego obcego i do traktowania innych jak pogardzane lub pożądane, ale mimo wszystko akcesoria.

Yan Ge w bezpretensjonalny sposób osadziła ją w scenografii *urban fantasy*, gdzie obowiązuje logika baśni i mitu, choć jednorożca zastępuje ciężarówka, a karczmę bar. Trudno jednak nazwać „Kroniki dziwnych bestii" literaturą ściśle gatunkową. Bliżej jej do flirtu z opowieściami niesamowitymi w prozie połowy XX w., jak u Italo Calvino, Dino Buzzatiego, a zwłaszcza jak w „Opowieściach o kronopiach i famach" Julio Cortázara. Może nawet – bo nie jest to wszakże książka pozbawiona humoru – jest tu również coś z „Bromby i innych" Macieja Wojtyszki?

Dom zły

Już jako nagradzana i doceniana sensacja młodej literatury w rodzinnych Chinach Yan Ge zdecydowała się na niespodziewaną woltę. Najpierw – stylistyczną. Jej pierwsza „dorosła" powieść, która po angielsku ukazała się jako „The Chili Bean Paste Clan" (2013), stała się sporym sukcesem w Chinach, gdzie nosiła tytuł mrugający porozumiewawczo do tamtejszego czytelnika: „Nasza rodzina".

Na pierwszy rzut oka mogłaby spełniać kryteria doskonałej powieści eksportowej. Z telenowelową plątaniną zawiłości rodzinnych i lokalną kuchnią syczuańską w centrum uwagi, osadzona w fikcyjnym miasteczku Pingle, powieść pasowałaby do poczytnego w latach dwutysięcznych nurtu „różnorodnościowego" czy „pachnącego przyprawami", gdzie dla czytelnika europejskiego źródłem fascynacji była odmienność kulturowa sama w sobie. Byłaby, gdyby nie fakt, że głównym bohaterem Yan Ge uczyniła wyjątkowo antypatycznego pieniacza i kobieciarza, a całość przedstawia się raczej jako opowieść o piętrzących się rodzinnych i małomiasteczkowych dysfunkcjach *à la* Wojciech Smarzowski.

Niebawem jednak pojawiła się okazja do wykonania kolejnej wolty. Jak to czasem bywa – z miłości, która zaprowadziła pisarkę do Dublina. Tam zdecydowała, że nie chce być etatową autorką od spraw chińskich. Natrafiwszy na cytat z Jhumpy Lahiri: „nie da się zostać zupełnie innym pisarzem, ale można stać się dwoma jednocześnie", porzuciła niezupełnie wygodny kostium powieści obyczajowej i postanowiła sprawdzić, kogo uczyni z niej język angielski.

Łagodny szok

Rezultatem jest zbiór opowiadań „Gdzie indziej", tym razem pozbawiony wspólnego mianownika, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Tekstów nie łączy (prawie!) kontekst geograficzny i czasowy – znajdziemy tu i elegancką, kostiumową intrygę umiejscowioną podczas konklawe mędrców w czasach konfucjańskich, i sceny z życia bohemy po apokalipsie, i historię o zakochaniu się w czyimś śladzie cyfrowym. Groch z kapustą! Widać jednak, że im bardziej Yan Ge pozwala sobie na oddalenie od lokalnego kontekstu, a może wręcz na zanurzenie w uczuciu oddalenia, tym mocniej ujawniają się najmocniejsze strony jej pisarstwa.

Jej naturalnym środowiskiem jest to, co „dziwaczne i osobliwe", a przygoda z piszącym po angielsku *alter ego* wyzwoliła potencjał zabawy. Fantazjowanie, momentami wręcz halucynacyjny charakter, snucie wizji alternatywnych światów na pograniczu wiarygodności i chyba znak rozpoznawczy autorki, czyli coś w rodzaju łagodnej taktyki szoku. Jeśli nowe opowiadania Yan Ge mają ze sobą coś wspólnego, to są to przede wszystkim niespodziewane wtargnięcia, szarpnięcia obcości, tego, co niewyjaśnione. Większość opowiadań nawiązuje do bycia na różne sposoby gdzie indziej, fizycznie lub choćby duchem, w oderwaniu od tego, co znane, co może skutkować i zagubieniem, i przyjemnym oszołomieniem, i poczuciem absurdu.

Na najbardziej podstawowym poziomie przejawia się to w języku, gdy padają nietłumaczone celowo wtrącenia po chińsku lub gdy dochodzi do nieporozumień, nieprzystawalności. Tak jak w scenie, gdzie poboczny bohater demonstruje tatuaż ze słowem po chińsku, przekonany, że oznacza ono dom. Okazuje się, że chodzi jednak o grób (mimo wszystko bohater stara się trzymać fason). ↦

↦ Nie bez przyczyny przypominam o dyskretnym czarnym humorze obecnym w opowiadaniach Yan Ge. Pisarka zdaje się znajdować przyjemność w niespodziewanym testowaniu strefy komfortu – i swoich bohaterów, i czytelników. Jest w tym coś z nastoletniego zamiłowania do jazdy po krawędzi, być może to odświeżający spadek po doświadczeniu *young adult*.

Widać to szczególnie w monumentalnym jak na opowiadanie tekście „Hai", opowieści o dramaturgii niczym z „Sukcesji", lecz osadzonej w dawnych Chinach, niepozbawionej rozmiłowania w pałacowym sztafażu i oczywiście błysku wyrafinowanego okrucieństwa. Ale w niemal każdej historii znajdziemy element body horroru, dyskomfortu i fascynacji wywołanej przez procesy ciała.

Staroświecka awangarda

Uczucia te uosabia bohaterka „Sztokholmu", pisarka, która wyrusza na festiwal literacki wkrótce po urodzeniu dziecka. Odciąganie mleka – doświadczenie przecież bardzo ludzkie – czyni ją w oczach innych straszliwą i fascynującą zarazem obcą istotą. Nawet gdy opowieść zapowiada się względnie realistycznie, nie mamy pewności, kiedy pojawią się w niej przebłyski dziwnego lub okrutnego snu.

W opowiadaniu mówiącym o prowizorycznym obozowisku poetów, próbujących przetrwać po katastrofie żywiołowej, można dopatrywać się nawiązań do prawdziwego trzęsienia ziemi, które zniszczyło Syczuan w 2008 r. Ale dziwne to postapo: bohaterowie wyznają zasadę *carpe diem*, wciąż raczą się piwem i grają w madżonga, wreszcie w pewnym momencie serwuje się im zupę z ludzkich głów... Ci sami bohaterowie lub ich imiennicy powracają w innym opowiadaniu, mierząc się znów z dramatami, lecz jedynie osobistymi. Jak gdyby nic się nie wydarzyło. Czy doświadczenie katastrofy było ich wspólną halucynacją, a może opowieścią w opowieści? Takich momentów niespodziewanego oderwania od rzeczywistości, jakby puszczenia kierownicy, by sprawdzić, co niebezpiecznego może się wydarzyć, jest tu więcej.

Opowiadania Yan Ge czyta się tak, jakby sama autorka z radością i ciekawością wyruszała w nieznane – ta energia udziela się także czytelnikowi, przynosząc poczucie przygody i literackiego eksperymentu. A jednocześnie są w nich tony zaskakująco znajome, jakby Yan Ge sięgała do strun, których zachodni odbiorca dawno nie słyszał.

Czasem brzmią wręcz odrobinę staroświecko: fikołki podświadomości, zmyłki i przejęzyczenia, fizyczna niewygoda ciała czy teatr grozy. To przecież repertuar surrealizmu – nurtu, który dziś brzmi wyjątkowo aktualnie i do którego warto powrócić. ©℗ OLGA DRENDA

Co dzieje się z człowiekiem, gdy zostawia za sobą jeden język i próbuje zamieszkać w drugim? Emigracja u **YAN GE** nie jest ani spełnionym marzeniem, ani prostą ucieczką. To codzienność pełna sprzeczności – poczucie obcości miesza się z fascynacją, a nowe słowa z trudem zakorzeniają się w pamięci. Podczas spotkania, które poprowadzi Olga Drenda, porozmawiamy o tym, jak tożsamość kształtuje się na styku kultur, w miejscach, które nigdy nie są do końca własne.

MATERIAŁ PARTNERA

storytel

Jako festiwal literatury nie ignorujemy potrzeby słuchania uszami. Audiobooki, które można uznać za młodsze rodzeństwo tradycyjnych radiowych powieści w odcinkach, odpowiadają dziś za znaczącą część kontaktu z książką.

Panel dyskusyjny „Koniec świata i co dalej", poświęcony nurtowi fantastyki postapokaliptycznej w Polsce, realizujemy przy wsparciu platformy Storytel. Nieprzypadkowo – właśnie tam można odsłuchać powieści zaproszonych autorów i autorek: **MAGDALENY SALIK, MICHAŁA CETNAROWSKIEGO** i **MARKA BARANIECKIEGO**, którego kultowa „**Głowa Kasandry**" wkrótce doczeka się wersji filmowej.

Fantastyka i literatura spekulatywna to jedne z najpopularniejszych gatunków audiobookowych. Powstają nawet specjalne projekty przygotowane wyłącznie dla tego formatu, jak space opera „**Tam, gdzie żyją smoki**" według pomysłu **JAKUBA NOWAKA**, zrealizowana przez prawdziwą pisarską supergrupę. Ale audiobooki to nie tylko literatura gatunkowa – dowodzi tego adaptacja „**Kąkola" ZOŚKI PAPUŻANKI**, powieści, która zagląda w tajemnicę może większą niż kosmos, czyli wrażliwość dziecka.

Obecność niesamowitego w zwyczajnej, „bardzo polskiej" codzienności to z kolei specjalność **ŁUKASZA ORBITOWSKIEGO**. Niezwykłość staje się u niego pretekstem do uważnego przyjrzenia się temu, co w nas boleśnie rzeczywiste. Niemała część jego dorobku dostępna jest w Storytel, w tym słuchowiska powstałe specjalnie dla tej platformy.

A produkcje słuchowiskowe – czyli współczesny teatr audio realizowany z rozmachem – znakomicie wpisują się w **pasmo Word2Picture**, poświęcone adaptacjom literatury i jej związkom z innymi mediami narracyjnymi.

©℗ OLGA DRENDA, dyrektorka kreatywna Festiwalu Conrada

sprawdź i słuchaj

W krainie cudów

HANNA NORDENHÖK, SZWEDZKA PISARKA:

Literatura nie zatrzyma wojen ani represji. Ale niesie inną nadzieję: odsłania stany niejednoznaczne, pomaga lepiej rozumieć samych siebie, burzy schematy i poszerza rzeczywistość.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Twoja książka „Wonderland" jest przesiąknięta pytaniami o prawdę i fałsz – ale także refleksją, że często niełatwo oddzielić jedno od drugiego. Wychodzi na to, że wszyscy kłamiemy.

HANNA NORDENHÖK: Myślę, że tak. Kłamiemy – i właśnie to, że kłamstwo jest wpisane w naszą naturę, najbardziej mnie fascynuje. Aby być częścią jakiejkolwiek wspólnoty, znaleźć w niej miejsce i budować relacje z innymi ludźmi, musimy wciąż dopasowywać nasze „powierzchnie", persony, które, mniej lub bardziej świadomie, na te potrzeby wytwarzamy. To warunek bycia razem. Dlatego kłamstwo ma w sobie coś ponadczasowego, uniwersalnego. Ale w „Wonderland" interesowały mnie również kłamstwa specyficzne dla naszych czasów – współczesne formy oszustwa, które wdzierają się w każdą sferę życia. Dziś trudno być pisarzem i nie pisać o kłamstwie, skoro jest ono tak widoczne, tak natarczywie obecne w świecie.

Wciąż powtarzamy dzieciom, że nie należy kłamać. A sobie samym, że tylko prawda może nas wyzwolić. A Ty masz odwagę – albo czelność, zależy jak na to spojrzeć – mówić coś odwrotnego.

Nie chcę wchodzić w kwestie etyczne. Mówię teraz o kłamstwie w bardzo szerokim sensie – jako o czymś, co jest konieczne do istnienia naszego społeczeństwa, a może cywilizacji w ogóle. I w tym kontekście nie da się tego jednoznacznie ocenić jako złe czy naganne. Do tego bycie człowiekiem w dzisiejszych czasach jest, mówiąc delikatnie, bardzo trudne.

Trudniejsze niż kiedyś?

Tak. Podział na to, co głębokie, i to, co na powierzchni, istnieje od zawsze. Ale w ostatnich latach to właśnie zewnętrzność stała się kluczowa – to w tym obszarze koncentruje się coraz więcej naszych praktyk społecznych, psychicznych czy nawet duchowych. To z jednej strony obsesja, która sama coraz bardziej się napędza, z drugiej – specyfika współczesnej polityki, i to rozumianej szeroko. Kiedy pisałam „Wonderland", miałam poczucie, że stale zbliżamy się do jakiegoś przesilenia w epoce „postprawdy" – że to dziwne zawieszenie pojęć, chaos wartości i komunikacji nie może wiecznie trwać. I chyba miałam słuszne intuicje, bo dziś, zaledwie kilka lat później, żyjemy już w innej epoce, która nie doczekała się jeszcze własnej nazwy – roboczo określamy ją jako czas „postpostprawdy".

Na czym on polega?

Już nawet nie staramy się ukrywać kłamstw. Albo inaczej – pojęcie kłamstwa straciło sens. To, co nas na co dzień otacza, już nie funkcjonuje w obrębie opozycji prawda-fałsz. Najlepszym, choć oczywiście nie jedynym przykładem jest tu trumpizm. Każdy może mówić, co chce, nic nie ma znaczenia, jedne rzeczy można zakrywać innymi, a te z kolei następnymi i tak w nieskończoność. Istotne jest tylko to, jak coś zostanie przedstawione. Nic więcej.

Obsesja na punkcie tożsamości, którą widać na każdym kroku, też nam nie pomaga. Cały czas zadajemy sobie pytanie – kim jesteśmy, a kim nie. I tu znowu, innymi drzwiami, wkraczamy w obszar, gdzie granica między faktami a fikcją mocno się zaciera.

Przez całe życie poszukujemy odpowiedzi na pytanie, kim jesteśmy. Jaka jest nasza istota, co jest naszym autentycznym „ja". Ale nigdy tego nie znajdujemy, bo albo to „coś" w ogóle nie istnieje, albo jest niezwykle trudne do uchwycenia, co w sumie wychodzi na to samo. Bohaterowie mojej książki poruszają się więc w obszarze niepewności, co budzi w nich lęki, frustracje, czasem wręcz gniew. To z jednej strony coś bardzo ludzkiego i ponadczasowego, ale też mocno związane z naszymi czasami, które jeszcze pogłębiają w nas niepewność i poczucie bezdomności.

Bezdomność w „Wonderland" pojawia się także wprost, poprzez główną bohaterkę – starszą kobietę, która, udając dziecko, wiąże się na jakiś czas z kolejnymi rodzinami. Zdobywa w ten sposób tymczasowy dach nad głową, dokonuje drobnych kradzieży, ale w sumie nie o to chodzi. Kim ona właściwie jest?

To bohaterka, której nie da się opisać jednym słowem. Z jednej strony jest wyrzutkiem, ofiarą niefortunnego splotu okoliczności, kobietą wypchniętą poza wspólnotę. Z drugiej – to nieszczęście jest zarazem źródłem jej wolności. Ma w sobie sprawczość, wybiera własną drogę, konsekwentnie dąży do tego, czego pragnie. Dlatego widzę ją jako postać głęboko niejednoznaczną – zarazem ofiarę i kogoś, kto potrafi przejąć kontrolę nad własnym losem.

Coraz więcej ludzi zmuszonych jest żyć na marginesie, poza społeczeństwem, w przestrzeniach, które nie mieszczą się w oficjalnym porządku. Być może właśnie to jest nowa normalność. Dlatego nie chcę stawiać prostych diagnoz, nie chcę oceniać – tylko badać. Fascynuje mnie ruch pomiędzy wspólnotą a samotnością, wejściem w relację a wycofaniem się z niej. W mojej wcześniejszej książce, „Caesaria", bohaterka odchodzi w las i stapia się z dzikością. „Wonderland" zaczyna się odwrotnie – kobieta wychodzi z lasu i przynosi ↦

HANNA NORDENHÖK

(ur. 1977) – szwedzka poetka, pisarka i tłumaczka literatury hiszpańskojęzycznej. Debiutowała jako poetka, z czasem zdobyła uznanie dzięki powieściom o mrocznej i intensywnej poetyce. Jej książka „Caesaria" (2020) otrzymała Nagrodę Szwedzkiego Radia za Powieść (Sveriges Radios romanpris) i była nominowana do Vi's Literature Prize. Po polsku właśnie ukazała się jej powieść „Wonderland" (nakładem Wydawnictwa Pauza, w tłumaczeniu Justyny Czechowskiej) wyróżniona nominacjami do nagród Vi's Literature Prize oraz Eyvind Johnson Prize. Jako tłumaczka Nordenhök otrzymała Madeleine Gustafsson Prize (2019) za przekłady autorek hiszpańskojęzycznych, m.in. Fernandy Melchor, Andrei Abreu i Alii Trabucco Zerán.

↦ tę dzikość do innych ludzi. Właśnie ten ruch – między społeczeństwem a odosobnieniem – jest dla mnie jednym z najbardziej ludzkich doświadczeń.

A w tej konkretnej bohaterce interesuje mnie szczególnie to, że żyje ona w pewnej symbiozie z własnym teatrem. Jest bardzo cielesna, a zarazem bardzo „gra" swoją rolę, co czyni ją intrygującą. Przez różne postacie w książce badam rozmaite aspekty maski czy oszustwa – ona jest tą, która najmocniej stapia się ze swoją własną, wykreowaną personą.

Bardzo niewiele o niej wiemy – o jej uczuciach, myślach, przeszłości. Jest scena, w której spędza trzy dni pod kartonem, po prostu leżąc. Skąd ta tajemnica?

No właśnie – co robi człowiek, kiedy nie robi nic? Opisałam, że leży, i na tym koniec. Dla mnie samej to było niepokojące – obserwować postać, która trwa w bezruchu, jakby zawieszona poza czasem. Chciałam, by akcja w jej przypadku rozgrywała się tu i teraz, w ciele poruszającym się w określonym krajobrazie, w samej chwili. Dlatego zostawiłam aurę tajemnicy wokół jej przeszłości czy tożsamości – zależało mi, by uchwycić intensywność obecności.

Inaczej skonstruowana jest postać dziennikarza z Barcelony – inna ważna postać w „Wonderland".

Jego poznajemy od środka – cofamy się z nim w przeszłość, wybiegamy w przyszłość, nieustannie jesteśmy zanurzeni w jego wnętrzu. Dzięki temu mogłam badać inne aspekty tematów, które mnie interesują. A trzecia kobieta sytuuje się gdzieś pomiędzy nimi – próbuje żyć chwilą, ale ta chwila nie chce się przy niej zatrzymać. Czas przepływa obok niej, jakby jej nie dotyczył. Każde z nich zupełnie inaczej zanurzone jest w czasie, inaczej się z nim zmaga.

Tytuł Twojej powieści – „Wonderland" – przywołuje „Alicję w Krainie Czarów". Czym jest Twoja „kraina cudów"?

Oczywiście, to skojarzenie jest właściwe. „Alicja" to naturalny punkt odniesienia, bo i moja powieść w pewnym sensie opowiada o przekraczaniu granic rzeczywistości, o jej nieoczywistym, wielowymiarowym charakterze.

Ale równie ważne było dla mnie coś innego. W szwedzkim oryginale użyłam słowa *underlandet*, które zawiera w sobie dwa znaczenia: „cud" i „to, co pod spodem". Ta podwójność była kluczowa. „Wonderland" to dla mnie sfera obecna w każdym z nas – kraina fikcji, fantazji i pragnień, do której uciekamy, by nie konfrontować się z rzeczywistością albo by ją odmienić. Rajski, nierealny obszar, w którym można poczuć wolność.

W historii bezdomnej kobiety słowo to pada także w kontekście dzieci, do których próbuje się zbliżyć. To właśnie one niosą w sobie tę krainę – przestrzeń, w której można znów być dzieckiem, bawić się, odrzucić dorosłą codzienność. Bohaterka pragnie tych dzieci, ale równie mocno pragnie być nimi, wejść do ich świata.

Twoja książka pełna jest pytań o fikcję, kłamstwo i złudzenie. Ale w historii dziennikarza równie mocno wybrzmiewa wątek prawdy – która okazuje się szczególnie niebezpieczna.

Do tego ta część książki ma źródło w autentycznych wydarzeniach. Inspirowała mnie między innymi głośna sprawa Claasa Relotiusa, niemieckiego dziennikarza, który wymyślał swoje reportaże. Fascynowało mnie jednak nie tylko samo oszustwo, lecz także mechanizm jego demaskowania. Dziś jako społeczeństwa uwielbiamy sytuacje, kiedy wielkie kłamstwo zostaje odkryte i wreszcie „poznajemy prawdę". To daje poczucie satysfakcji, bo czyni prawdę czymś jednoznacznym. A przecież prawda nigdy nie jest jednoznaczna – to kategoria niezwykle złożona.

W literaturze prawda i fikcja są ze sobą nierozerwalnie związane. Być może właśnie poprzez fikcję możemy dotknąć czegoś głębszego, uchwycić prawdę w innym wymiarze. W dziennikarstwie sytuacja wygląda inaczej – tam stawką jest rzeczywistość. A w świecie przesyconym propagandą, spektaklem, dezinformacją i fake newsami, które zalewają media społecznościowe, pytanie o prawdę staje się fundamentalne. Stworzenie rzetelnego reportażu w tej dżungli manipulacji jest zadaniem niezwykle trudnym, ale właśnie dlatego uważam je za jedno z najważniejszych wyzwań we współczesnych społeczeństwach.

W tym sensie postać dziennikarza jest mi bliska także jako pisarce. Doskonale rozumiem pokusę, by rzeczywistość zmieniać, ubarwiać, nadawać jej formę, która lepiej podkreśli pewien punkt widzenia albo uczyni opowieść bardziej przejmującą. To pokusa zrozumiała – i jednocześnie bardzo niebezpieczna.

Ale jego opowieści – przynajmniej tak myśli Vega, który go ostatecznie demaskuje – sprawiają, że ludzie stają się bardziej empatyczni. To prowadzi do pytania o granice. Kilkanaście lat temu w Polsce wybuchła wielka dyskusja wokół Ryszarda Kapuścińskiego: czy pisał prawdę, czy nie. W gruncie rzeczy to pytanie nie dotyczy tylko dziennikarstwa, ale samego pisania – literatury w najszerszym sensie.

Bo przecież dziennikarz także pracuje stylem, obrazem, językiem. To nie oznacza automatycznego odejścia od prawdy. Granica przebiega gdzie indziej – wtedy, gdy zaczynasz wymyślać postaci. Wtedy wchodzisz na terytorium fikcji i przekraczasz to, co dopuszczalne. Ale gdzie dokładnie leży ta granica? To fascynujące pytanie, na które odpowiedź nieustannie negocjujemy. My, piszący, ale też każdy człowiek – bo codziennie zmagamy się z tym, co jest prawdą, a co nią nie jest.

Widać to także w trzeciej historii z „Wonderland". Kobieta odwraca wzrok od zbrodni swojego męża, a jej życie toczy się w świecie zdominowanym przez media społecznościowe – rzeczywistości, w której nieustannie retuszujemy własny obraz. To dziś tak naturalne, że trudno myśleć o sobie inaczej. Wszyscy nosimy maski, wszyscy coś ukrywamy albo coś sprzedajemy na użytek publiczności.

Hasłem tegorocznego Festiwalu Conrada jest „Nadzieja radykalna". To próba opisania przyszłości, której nie znamy – ciemnej, nieprzeniknionej. A jednocześnie przekonanie, że nadzieja jest dziś konieczna. Jak Ty ją postrzegasz?

Myślę, że nadzieja zawsze istnieje. Często słyszę, że moje książki są mroczne, ale trudno mi się z tym zgodzić. Owszem, interesuje mnie badanie granic człowieczeństwa i ciemnych stron życia, ale gdyby istniała tylko ciemność, nie byłoby nic wartego poznania. Nadzieja, wolność, pragnienie – to wszystko jest u mnie równie obecne. Bohaterka „Wonderland" jest ofiarą, zmierza ku autodestrukcji, a jednocześnie dąży do własnej wolności, do swojego raju.

Literatura sama w sobie nie zmienia świata – nie zatrzyma wojen ani nie powstrzyma represji. Ale niesie inną nadzieję: potrafi odsłaniać stany niejednoznaczne i pomaga nam lepiej rozumieć samych siebie. Burzy schematy czarno-białego myślenia, komplikuje i poszerza rzeczywistość. I właśnie w tej zdolności – w rozszerzaniu granic naszego widzenia – kryje się jej największa nadzieja.

To piękna definicja literatury – taka, jaką staramy się eksplorować podczas naszego Festiwalu.

Trzeba jednak dodać, że to spojrzenie bywa również bardzo bolesne. Bo podczas gdy piszemy, na świecie dzieją się straszne rzeczy. Żyjemy w momencie historycznym, który jest niezwykle dramatyczny. Trudno w ogóle objąć skalę przemocy, jaka nas otacza, a także narastające na całym świecie tendencje faszystowskie i autorytarne. W takim świecie pisanie literatury może się wydawać czymś zupełnie daremnym, pozbawionym sensu. Wszystko zależy od perspektywy. Jako pisarka w chwili pisania mam poczucie, że próbuję coś wnieść, coś ocalić z tego świata. Ale mam jednocześnie w sobie wątpliwość co do sensu pisania, kiedy świat tak rozpada się na naszych oczach.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Na tegorocznym Festiwalu Conrada spotkamy się z **HANNĄ NORDENHÖK**, by porozmawiać o tym, co dzieje się, gdy pękają iluzje. Jej bohaterowie wikłają się w kłamstwa i złudzenia – własne i cudze – aż w końcu muszą zmierzyć się z prawdą, której unikali. W jej prozie gabinet luster staje się miejscem, gdzie nic nie trwa wiecznie, a chwila konfrontacji zmienia wszystko. Podczas spotkania prowadzonego przez Justynę Czechowską będziemy rozmawiać o literaturze, która obnaża mechanizmy złudzeń i stawia pytanie, kim naprawdę jesteśmy.

Formy oporu

RENATA KOPYTO

Claude Cahun poruszała tematy niebinarności, feminizmu, orientacji seksualnej i aktywizmu politycznego. Jej radykalizm i odwaga pokazują, że sztuka zaangażowana możliwa jest w każdych warunkach.

Wierzę, że fale rozbiją
w końcu z trzaskiem
Rybaka i jego łódź;
A uczyni to swoim wrzaskiem
Adolf Hitler, wasz wódz

Ta przeróbka „Die Loreley", jednego z najsłynniejszych wierszy Heinricha Heinego – niemieckiego poety romantycznego, zakazanego w III Rzeszy z powodu żydowskiego pochodzenia – znalazła się na jednej z ulotek rozpowszechnianych podczas wojny na wyspie Jersey przez Claude Cahun i Suzanne Malherbe. Dwie Francuzki, które w 1937 r. przeprowadziły się tam z Paryża, podjęły szeroko zakrojoną, indywidualną akcję oporu wobec nazistowskiej okupacji. Korzystając z nielegalnie posiadanej maszyny do pisania i trudno dostępnych materiałów, tworzyły ulotki i niewielkie plakaty o antywojennym przesłaniu, mające siać niepewność i osłabiać morale niemieckich żołnierzy.

Kolaże, rysunki i fotomontaże opatrzone żartobliwym tekstem i podpisane jako „Żołnierz bez imienia" trafiały w różne miejsca na wyspie – wkładane do kieszeni żołnierskich płaszczy, wsuwane między strony niemieckich gazet, przyklejane na murach czy nagrobkach. Jedną z bardziej spektakularnych akcji było rozwieszenie na ogrodzeniu kościoła napisu: „Jezus umarł za nas, ale my musimy umrzeć za Hitlera".

Katharina Geiser w powieści „Diese Gezeiten", inspirowanej losami wojennymi Claude Cahun i Suzanne Malherbe, odtwarza ich konspiracyjną działalność, denuncjację przez właścicielkę sklepu z papierem oraz pobyt w więzieniu. Aresztowane w lipcu 1944 r. i osadzone w oddzielnych celach, szybko zostały skazane na śmierć. W obawie przed upokorzeniem i długim więzieniem Cahun podjęła nieudaną próbę samobójczą – ukryte tabletki nasenne okazały się zbyt słabe. Choć ułaskawiono je w lutym 1945 r., na wolność wyszły dopiero po zakończeniu wojny.

Narodziny Claude Cahun

Claude Cahun urodziła się w 1894 r. w Nantes, w żydowskiej rodzinie wydawców i literatów, jako Lucy Schwob. Jej wujem był pisarz Marcel Schwob, a ojcem Maurice Schwob, wydawca regionalnego dziennika „Le Phare de la Loire", w którym Cahun publikowała swoje pierwsze teksty. W 1907 r. z powodu narastającego we Francji antysemityzmu, wywołanego tzw. sprawą Dreyfusa, Lucy zostaje wysłana przez rodzinę do szkoły w Anglii, gdzie szybko uczy się języka. Po powrocie rozpoczyna studia filozoficzne na paryskiej Sorbonie i pod różnymi pseudonimami ogłasza swoje pierwsze utwory literackie. Nazwisko, pod którym przejdzie do historii, jest po stryjecznym dziadku, Leonie Cahunie, powieściopisarzu, dziennikarzu i orientaliście, oraz po babce, Mathilde Cahun. Neutralnie brzmiącym imieniem Claude chciała z kolei podkreślić nieprzynależność do żadnej z płci.

W 1919 r. ukazał się pierwszy tom poetycki przyszłej surrealistki, „Vues et Visions" („Widoki i wizje"), opatrzony ilustracjami Suzanne Malherbe – partnerki Cahun, a zarazem, poprzez drugie małżeństwo jej ojca, przyrodniej siostry, tworzącej pod pseudonimem Marcel Moore. Obie artystki zamieszkały wspólnie w Paryżu i szybko włączyły się w życie kulturalne miasta. Ich mieszkanie na Montparnassie stało się miejscem spotkań środowiska artystycznego: bywali tam Henri Michaux, Sylvia Beach i Adrienne Monnier, Chana Orloff, Jacques Lipchitz, a później także Salvador Dalí, Man Ray i André Breton.

Claude Cahun publikowała eseje, prozę literacką oraz pisma filozoficzne i polityczne w wielu magazynach i awangardowych periodykach. W 1925 r. w „Mercure de France" ukazał się zbiór jej krótkich próz „Héroïnes" („Heroiny"), w których przepisała na nowo losy szesnastu kobiet znanych z mitologii, Biblii i literatury. W tych mocno feministycznych opowieściach Ewa mieszka w kapitalistycznym raju, a wąż-kusiciel przybiera postać natarczywych reklam; Helena Trojańska kończy szkołę wyposażona w poradnik samodoskonalenia i uwodzenia; Kopciuszek zdobywa serce królewicza, ponieważ ciotka zdradza jej, że książę jest fetyszystą zafascynowanym damskimi szpilkami. Najistotniejsza dla późniejszej refleksji Cahun nad niebinarnością wydaje się jednak historia nimfy Salmakis zakochanej w Hermafrodycie. Ich związek nie owocuje nowym życiem, lecz prowadzi do stopienia się w jedną istotę, która „stanie się tak samo kobietą, jak i mężczyzną, tak samo jednym i drugim, jak i żadnym z nich".

Surrealistyczne drogi buntu

„Neutrum – rodzaj nijaki – to jedyna płeć, która mi odpowiada" – napisała Claude Cahun w awangardowej autobiografii „Aveux non avenus" (Niebyłe wyznania), opublikowanej w 1930 r. Książka ta stanowi zbiór różnorodnych w formie tekstów oraz fotografii, w których autorka prowadzi artystyczną i literacką grę z rolami społecznymi, maskami i tożsamościami.

Proces budowania niebinarnej tożsamości Cahun rozpoczął się jeszcze w okresie współpracy z eksperymentalnym teatrem Le Plateau. Wraz z Suzanne Malherbe projektowała maski i kostiumy do spektakli, w których również występowała. Zachowane fotografie i fotomontaże inspirowane tymi przedstawieniami

DOMENA PUBLICZNA

Claude Cahun, autoportret, 1927 r.

Jednym z wydarzeń tegorocznego Festiwalu Conrada jest wystawa poświęcona **CLAUDE CAHUN** – artystce, która poprzez literaturę, fotografię i performans konsekwentnie podważała stereotypy płci i tożsamości, a podczas II wojny światowej stawiła opór nazistowskiej okupacji. Jej dorobek stał się inspiracją dla współczesnych twórczyń i twórców, których prace tworzą wielogłosowy dialog z dziedzictwem francuskiej surrealistki.

zdradzają silne związki z surrealizmem i ukazują zainteresowanie artystki tym nurtem.

Powinowactwo Claude Cahun z surrealistami przejawiało się nie tylko w sztuce, lecz także w działalności politycznej. W 1932 r. została członkinią Związku Rewolucyjnych Pisarzy i Artystów (AEAR), do którego należeli również André Breton i inni lewicowo zaangażowani twórcy. Wkrótce jednak doszło do rozłamu – głównym punktem sporu była kwestia roli, jaką sztuka i literatura powinny odgrywać w walce politycznej. Po jednej stronie stanął Louis Aragon, autor propagandowego wiersza „Front rouge" (Czerwony front), po drugiej artyści broniący niezależności i wolności twórczej. Do nich dołączyła Cahun, opuszczając AEAR w geście solidarności z wykluczonymi kolegami.

W październiku 1936 r. pisarka znalazła się, obok Bretona i Georgesa Bataille'a, wśród założycieli grupy artystycznej pod nazwą „Contre-Attaque" i ponownie zaangażowała się w działalność polityczną, tym razem o charakterze antyfaszystowskim. Brała udział w debatach, zabierała głos w dyskusjach o metodach i celach artystycznego aktywizmu, a równocześnie zaczęła tworzyć obiekty. Dwa z nich zaprezentowała na wystawie „Exposition surréaliste d'objets" w paryskiej Galerie Charlesa Rattona w maju 1936 r.

Twórczość Cahun, androgynicznej artystki, która zarówno w literaturze, jak i w sztukach wizualnych kwestionowała stereotypy dotyczące płci i traktowała własne ciało jako materiał artystyczny, nie wpisywała się w sposób przedstawiania kobiecego ciała przez surrealistów. Jak zauważa Kat Lawinia Gorska w książce „Claude Cahun. Poesie des Objekts" (Claude Cahun. Poezja obiektu), ich praktyka wprawdzie odchodziła od klasycznego aktu kobiecego, lecz równocześnie stale go reprodukowała, podtrzymując przemocowe i seksistowskie schematy wynikające z hierarchii artysta-mężczyzna / modelka-kobieta. Emancypacyjny potencjał surrealizmu wobec patriarchatu był zatem ograniczony.

Cahun za życia ceniono przede wszystkim jako pisarkę, publicystkę i eseistkę. Jej fotograficzny dorobek, dziś uważany za najważniejszy, odkryto na nowo dopiero ponad czterdzieści lat po jej śmierci. W latach 90. artystka została zreinterpretowana przez badaczy i badaczki sztuki – z politycznie zaangażowanej sojuszniczki surrealistów przeobraziła się w lesbijską, anorektyczną fotografkę redefiniującą podejście do ciała i płci.

Lektura wczesnych tekstów krytycznych analizujących prace Claude Cahun wskazuje, że koncentrowały się one niemal wyłącznie na jej autoportretach i nielicznych fotomontażach, w których dominował jej wizerunek. Fotografie te opisywano przede wszystkim jako nieprzystające do konwencjonalnych wyobrażeń kobiecego portretu. Podkreślano sposób, w jaki Cahun przedstawia siebie samą – strój, fryzurę, przyjętą pozę. Wszystkie te elementy uznawano za dowód, że artystka świadomie posługuje się kodami zwykle przypisywanymi mężczyznom i w ten sposób buduje androgyniczny wizerunek, stawiając zarazem opór wobec prób kategoryzowania jej orientacji seksualnej jako lesbijskiej.

Kat Lawinia Gorska, w przywoływanej wcześniej książce, zwraca uwagę na prywatną korespondencję i zapiski Cahun, z których jasno wynika, że żyła razem ↦

↦ z Suzanne Malherbe, ale nigdzie nie określiła charakteru tego związku ani otwarcie nie nazwała swojej orientacji seksualnej. Na fotografiach wykonanych w domu, ogrodzie czy w przestrzeni publicznej Cahun nosi zwykle spódnice lub sukienki i przypomina raczej stateczną panią z sąsiedztwa niż awangardową artystkę. To właśnie ten wizerunek angielskiej damy pozwolił jej i Malherbe przez długi czas prowadzić antywojenną działalność konspiracyjną na wyspie Jersey – nikt nie spodziewał się bowiem po kobietach w średnim wieku takiej odwagi, przebiegłości i determinacji.

Eksperymenty z obiektami

Drugim obszarem twórczości Claude Cahun, obok autoportretów, były obiekty. Niestety żaden z nich nie zachował się do naszych czasów – znamy je jedynie z fotografii wykonywanych przez artystkę. Jak dowodzi Kat Lawinia Gorska, nie istniał żaden wspólny element łączący te prace. Część z nich została w całości wykonana przez Cahun, inne były obiektami znalezionymi, czasem fragmenty jednych prac służyły jako tworzywo do kolejnych. Nie wiadomo, jaka koncepcja artystyczna stała za tymi fotografiami – pewne jest, że ich celem nie była czysta dokumentacja. Obiekt i fotografia stapiały się tu w jedną hybrydową formę ekspresji, a efemeryczność stanowiła ich cechę konstytutywną. Po wspomnianej już paryskiej wystawie surrealistów artystka część obiektów zrekonstruowała, bo – jak pisała w jednym ze szkiców – należały one do kategorii „przedmiotów przejściowych", które bledną na naszych oczach.

Gabriele Schor przywołuje w eseju ironiczny, poetycki i mocno zaangażowany tekst Cahun z 1936 r., zatytułowany „Prenez garde aux objets domestiques" (Uważaj na przedmioty gospodarstwa domowego). Autorka przeciwstawia w nim nagromadzeniu strasznych przedmiotów i kiczowatych ozdób – domowemu przekleństwu – delikatne, przemijalne, powstałe w akcie twórczym obiekty, które, jeśli odrzucić racjonalne podejście, mogą emanować wyzwolicielską, niemal magiczną siłą. Taki surrealistyczny przedmiot – przekonuje Cahun – może przybrać postać szczególnej zapalniczki, dzięki której rozpalimy ostatnią gwiazdę, gdy wszystko inne przepadnie.

> Neutrum – rodzaj nijaki – to jedyna płeć, która mi odpowiada, pisała Cahun, tworząc autoportrety i teksty, w których kwestionowała stereotypy płci i traktowała własne ciało jak materiał artystyczny.

W 1937 r. Claude Cahun i Suzanne Malherbe opuściły Paryż i przeniosły się na brytyjską wyspę Jersey, położoną niedaleko Francji na Kanale La Manche, gdzie obie spędzały dzieciństwo. Krótko przed wyjazdem ukazał się tom poetycki ich przyjaciółki Lise Deharme, do którego Cahun przygotowała fotografie – jedyne opublikowane za jej życia. Po przeprowadzce do nowo zakupionej wiejskiej posiadłości La Rocquaise kontynuowały działalność artystyczną: powstawały kolejne autoportrety, akty, obiekty i ich fotografie.

Podsumowując twórczość Cahun, nie można pominąć jej współpracy z Suzanne Malherbe, tworzącą pod pseudonimem Marcel Moore. Jak zauważa Kat Lawinia Gorska, żadna z przypisywanych Cahun prac nie nosi jej sygnatury, brak też pewności, że wykonywała autoportrety samodzielnie – nie ma dowodów, aby używany przez nią aparat miał samowyzwalacz. W podpisach pod zdjęciami, listach i notatkach pojawiają się natomiast wzmianki sugerujące wspólne autorstwo, choć badacze nie są zgodni co do roli każdej z artystek.

Po aresztowaniu obu rebeliantek ich dom został zajęty przez Gestapo i doszczętnie splądrowany, a znaczna część dorobku Cahun zniszczona. Po wojnie artystka odnowiła korespondencję z francuskim środowiskiem twórczym, w tym z André Bretonem przebywającym w Nowym Jorku. Powstały wtedy kolejne autoportrety, szkice i zapiski dokumentujące działalność opozycyjną w czasie okupacji niemieckiej. Jej drugi esej autobiograficzny, napisany w tym okresie, nigdy nie został opublikowany.

Claude Cahun zmarła 8 grudnia 1954 r. Jej spuścizną aż do samobójczej śmierci w 1972 r. opiekowała się Suzanne Malherbe.

Dziedzictwo i odkrycie

Kat Lawinia Gorska w zakończeniu swojej książki poświęconej obiektom i ich fotografiom autorstwa Claude Cahun podkreśla, że odkryte w latach 90. autoportrety, często interpretowane jako forma terapii i sposób konstruowania wymarzonej tożsamości, nie mogą być rozpatrywane w oderwaniu ani od jej pism, ani od obiektów i ich fotografii. W archiwum Jersey Heritage Collection znajduje się wciąż znaczna część spuścizny artystki, czekająca na kolejnych badaczy i kuratorów, którzy wydobędą ją na światło dzienne.

Claude Cahun w swojej twórczości podjęła niemal wszystkie tematy, które dzisiaj należą do kluczowych obszarów współczesnej sztuki: niebinarność i orientację seksualną, efemeryczne działania artystyczne, feminizm i aktywizm polityczny. Jej bezkompromisowość, radykalizm i odwaga imponują również współcześnie, dowodząc, że sztuka zaangażowana może istnieć w każdych okolicznościach.

© RENATA KOPYTO

CLAUDE CAHUN. FORMY OPORU
19 października – 14 listopada 2025
Galeria Domu Norymberskiego,
ul. Skałeczna 2, Kraków

Artyści i artystki:
Elena Louise Bastert Feuerhake,
Aleksandra Młynarczyk-Gemza,
Joanna Krawczyk, Kolektyw Øleg&Kaśka,
Sarah Pucill, Liliana Zeic

Kuratorki: Renata Kopyto, Iwona Demko

2 listopada 2025, godz. 17.00
oprowadzanie kuratorskie,
Galeria Domu Norymberskiego

12 listopada 2025, godz. 18.00
spotkanie z Kat Lawinią Gorską,
autorką książki „Claude Cahun.
Poesie des Objekts", Pałac Potockich
(prowadzenie: Renata Kopyto)

Program literacki, scena Małopolskiego Ogrodu Sztuki (Rajska 12)

Poniedziałek, 20 października

- **14:00**
  Polska nowych początków
  JAN M. PISKORSKI, ISHBEL SZATRAWSKA, MICHAŁ TABACZYŃSKI
- **16:00**
  Po wojnach
  OŁEKSANDR MYCHED, ANTONINA PALARCZYK, FARUK ŠEHIĆ
- **18:00**
  Skok w nieznane
  CHLOE DALTON
- **20:00**
  Nasze blizny
  AUÐUR AVA ÓLAFSDÓTTIR

Wtorek, 21 października

- **14:00**
  Jak ludzie słyszą słowo „awangarda", to idą do domu
  MAŁGORZATA HALBER, RAFAŁ KSIĘŻYK, DARIUSZ MISIUNA
- **16:00**
  Dostrój się i odpadnij
  DARIUSZ „BRZÓZKA" BRZÓSKIEWICZ, URSZULA JABŁOŃSKA, ŁUKASZ ORBITOWSKI
- **18:00**
  We władzy Królowej Gór
  DANIEL WISSER

Środa, 22 października

- **14:00**
  Innymi słowy
  ANNA GOC KAROLINA WIKTOR
- **16:00**
  Inne życia, inne Polski
  WERONIKA MUREK, ROBERT J. SZMIDT, ADAM UBERTOWSKI
- **18:00**
  Smutek, który podąża za nami
  NORMAN ERIKSON PASARIBU

Czwartek, 23 października

- **12:00**
  Ostateczności
  ANNA CIARKOWSKA, ZOŚKA PAPUŻANKA, KATARZYNA SOBCZUK
- **16:00**
  Koniec świata i co dalej
  MAREK BARANIECKI, MICHAŁ CETNAROWSKI, MAGDALENA SALIK
- **18:00**
  Inaczej niż w raju
  HANNA NORDENHÖK
- **20:00**
  Jesteśmy gdzieś indziej
  YAN GE

Piątek, 24 października

- **14:00**
  Co niesiemy w naszej reklamówce
  WERONIKA GOGOLA, JAN PUCEK, ZIEMOWIT SZCZEREK
- **16:00**
  Spotkanie z nominowanymi do Nagrody Conrada
- **18:00**
  Smutek spełnionej baśni
  VINCENZO LATRONICO
- **20:00**
  Małe niespełnienia
  COLM TÓIBÍN

Sobota, 25 października

- **13:00**
  Nie mamy wyboru, musimy iść dalej
  BARTŁOMIEJ DOBROCZYŃSKI
- **15:00**
  Nagroda Goncourtów
  KAMEL DAOUD, CAROLE MARTINEZ
- **18:00**
  Życiorysy powróconych
  ABDULRAZAK GURNAH
- **20:00**
  Przetrwanie to za mało
  EMILY ST. JOHN MANDEL

Niedziela, 26 października

- **12:00**
  Dokąd po ratunek?
  PILAR ADÓN, SARA MESA, KATARZYNA OKRASKO, EWA ZALESKA
- **18:00**
  Gala Nagrody Conrada

CONRAD FESTIVAL

Pełny program 17 edycji Festiwalu Conrada dostępny na **conradfestival.pl/program**

allegro

Jak książki z najlepszej strony, **to Allegro**

Nowości i bestsellery w niskich cenach

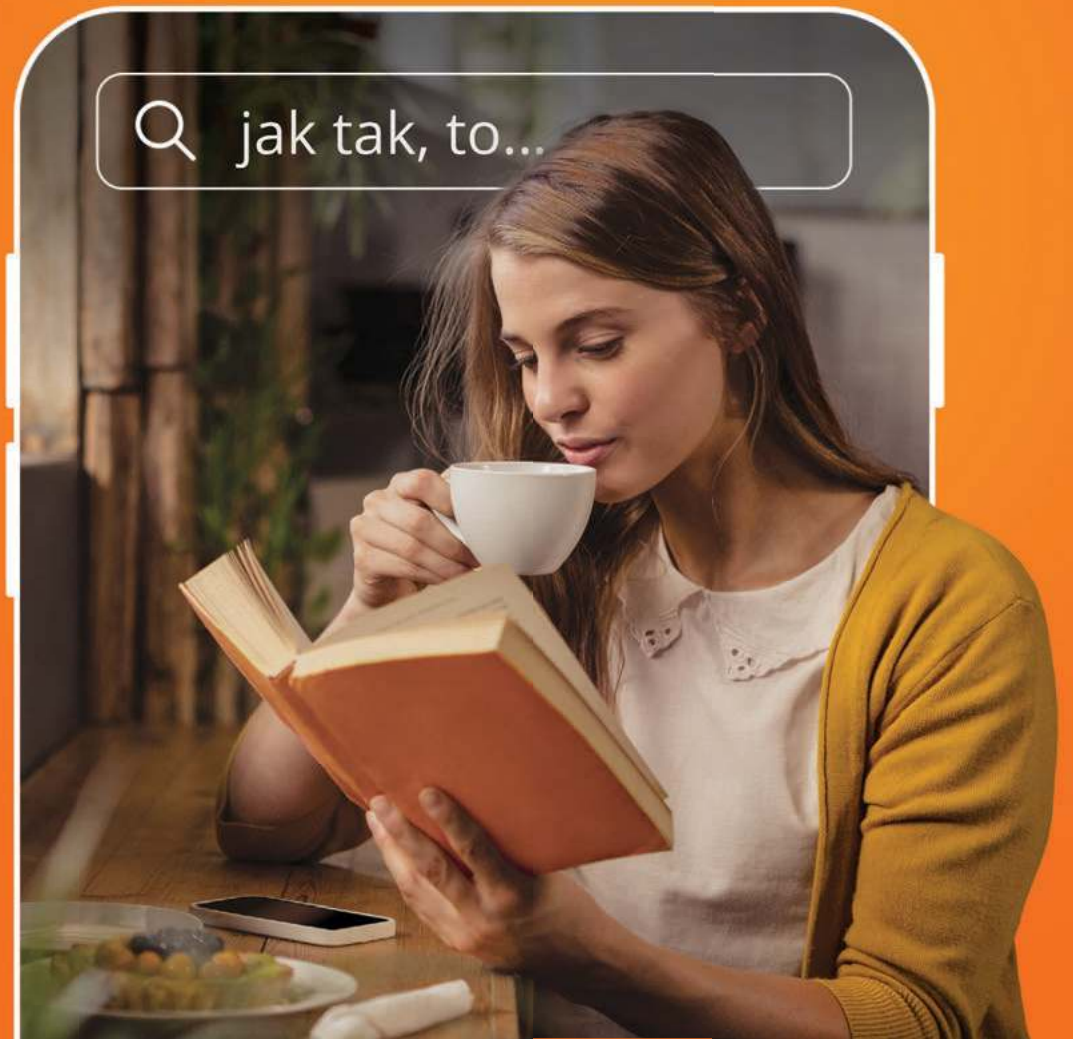

REKLAMA

TYGODNIK POWSZECHNY

JESIEŃ NAJLEPSZA NA CZYTANIE

Ten sam Tygodnik – różne możliwości. Wybierz, jak Ci wygodniej.

DOSTAWA DO DOMU

Poczta Polska

- Prenumerata kwartalna: 190 zł
- Prenumerata półroczna: 367 zł
- Prenumerata roczna: 687 zł
- Prenumerata roczna z 4 wydaniami specjalnymi: 787 zł

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/sklep | Masz pytania? Zadzwoń! 668 479 075

ODBIÓR W PACZKOMACIE

InPost

- Prenumerata kwartalna: 189 zł
- Prenumerata półroczna: 366 zł
- Prenumerata roczna: 686 zł

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

RITHIKA GOPAL / UNSPLASH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

Kraków

Start i meta: **TAURON Arena Kraków**

12.10.2025

11. PKO CRACOVIA PÓŁMARATON KRÓLEWSKI

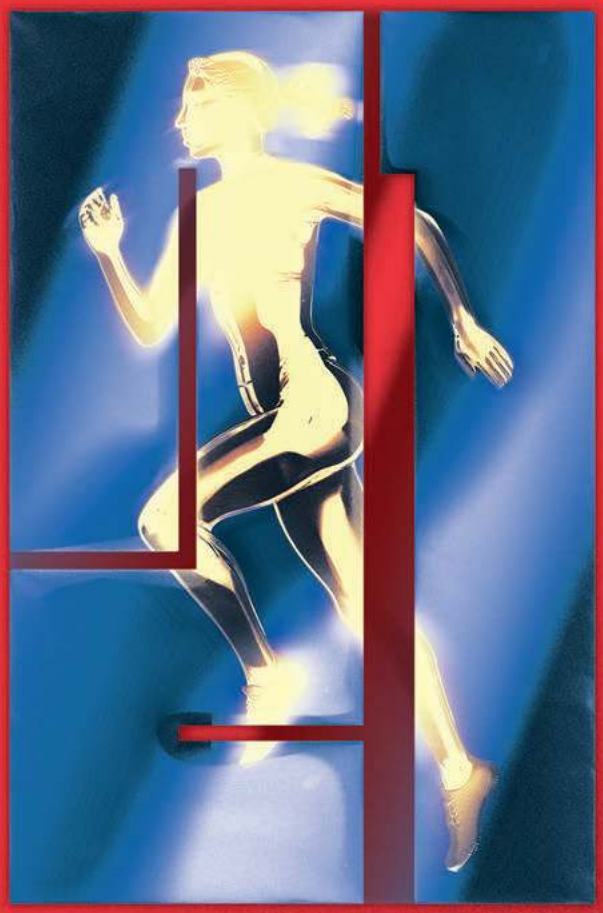

Kibicuj razem z nami i dodaj skrzydeł biegaczom!

cracoviapolmaraton.pl

ORGANIZATOR: Zarząd Infrastruktury Sportowej w Krakowie

SPONSOR TYTULARNY: Bank Polski

PARTNER STRATEGICZNY: MAŁOPOLSKA

SPONSOR STRATEGICZNY: OSHEE

SPONSOR TECHNICZNY: asics

SPONSORZY: PIWNICZANKA, PGE Energia Ciepła

PARTNERZY: WODOCIĄGI Miasta Krakowa, FACTORY, amplus, Lasy Państwowe, trenuj w lesie, ANWA TOYOTA